

Herta Muller

**Lis już wtedy był
myśliwym**

Przełożyła Alicja Rosenau

Tytuł oryginału niemieckiego

**DER FUCHS WAR DAMALS SCHON
DERJAGER**

Spis treści

Droga robaka w jabłku

Mężczyzna w dłoni

Lok nad czołem

Człowiek dobry jak kawałek chleba

Krawat.

Wnętrznosci lata.

Dni arbużów, dni dyni

Kot i karzeł.

Orzechy

Inna cisza.

Zapalenie bębenka

Najmniejszy mężczyzna podpira się największym
kijem

Żdźbło trawy w ustach

Twarz bez twarzy.

Brzytwa

Lisy wpadają w sidła.

Nic nie mówisz

W mojej głowie jest ciemno.

Lis na stole
Pocałunek.
Zgubiona łopatka
Kiedy jest zimno, nie mogę patrzeć w wodę
Kiedyś przedtem, a nie teraz
Znamię
Zabawa w osy
Wyciekające miasto
Nocnik
Paznokcie rosną
Przezroczystry sen
Czarno-białe niebo
Zamarznięte maliny
Obca
Tonie, tonie

To nic, to nic, powiedziałem sobie, nic, nic.

WIENIEDIKT JEROFIEJEW

Droga robaka w jabłku

Mrówka niesie martwą muchę. Mrówka nie widzi drogi, odwraca muchę i pełźnie z powrotem. Mucha jest trzy razy większa niż mrówka. Adina przysuwa łokieć do siebie, nie chce zagradzać mrówce drogi. Obok kolana Adiny błyszczą grudka smoły, gotuje się w słońcu. Adina muska ją palcem, za dłonią ciągnie się nitka smoły, zastyga na powietrzu i się rozkrusza.

Mrówka ma głowę jak główka od szpilki, słońce nie znajduje miejsca, by ją parzyć. Słońce kłuje. Mrówka gubi drogę. Pełźnie, ale nie żyje, dla oka nie jest zwierzęciem. Nasiona traw pełzają na obrzeżach miasta tak jak ona. Mucha żyje, bo jest trzy razy większa i jest niesiona, ona jest dla oka zwierzęciem.

Clara nie widzi mrówki, słońce jest rozżarzoną dynią, oślepia. Uda Clary są szeroko rozsunięte, jej dłonie leżą między kolanami. Tam, gdzie majteczki wrzynają się w uda, sterczą włosy łonowe. Pod włosami łonowymi leżą nożyczki, szpulka białych nici, okulary słoneczne i napastrzek. Clara szyje sobie letnią bluzkę. Igła nurkuje, nitka postępuje za nią, twoja matka na lodzie, mówi Clara, zlizuje krew z palca. Przekleństwo z lodem, z matką igły, nici, fastrygi. Kiedy Clara klnie, wszystko ma matkę.

Matka igły to miejsce, które krwawi. Matka igły to najstarsza igła świata, która urodziła wszystkie igły. W każdej szyjącej ręce na świecie wynajduje dla wszystkich swoich igielek palec do ukłucia. W przekleństwie świat jest mały, wisi nad nim kulka igieł i kulka krwi.

W przekleństwie matka nici ze splątanymi włóknami czai się nad światem.

W taki skwar klniesz o lodzie, mówi Adina, a kości policzkowe Clary miały, język bije w ustach. Clara, kiedy klnie, zawsze ma zmarszczki na twarzy, bo w przekleństwach każde słowo jest kulą i może trafić rzeczy słowami na ustach. Nawet matkę rzeczy.

Adina i Clara leżą na kocu. Adina jest naga, Clara ma na sobie tylko majtki kostiumu kąpielowego.

Przekleństwa są zimne. Przekleństwa nie potrzebują

dalii, chleba, jabłek ani lata. Nie są po to, żeby je wachać ani jeść. Tylko po to, żeby zawirować i położyć się płasko, żeby krótko się miotać i długo trwać w bezruchu. Obniżają pulsowanie skroni do przegubów rąk i wznoszą głuche bicie serca do uszu. Przekleństwa narastają i dławią się.

Kiedy przekleństwa się łamią, nigdy ich nie było.

Koc leży na dachu bloku, wokół dachu stoją topole.

Są wyższe niż wszystkie dachy w mieście, obwieszone zielenią, nie mają pojedynczych listków, tylko listowie.

Nie szumią, ale szeleszczą. Listowie stoi pionowo na topolach jak ich gałęzie, nie widać pni. I tam, gdzie nic już nie sięga, topole rozcinają gorące powietrze. Topole są zielonymi nożami.

Gdy Adina za długo przygląda się topolom, noże przekraczają się w gardle z jednej strony na drugą. Wtedy robi jej się w gardle słabo. A jej czoło czuje, że żadne popołudnie nie może utrzymać nawet jednej topoli przez tak długi czas, jakiego potrzebuje światło, by zniknąć w wieczorze za fabryką. Wieczór musiałby się śpieszyć, noc mogłaby utrzymać topole, bo wtedy ich nie widać.

Między blokami odgłos trzepania dywanów rozbija dzień, na dachu pojawia się jego echo i nakłada uderzenia na siebie, jak przekleństwa Clary słowa.

Trzepanie dywanów nie potrafi wznieść głuchego bicia serca do uszu.

Po przekleństwach Clara jest zmęczona, a niebo jest tak puste, że Clara oślepią światłem mruży powieki, a Adina szeroko otwiera oczy i o wiele za długo patrzy do góry w pustkę. Wysoko w górze, gdzie nie sięgają zielone noże, nitka gorącego powietrza ciągnie się do oka. Wisi na niej ciężar miasta.

Rano w szkole pewne dziecko powiedziało Adinie, że niebo jest dzisiaj inne. Dziecko, które między innymi dziećmi zawsze jest bardzo ciche. Jego oczy są bardzo oddalone od siebie, przez co skronie wydają się wąskie. Dziś o czwartej rano moja mama obudziła mnie, powiedziało dziecko, i dała klucz, bo musiała iść na dworzec.

Kiedy wychodziła, podszedłem z nią do bramy. Gdy szedłem z nią przez podwórze, poczułem na ramieniu, że niebo jest bardzo blisko. Mógłbym się o nie oprzeć, ale nie chciałem, żeby mama się przestraszyła. Kiedy potem sam wracałem przez podwórko, kamienie były przezroczyste. Drzwi wejściowe wyglądały inaczej, drewno było puste. Mogłem jeszcze pospać trzy godziny, mówiło dziecko, ale już nie zasnęłam. Potem nagle się ocknąłem, choć nie spałem. A może jednak spałem, bo nie mogłem otworzyć oczu. Śniło mi się, że leżę w słońcu nad wodą i mam na brzuchu bąbel. Ściągnąłem z niego skórę, nawet nie zabolęło. Bo pod skórą był kamień. Wiatr dmuchał i unosił wodę w powietrze, była tylko płótnem z fałdami, nie wodą. Nie było pod nią kamieni, pod płótnem było mięso.

Dziecko zaśmiało się do ostatniego zdania i w ciszę po nim. A jego zęby wyglądały jak żwir, szerniały połówki i gładkie białe zęby. Na twarzy dziecko miało wypisany wiek, którego dziecinny głos nie był w stanie znieść.

Twarz dziecka pachniała zepsutymi owocami.

To był zapach starych kobiet, które pudrują sobie grubo twarze, aż puder jest tak samo zwiędły jak skóra. Kobiet, których dłonie drżą przed lustrem, które uderzają szminką o zęby, a po chwili oglądają sobie pod lustrem

palce. Paznokcie są wyszorowane i mają białe półksiężycy.

Gdy dziecko stało wśród innych dzieci na dziedzińcu szkolnym, plama na jego policzku była dotykem samotności. Była coraz większa, bo znad topól padało ukośne światło.

Clara zasnęła, we śnie się oddała, jej sen na słońcu sprawia, że Adina jest sama. W odgłosie trzepania dywanów lato rozpada się na zielone skorupy. W szumie topoli zielone skorupy to zapomniane lata. Wszystkie lata, kiedy jest się dzieckiem i jeszcze się rośnie, a mimo to czuje się, że każdy dzień spada z krawędzi. Dziecięce dni z włosami obciętymi pod kątem prostym, wyschnięte błoto przedmieścia, pył wzbijany przez tramwaj, a na ścieżce kroki wysokich, wychudzonych mężczyzn, którzy zarabiają pieniądze na chleb.

Przedmieście było doczeponie do miasta drutami i rurami i mostem bez rzeki. Przedmieście było z obu stron otwarte, tak samo ściany, drogi i drzewa. Z jednej strony przedmieścia dudniły wjeżdżające tramwaje, a fabryki wydmuchiwały dym nad most bez rzeki.

Dudnienie tramwajów na dole i dym u góry były czasami tym samym. Z drugiej strony w przedmieście wgryzało się pole i rozpościerało daleko swoje buraczane liście, za nim świeciły białe ściany. Były tak duże jak dłoń, tam leżała była wieś. Między wsią i mostem bez rzeki wisiały owce. Nie jadły liści buraczanych, na polnej drodze rosła trawa i one jadły drogę, póki trwało lato. Potem stały pod miastem i lizały ściany fabryki.

Fabryka leżała przed i za mostem bez wody, była duża. Za jej ścianami krzyczały krowy i świny. Wieczorami palono rogi i kopyta, cuchnące powietrze niesło się na

przedmieście. Fabryka była rzeźnią.

Rano, kiedy jeszcze było ciemno, piałły koguty. Chodziły po szarych podwórzach jak wycieńczeni mężczyźni chodzili po ulicy. I tak samo wyglądały.

Od ostatniego przystanku mężczyźni szli pieszo przez most. Na moście niebo wisiało nisko, a gdy było czerwone, mężczyźni nosili we włosach czerwony grzebień. Fryzjer z przedmieścia, strzygąc ojca Adiny mówił, że nie ma nic piękniejszego niż koguci grzebień dla bohaterów pracy.

Adina zapytała fryzjera o czerwony grzebień, bo znał skórę każdej głowy i każdy wicherek. Mówił, że wicherek jest we włosach tym, czym dla kogutów są skrzydła. Dlatego Adina wiedziała, że każdy z wycieńczonych mężczyzn choć raz w ciągu tych wszystkich lat przefrunie nad mostem. Ale nikt nie wiedział kiedy.

Gdyż koguty przefruwały nad płotami, a przed lotem piły wodę z puszek po konserwach na podwórkach. Nocą spały w kartonach po butach. Do tych kartonów wpełzały, kiedy nocą drzewa stawały się zimne, koty. Przystanek końcowy leżał siedemdziesiąt kroków dalej na przedmieściu niż most bez rzeki. Adina policzyła kroki, bo ostatni przystanek po jednej stronie był pierwszym po drugiej. Mężczyźni powoli wysiadali na ostatnim przystanku, a kobiety szybko wsiadały na pierwszym. A zanim wsiadły, biegły. Wczesnym rankiem kobiety miały pogniecione włosy i latające torby, pod pachami trzymały plamy potu. Często plamy były zaschnięte i miały białe brzegi. Na palcach kobiet olej maszynowy i rdza zżerały lakier do paznokci. Już przy biegu

do tramwaju, między podbródkiem a oczami pojawiało się zmęczenie fabryki.

Kiedy pierwsze tramwaje zaczynały dudnić, Adina budziła się i marzyła w swojej letniej sukience. Na sukience był wzór z drzew. Ich korony wisiały odwrotnie. Krawcowa przy szyciu odwróciła materiał do góry nogami.

Krawcowa mieszkała w dwóch małych pokojach, ich podłoga była kanciasta, a ściany wilgotne, wszędzie miały brzuch. Okna spoglądały na podwórko. W jednym z okien stała oparta blaszana tabliczka z napisem SPÓŁDZIELNIA POSTĘPU.

Krawcowa nazywała pokoje PRACOWNIĄ. Na stole, na łóżku, na krzesłach i kufrach były rozłożone materiały.

Na podłodze i progach leżały ścinki. Do każdego materiału była przyczepiona karteczka z nazwiskiem. Za łóżkiem, w drewnianej skrzyni stał worek z resztkami. A na skrzyni było napisane NIEPRZYDATNE.

Krawcowa szukała wymiarów ludzi w małym zeszytcie. Ci, co przychodzili od lat, należeli do stałych klientów.

Kto przychodził rzadko, przypadkiem albo tylko raz, zaliczał się do klientów przypadkowych. Gdy stali klienci przynosili materiały, krawcowa już nie zapisywała ich wymiarów w zeszytcie. Tylko wymiary wychudzonej tak jak mężczyźni kobiety, która codziennie chodziła do rzeźni, krawcowa zapisywała za każdym razem. Brała końcówkę metra krawieckiego do ust i mówiła, powinnaś iść do weterynarza, kiedy chcesz sukienkę. Jeżeli każdego lata będziesz chudsza, mój zeszyt wkrótce zapełni się twoimi kośćmi.

Kobieta kilka razy w roku przynosiła krawcowej nowy zeszyt. Na jego okładce było napisane ZESZYT

BRYGADZISTY i nad rubrykami WAGA ŻYWA i
WAGA PO
UBOJU.

Adina nigdy nie mogła chodzić po pracowni na bosa, między ścinkami materiałów na podłodze leżały szpilki. Tylko krawcowa wiedziała, jak należy stawiać stopy, żeby się nie pokłuć. Raz w tygodniu pęzała przez pokoje z magnezem, wtedy wszystkie igły z podłogi skakały jej do ręki.

Podczas przymiarki sukienki matka Adiny powiedziała do krawcowej, drzewa wiszą w dół, nie widzisz, przekręciłaś materiał. Krawcowa mogła go jeszcze odwrócić, był przymocowany tylko białą fastrygą. W ustach trzymała dwie szpilki, przód i tył jest ważny, powiedziała, i żeby zamek błyskawiczny był z lewej strony, kiedy patrzę stąd, to dół jest na górze. Pochyliła twarz do podłogi, kury tak to widzą, powiedziała. I karty, powiedziała Adina. Jej matka wyglądała przez okno na podwórze.

Od strony ulicy było okno wystawowe z krzyżami, rurami piecowymi i konewkami z ocynkowanej blachy. Były oparte o stosy starych gazet, a przed nimi na haftowanej serwetce leżała blaszana tabliczka, na której było napisane SPÓŁDZIELNIA POSTĘPU.

Krzyże, rury i konewki drżały, kiedy przejeżdżał tramwaj. Nie przewracały się.

Za oknem wystawowym stał stół z nożycami, obcęgami i śrubami, za stołem siedział mężczyzna. Był blacharzem. Miał na sobie skórzany fartuch. Jego obrączka wisiała na szyi na sznurku, bo u obu rąk brakowało mu serdecznych palców.

Także i on miał klientów stałych i klientów

przypadkowych. Stali klienci mówili, że jego pierwsza żona od dawna nie żyje, a drugiej nie znalazł, bo jego obrączka wisiała na sznurku. Fryzjer mówił, że blacharz nigdy nie miał żony, cztery razy był tą obrączką zaręczony, ale żonaty ani razu. Kiedy okno wystawowe było wypełnione krzyżami, rurami piecowymi i konewkami, blacharz lutował stare garnki.

Gdy obok wystawy przejeżdżał tramwaj, twarze z wagonu wisiały między krzyżami i rurami. Na konewkach twarze były pofalowane odjazdy i lśnienia cynkowanej blachy. Kiedy tramwaj pojechał dalej, na konewkach utrzymywało się tylko migotanie gładko udeptanego śniegu.

Adina nosiła swoją letnią sukienkę z opadającymi drzewami przez niejedno lato. Rosła, a sukienka każdego lata stawała się coraz krótsza. A korony drzew każdego lata wisiały w dół i były ciężkie. Dziewczynka z przedmieścia na skraju ścieżki, pod rosnącymi do góry drzewami miała załężnioną twarz. Cienie drzew nigdy nie zakrywały całej twarzy. Policzek w cieniu pozostawał chłodny, a ten na słońcu był gorący i miękki. W chłodnym policzku Adina czuła zamek błyskawiczny. Po letnim deszczu, który nie chłodził kamieni, spomiędzy szczelin w kamiennym podwórku wypełzały czarne łańcuchy mrówek. Adina nalała wody z cukrem do przezroczystego wężyka od drutów do robótek. Położyła wężyk w jednej ze szczelin. Mrówki wpełzły do środka, ustawiły się jedna za drugą, głową do tułowia. Adina połączyła końce wężyka za pomocą płomienia zapalniczki i założyła sobie naszyjnik na szyję. Podeszła do lustra i zobaczyła, że naszyjnik żyje, choć mrówki martwe kleiły się do cukru, każda w tym miejscu, gdzie

się udusiła.

Dopiero w naszyjniku każda mrówka była dla oka zwierzęciem.

Adina chodziła co tydzień do fryzjera, bo włosy szybko jej rosły, a nie powinny zakrywać koniuszków uszu.

W drodze do fryzjera przechodziła obok wystawy z krzyżami, rurami piecowymi i konewkami. Blacharz machał zza szyby, ona wchodziła do środka. On dawał jej tutkę z papieru gazetowego. W środku były majowe czereśnie, już w czerwcu morele, a w lecie winogrona, choć w ogrodach jeszcze nigdzie nie dojrzały. Adina myślała wtedy, że papier gazetowy zmienia owoce.

Podając papierową tutkę, blacharz mówił, jedz, bo inaczej się zepsują. Jadła szybko, owoce mogły zacząć się psuć już w chwili, gdy on wypowiadał te słowa.

Wtedy blacharz mówił, jedz powoli, żebyś długo czuła każdy kęs.

Żuła i przełykała, przyglądając się, jak pełga płomień lutownicy, jak powleka i wypełnia dziury w dnie garnka.

Wypełnione dziury lśniły jak rury piecove, konewki i krzyże w oknie. Kiedy ogień nie żre garnka, śmierć gryzie w dupę, mówił blacharz.

Raz, pewnego popołudnia Adina poszła obciąć sobie włosy w naszyjniku z mrówek. Siedziała na krześle przed ogromnym lustrem i machała nogami. Fryzjer zaczesał jej włosy na kark, podniósł grzebień do oczu, albo znikną te mrówki, albo ty z tymi mrówkami, powiedział.

W kącie spał mężczyzna. Na jego kolanach leżał kot fryzjera. Mężczyzna był wychudzony i każdego ranka, kiedy szedł do rzeźni, miał na moście koguci grzebień. Nagle obudził się, cisnął kota wzdłuż lustra i wyrzucił za drzwi. Już w rzeźni mam dosyć tych martwych gadów,

krzyknął. Splunął na podłogę.

Podłoga była pokryta obciętymi włosami, włosami wychudzonych mężczyzn, którzy się znali. Włosy były cienkie, ciemnoszare i jasnoszare i białe. Były tak gęste, jak na skórze wielkiej głowy. Pomędzy kosmykami włosów pełzały karaluchy. Kosmyki podnosiły się i opadały.

Włosy żyły, bo karaluchy je niosły. Na głowach mężczyzn nie żyły.

Fryzjer wrzucił nożyce do otwartej szuflady, tak nie mogąc obcinać włosów, powiedział, mrówki wejdą mi pod ubranie. Wyciągnął koszulę ze spodni i podrapał się, na brzuchu, kiedy cofnął palce, zostały mu czerwone smugi. Przeklinał matkę mrówek. Ten z rzeźni przeklinał matkę trupów. Lustro nagle stało się takie wysokie, a szuflada tak głęboka, że Adina zobaczyła swoje stopy pod krzesłem, jakby zwisały z dachu. Wybiegła przed drzwi, gdzie leżał kot. Kot obejrzał się za nią, miał troje oczu. Tydzień później fryzjer dał Adinie cukierki. Były pokryte przyklejonymi włosami, drapały w język. Adina chciała wypluć włosy, ale on powiedział, że przecyszczają gardło.

Cukierki zgrzytały w ustach, Adina zapytała, kiedy umrze mężczyzna, który wyrzucił kota. Fryzjer włożył garść cukierków do ust, kiedy mężczyźnie obetnie się tyle włosów, że można nimi nappełnić worek, powiedział, ubity worek. I gdy ten worek jest tak ciężki, jak ten mężczyzna, wtedy on umiera. Wkładam włosy wszystkich mężczyzn do worka, aż worek jest nabity do pełna, powiedział fryzjer. Nie ważę włosów wagą, ja je ważę oczami. Wiem, powiedział, ile włosów komu obciąłem przez te wszystkie lata. Czuję ich ciężar w

oczach, nie mogę się pomylić. Dmuchnął Adinie w kark. Klient, który wyrzucił kota, przyjdzie jeszcze siedem albo osiem razy, powiedział. Dlatego nic nie powiedziałem, choć kot od tamtego czasu nie chce jeść. Nie chcę długoletniego klienta z jego ostatnimi strzyżeniami przeganiać do innego fryzjera, na niepewne. Z kącika jego ust biegła zmarszczka, przecinała mu policzek.

Clara stoi obok koca, zakłada letnią bluzkę. Na jej palcu wskazującym parzy w słońcu naparstek. Jej nogi są kościste, podniosły się do tułowia jedynie dla tych paru kroków, dla przymierzenia bluzki. To jest krok kościstego ptaka, który nie musi nic robić, tylko spoglądać w lato i być pięknym. Topola z bliskim nożem przygląda się temu. W wygolonych pachach Clary odrastają włoski.

Pod jej pachami są już podbródkiem mężczyzny, o którym Clara mówi. Jeszcze nie spotkałam, mówi, mężczyzny który miałby styl. Pragnienie.

Clara się śmieje, kroczy sztywno za swoimi nogami, pragnienie jest rozgrzane słońcem i ma zawroty głowy od dachu. Jej głowa nie wie niczego o zielonym nożu topoli, o skraju dachu, chmur, miasta. I że ten dach w słońcu jest pełen mrówek niosących martwe muchy. I że ten dach w słońcu nie jest niczym innym jak kaniem w niebie.

Letnia sukienka z opadającymi drzewami i zamek błyskawiczny na jednym z policzków sprawiły, że Adina na długie lata unikała sukienek. U krawcowej Adina zaczęła mierzyć życie kobiet wagą ścinków tkanin. Często tam chodziła, siedziała i patrzyła. Wieszła swoją nieprzejednaną miarkę na wszystkich klientkach.

Wiedziała, u której kobiety ścinki materiału wkrótce wypełnią worek, ubity worek, który waży tyle, co kobieta. Że kobieta z rzeźni potrzebuje jeszcze czterech sukienek, a potem umrze.

Clara wyjmuje z torby małe letnie jabłko w czerwone plamy i podstawia je Adinie pod brodę. Naparstek migocze i lekko nacina skórkę jabłka. Małe jabłko z długim ogonkiem, duża część, która jeszcze powinna stać się jabłkiem, zdrewniała i zrosła się z ogonkiem. Adina wgryza się głęboko w jabłko. Wypluj, robak, mówi Clara.

Brązowa nitka z okruszków wkopuje się w jabłko. Adina wypluwa kęs razem z robakiem. To przecież tylko robak z jabłka, mówi, on rośnie w jabłku, jest z miąższu jabłkowego. On nie rośnie w jabłku, mówi Clara, wpełza do jabłka, przegryza się na drugą stronę i wychodzi. To jest jego droga.

Adina je, kęsy jabłka chrzęszczą w uszach, a po co ma wychodzić, przecież on jest z miąższu jabłkowego, jest biały, zjada biały miąższ i wysrywa brązową drózkę, przegryza się na drugą stronę i zdycha w jabłku. To jest jego droga.

Oczy Clary są nieumalowane, niebo jest puste, a noże topoli są pionowe i zielone. Oczy Clary są małe. Żrenice szukają pod policzkami najprostszej drogi do ust. Clara milczy, kładzie się na kocu i zamyka oczy.

Nad blokiem stoi chmura, biała i nastroszona. Starcy, którzy umierają w lecie, trwają przez chwilę między łóżkiem i grobem nad miastem.

Clara i letni starzec leżą pogrążeni w takim samym śnie. Adina czuje w brzuchu drogę robaka z jabłka.

Biegnie przez włosy łonowe i po wewnętrznej stronie ud

pod kolana.

Mężczyzna w dłoni

Za kobietą idzie cień, kobieta jest niska i krzywa, cień utrzymuje dystans. Kobieta przechodzi przez trawę i siada na ławce obok bloku.

Kobieta siedzi, cień dalej stoi. Nie należy do kobiety, jak cień ściany nie należy do ściany. Cienie porzuciły rzeczy, do których należą. Należą teraz jedynie do późnego popołudnia, które się kończy.

Pod najniższym rzędem okien bloków rosną dalie, mocno się rozwinęły, z powodu gorącego powietrza na brzegach są już papierowe. Zaglądają do kuchni i pokoiów, do talerzy i łóżek.

Z jednego z kuchennych okien wylatuje na ulicę dym, czuć przypaloną cebulą. Nad kuchenką wisi makatka, leśna polana z jeleniem. Jeleń ma taki sam brązowy kolor jak durszlak na stole. Kobieta oblizuje drewnianą łyżkę, dziecko stoi na krześle i płacze. Na szyi ma zawieszony śliniak. Kobieta ślimakiem obciera dziecku z twarzy lzy.

Dziecko jest za duże, żeby stać na krześle, za duże, żeby nosić śliniak. Na łokciu kobieta ma przyklejoną niebieską plamę farby. Męski głos krzyczy, cebula śmierdzi,

stoisz przy garach jak krowa, pójdę w świat, pójdę, gdzie mnie stopy poniosą. Kobieta zagląda do garnka, dmucha na dym. Mówi cichym i twardym głosem, no to idź, spakuj swoje cholerne graty do walizki i wracaj do matki. Mężczyzna szarpie kobietę za włosy, jego ręka bije ją w twarz. Potem kobieta płacząc stoi obok dziecka, a dziecko milczy i patrzy w okno.

Byłeś na dachu, mówi dziecko, widziałem twój tyłek.

Mężczyzna spluwa przez okno nad daliaми. Jego tors jest nagi, na piersiach ma plamy niebieskiej farby. Co tam jest do oglądania, mówi, napluję ci między oczy. Ślina spada na chodnik, w środku ma pestkę słonecznika. Chodź tu i wyjrzyj przez okno, to zobaczysz więcej, mówi mężczyzna. Dziecko się śmieje, kobieta podnosi dziecko z krzesła, przytula do siebie. Śmiejesz się i rośniesz, mówi, będziesz duży, a on mnie zatłucze na śmierć. Mężczyzna śmieje się cicho, potem głośno. Byłeś z dzieckiem na dachu, mówi kobieta.

Między jednym krokiem a drugim na chodniku leży ślina, niedopałki papierosów i łupiny słonecznika. Tu i ówdzie zgnieciona dalia. Przy krawężniku leży kartka z zeszytu szkolnego. Prędkość niebieskiego traktora jest sześć razy większa niż prędkość czerwonego traktora, jest na niej napisane.

Pismo wszystkich szkolnych dni, litery w jednym słowie przewracają się na plecy, w drugim na twarz. I kurzajki na palcach dzieci, brud na kurzajkach, łańcuchy kurzajek z szarych jagód, palce jak szyje indyków.

Kurzajki przenoszą się też poprzez przedmioty, powiedział Paul, przechodzą na każdą skórę. Adina codziennie dotyka zeszytów i dłoni dzieci. Kreda skrobie na tablicy, każde napisane słowo mogłoby stać się kurzajką. W twarzach są zmęczone oczy, nie słuchają. Potem słyhać dzwonek, a Adina stoi w nauczycielskim ustępie przed lustrem. Przygląda się swojej twarzy i szyi, szuka kurzajki. W palce wżera się kreda.

W łańcuchach kurzajek dzieci jest chwytanie, popychanie i kopanie, miażdżenie i ściskanie, nienawiść w szczypaniu i łapaniu. Zadurzenie i uciekanie jest w łańcuchach kurzajek, spryt matek i ojców, krewnych

i sąsiadów, i obcych. Kiedy oko puchnie, kiedy łamie się zęb, kiedy z ucha sączy się krew, przychodzi wzruszenie ramionami.

Autobus z oświetlonymi oknami przejeżdża ulicą, w środku ma pofałdowanego gumowego węża, akordeon. Rogi przesuwają się w górze po drucie, akordeon rozciąga się i składa, z fałd leci kurz. Kurz jest szary i drobno owłosiony, cieplejszy niż wieczorne powietrze. Kiedy autobus jeździ, w mieście jest prąd. Rogi krzeszą iskry w drzewa, ze zbyt nisko położonych gałęzi sypią się na ulicę liście. Topole sięgają ponad wszystkie ulice, są ciemniejsze niż inne drzewa o zmierzchu.

Przed Adiną idzie mężczyzna, trzyma w ręce latarkę. W mieście często nie ma prądu, latarki należą do dłoni jak palce. Na ulicach ciemnych jak w worku noc jest z jednego kawałka, a przechodzień jest tylko odgłosem pod oświetlonym czubkiem buta. Mężczyzna trzyma latarkę żarówką do tyłu. Wieczór przeciąga ostatnią białą nić przez koniec ulicy. Na wystawie mającą białe talerze i nierdzewne łyżki. Latarka jeszcze nie jest zapalona, mężczyzna czeka, aż końcówka ulicy wpadnie w następną małą uliczkę. Kiedy zapala latarkę, znika. Wtedy staje się mężczyzną w dłoni.

Dopiero kiedy robi się całkiem ciemno, prąd jest wyłączany. Fabryka obuwia już nie szumi, w budce portiera pali się świeca, obok niej siedzi rękaw. Przed portiernią szczeka pies, nie widać go, widać tylko błyszczące ślepia i słychać łapy na asfalcie.

Topole zajmują wszystkie ulice. Domy tłoczą się ciasno jeden obok drugiego. Za firankami stoi światło świec. Ludzie przysuwają swoje dzieci do świeczek, chcą przed następnym rankiem jeszcze raz zobaczyć ich

policzki.

Tam, gdzie rosną krzaki, noc gotuje się do skoku między liśćmi i napadem. Kiedy w ciemnym mieście nie ma prądu, noc przychodzi od dołu, najpierw odcina nogi. Wokół ramion utrzymuje się jeszcze szare światło, które wystarcza do kołysania głową, zaciskania oczu. Do patrzenia nie wystarcza.

Tylko czasami świecą kałuże, nie świecą długo, bo ziemia ma pragnienie, lato jest suche, tygodniami się kurzy. Jakiś krzak zaczepia o ramię Adiny. Ma niespokojne, białe kwiaty. Pachną ciężko, ich zapach przytłacza. Adina włącza latarkę, kółko pada w ciemność, jajo. Rośnie w nim głowa z dziobem. Światło latarki nie wystarcza do patrzenia, wystarcza tylko, żeby mieć pewność, że noc nie może pożreć całych pleców, tylko połowę.

Przed wejściem do bloku róże tkają dziurawy dach, sito z brudnych liści i brudnych gwiazd. Noc wypiera je z miasta.

Lok nad czołem

Gazeta jest szorstka, ale lok nad czołem dyktatora ma na papierze jasny połysk. Jest natłuszczony i lśni. Jest zrobiony z ugniecionych włosów. Lok jest duży, wypuszcza mniejsze loki na potylicę dyktatora. Te zostają pochłonięte przez papier. Na szorstkim papierze jest napisane:

NAJUKOCHAŃSZY SYN NARODU.

To, co lśni, widzi.

Lok nad czołem lśni. Codziennie rozgląda się po kraju. Ramka zdjęcia dyktatora codziennie w gazecie jest tak duża, jak pół stołu. Pod lokiem jest twarz jak obie dłonie razem, kiedy Adina układa je obok siebie grzbietami do

dołu, patrzy prosto w pustkę i połyka z powrotem własny oddech.

Czerń w oku dyktatora jest jak paznokieć kciuka Adiny, kiedy kciuk się zgina, niczego nie chwytając. Czerń w oku codziennie rozgląda się z gazety po kraju.

Przez kraj przebiega nerw wzrokowy. Miasta i wsie, raz zegnane w jedno miejsce, a raz rozwleczone, drogi gubią się na polach, kończą się przy rowach bez mostów albo przed drzewami. A drzewa dławią się, gdzie nikt ich nie posadził. Psy się wałęsają. Tam, gdzie nie ma domów, już dawno oduczyły się szczekać. Gubią zimową sierść, potem letnią, raz są płochliwe, raz dzikie, kiedy nikt się tego nie spodziewa. Boją się i w biegu uderzają się łapami po czołach, zanim ugryzą.

I ludzie, tam, gdzie z czerni oka pada światło, stoją w kraju i mają pod stopami miejsca, które po gardłach wspinają się stromo w górę, a na plecach opadają stromo w dół.

Również kawiarnia i park, tak samo stoły i krzesła z żelaza. Są powyginane w liście i łodygi, białe i cienkie jak nici. Ale krzesła są ciężkie, kiedy je podnosić albo przesuwać. Kto tylko dotknie ich palcami, spogląda zaraz na wodę, bo nie spodziewa się żelaza w rękach.

Droga obok kawiarni biegnie wzdłuż rzeki, rzeka wzdłuż drogi. Wędkarze stoją nad rzeką, a w wodzie pojawia się, jeszcze raz, czerń w oku. I łśni.

To, co łśni, widzi.

Cienie topoli opadają na brzegu w dół po schodach, rozbijają się na kantach i nie zanurzają w wodzie. Kiedy tramwaj przejeżdża przez most, cienie wypuszczają mniejsze cienie w nurt wody, jak lok nad czołem dyktatora wypuszcza mniejsze loki na jego potylicę.

Światło topoli i cień topoli, aż całe miasto jest w paski.
Płyty chodnikowe, ściany, kępy trawy, woda i ławki.
Nad rzeką nikt nie chodzi, chociaż jest letni dzień, choć
to mogłoby być lato do bezcelowego chodzenia nad
rzeką.

Wędkarze nie ufają pasiastemu latu. Wiedzą, że cienie
topoli na dole pozostają tym, czym topole są w górze,
nożami.

Wtedy ryby nie biorą, mówią wędkarze. Kiedy ciemny
pas z topoli pada na wędkę, przesuwać kije na jaśniejszą
trawę i zarzucają żyłki w jasną płaszczyznę wody.

Drogą wzdłuż rzeki idzie kobieta. Niesie poduszkę,
która jest związana sznurkiem, kobieta trzyma ją w obu
rękach, trzyma ją prosto, za nią uderza wiatr. Może
w poduszce leży dziecko, może niemowlę, które śpi
dwoma głowami, na obu końcach, gdzie sznurek nie jest
tak mocno związany. Ramiona kobiety są brązowe, łydki
białe jak poduszka. Jeden z wędkarzy ogląda się za jej
łydkami. Tyłek kobiety się kolebie. Spojrzenie wędkarza
wpada do wody, zmęczone i małe od stojących na głowie
topoli. Oczy wędkarza czują najmniejszy wieczór, który
rozpościera się na grzbiecie nosa w samym środku dnia.
Palce sięgają do kieszeni, wkładają do ust papierosa.

Przy

kąciku ust płomień jest jasny, dłoń staje się wielka i
przykrywa go, nadchodzi wiatr.

Wędkarze wyławiają z rzeki utopioną trawę, przeżarte
skarpety i napęczniałą bieliznę. I raz na dzień, kiedy
kije wędek są zakrzywione, a żyłki pijane dnem, oślizgłą
rybę. Mógłby to być także zdechły kot.

Najmniejszy wieczór na grzbiecie nosa kradnie
wszystko. Czego nie może ukraść, zabrania. Zabrania

szczęścia, mówią wędkarze, pasiaste lato zżera szczęście przy łowieniu ryb.

Na topolach wiszą strąki, nie są ani nasionami, ani owocami, krzywe napastrki na robactwo, na muchy i mszyce. Owady spadają z topoli i pełzają po gazecie. Adina czubkiem palca przesuwa robactwo na lok nad czołem

dyktatora, muchy pełzną wzdłuż włosów przy małżowinie usznej, mszyce czują jasny odbłask i udają nieżywe.

Kelnerka opuszcza tacę, widzi twarz na stole, jej kość policzkowa drga, jej ucho płonie. Odwraca oko, tak szybko, że strach napina niebieską żyłkę na skroni, stawia

szklankę na czoło, na stół. Lemoniada jest cienka i wzbijają się w niej żółte smugi, lok nad czołem stoi w szklance. Adina stuka łyżeczką, łyżeczka lśni, lemoniada, to, co

lśni, widzi. Gorąca igła leży na czole, tramwaj przejeżdża przez most, wywołuje fale na rzece. Adina zostawia łyżeczkę, nie dotyka szklanki, jej ręka jest jak łyżeczka. Adina czeka na Clarę i Paula. Odwraca głowę.

Za płaskim dachem kawiarni leży park, za nim stoją spadziste dachy. To są ulice dyrektorów, inspektorów, burmistrzów, funkcjonariuszy tajnych służb i oficerów. Ciche uliczki władzy, gdzie wiatr się boi, gdy mocniej zawieje. I gdy leci, to nie wiruje. A gdy uderza, woli sobie

złamać zebro niż jakąś gałąź. Suche liście chrzęszczą na drogach, zaraz zakrywając ślady po krokach. Kiedy idzie tędy ktoś, kto tu nie mieszka, kto tu nie należy, to dla tych ulic jakby go nie było.

Ciche uliczki władzy stoją w poddmuchu, który rozgina gałązki w parku i ulistnia je do podsłuchiwania, który nad rzeką podstawia drogę do stukotania, który na obu brzegach, jeszcze w skoszonej trawie sprawia, że kroki stają się pionowe, podnosi kolana do krtani.

Przechodzący tędy nie chcą rzucać się w oczy, idą stromo pod

górzę i powoli. A jednak biegną, mają pośpiech w gardle. Gdy przechodnie są już na moście, miasto nakrywa ich beztruskimi dźwiękami. Oddychają z ulgą, tramwaj dudni, wyciąga czoło i włosy z ciszy.

Panów cichych uliczek nigdy nie można zobaczyć w domach ani ogrodach. Za jodłami, po kamiennych schodach chodzą służące. Kiedy stopy służących stąpają po trawnikach, one podnoszą wnętrzności do gardła, żeby trawa się nie połamała. Gdy koszą trawniki, w biały oka mają lustro, a w nim lśnią sierp i grabie jak nożyczki i grzebień. Służące nie ufają swojej skórze, bo ich

ręce przy chwytności rzucają cień. Ich czaszki wiedzą, że urodziły się z brudnymi rękami na brudnych ulicach.

Że ich ręce teraz, w tej ciszy, nie staną się czyste. Tylko stare. Kiedy służące zaglądną do lodówki panów, w ich oczach pojawia się przestrach, bo czworokąt światła pada na stopy. Zegar ścienny tyka, zasłona się wydyma, policzek marznie przy tym, o czym myślą. Mięso jest zapakowane w celofan i pokryte szronem, biały szron, jak

kamień, marmur w ogrodzie.

W ogrodach cichych uliczek nie ma krasnali ogrodowych w czapkach. W ogrodach stoją smutne kamienie, bosa, aż do samego wnętrza głowy. Nagie lwy, białe, jak

pokryte śniegiem psy, i nagie anioły bez skrzydeł, jak pokryte śniegiem dzieci. A kiedy zimą mróz kręci się koło słońca, tutaj też śnieg staje się żółty i łamie się, nie topniejąc.

Służące mieszkają pod domami w piwnicach. To, czego dotykają we śnie w nocy, jest bliżej stonóg i myszy niż podłóg na górze. Mężowie służących poszli pod ziemię, dzieci służących odeszły z domu. Służące są wdowami. Jedna z nauczycielek w szkole Adiny jest córką służącej. W żółtym domu za okrągłym ogrodem moja matka jest służącą, powiedziała Adinie nauczycielka. Na drugim brzegu rzeki podniosła palec wskazujący i pokazała

Adinie tamten dom. Jej oczy były tępe, a może tylko jej spojrzenie zeszytniało, bo to był bardzo zimny dzień i woda w pobliżu. W górze na moście zaśmiała się, tramwaj przejechał obok, zmiażdżył śmiech. Wieczorem, powiedziała córka służącej, kiedy jest już ciemno, wraca do

domu pan, jest oficerem, przepija swoje dni w kasynie wojskowym przy placu Wolności. Wieczorem to droga jego znajduje, a nie on drogę. Gdy wychodzi, kelnerki zakładają mu na głowę czapkę od munduru tyłem do przodu. I tak telepie się po ulicach, aż droga do domu go znajdzie, z daszkiem czapki na karku. Co wieczór, mówiła córka służącej, w tym domu odbywa się to samo: DELTA DUNAJU. Na wieży katedry odezwał się dzwon,

córka służącej spojrzała w górę, śmiała się i śmiała, uderzenia dzwonu zawisły jej na języku. W oknach wystaw

Adina jeszcze raz poczuła bliskość wody. Córka służącej

pochyliła się, obejrzała buty od spodu. Podeszwa stała w jej oczach, obcasy mi się nie podobają, powiedziała. Wykrzywiła usta, powiedziała DELTA DUNAJU i znów była przy oficerze.

Kiedy oficer wchodzi po schodach między lwami, jego żona słyszy szuranie butów. Mówi do mojej matki:

DELTA DUNAJU. Matka bierze z kuchni garnek z gorącą wodą i niesie go do łazienki. Wlewa wodę do miednicy, która stoi na podłodze. Dolewa stopniowo zimnej

wody, aż miednica jest pełna po brzegi, a woda letnia.

Żona oficera czeka w sieni. Zanim klucz przekręci się na zewnątrz, ona otwiera drzwi od środka. Wyjmuje mężowi z rąk aktówkę, zdejmuje czapkę z głowy i mówi DELTA DUNAJU. Oficer mruczy i kiwa głową. Idzie za żoną przez

pokój na ukos do łazienki. Żona siedzi już na zamkniętej pokrywie ubikacji, on zdejmuje buty i stawia je przed drzwiami. Kobieta mówi, wyjmij ptaka. Oficer zdejmuje spodnie od munduru i podaje żonie. Ona składa je i wiesza sobie na ramieniu. On zdejmuje gacie i z rozkraczonymi nogami siada nad miednicą, opada na kolana i patrzy na niebieskie kafelki nad lustrem. Jego członek zanurza się w wodzie. Kiedy jądra opadają mu do wody, żona mówi, dobrze. Jeśli jądra unoszą się na powierzchni wody, żona płacze i krzyczy, wyruchaleś się do cna, nawet twoje buty są sflaczałe. Oficer opuszcza głowę między kolana, patrzy na swoje pływające jądra, przysięgam,

mówi, najdroższa, przysięgam.

Córka służącej spojrzała na nagi krzak, który zaczął się o jej płaszcz, co przysięga, tego moja matka nie wie,

powiedziała, lustro jest pokryte parą, on powtarza swoją przysięgę. Jego żona już dawno się uspokoiła, teraz płacze on. U niego to tylko jęki, u niej jest więcej. Moja matka siedzi w pokoju dziennym, jej krzesło stoi przy dłuższym boku stołu. Patrzy do łazienki, wstydzi się aż po same oczy. Chowa ręce, które drżą, pod blatem stołu. Kiedy moja matka tylko ruszy kapciem z miejsca, pani mówi, Lenuzo, masz zostać. A do oficera mówi, wsadź ptaka do spodni. On wstaje i zakłada gacie. Ona ze spodniami na ramieniu przechodzi przez pokój, za każdym razem trzyma się krawędzi stołu, potem bierze moją matkę za ramię. Mówi, Lenuzo, posprzątaj to, potem idzie znowu wzdłuż krawędzi stołu, jak wzdłuż poręczy, do drzwi sypialni. On z butami w dłoni idzie za nią. Córka służącej chuchnęła sobie ciepłym powietrzem z ust w dłonie. Mój płaszcz nie ma kieszeni, powiedziała, on jest od pani. Moja matka sprząta w łazience i wyłącza światło. Właściwie nie wierzę w to wszystko, powiedziała córka służącej i zaczęła rozcierać sobie palce o płaszcz, gdy uderzała przy tym paznokciami o guziki, powstawał dźwięk, kamienie stukały o kamienie.

Moja matka jeszcze nigdy nie skłamała, powiedziała córka służącej, za drzwiami sypialni chrapie oficer, pani nuci piosenkę:

Róży w dolinie

Kwiat nie przeminie

Kwitną dziś znów

Róże w dolinie

Moja matka zna tę piosenkę, pani śpiewa ją każdego ranka w kuchni. Moja matka chodzi na paluszkach, ale podłogi skrzypią. Pani nasłuchuje i mówi, kiedy matka

stoi przed drzwiami w sieni, Lenuzo, zamknij dwa razy. Pani się boi, mówiła córka służącej, że kamienny anioł nocą będzie chodził po domu. Dlatego są lwy. Pani mówi czasem do mojej matki, między moimi lwami jego anioł się nie przeciąśnie. Oficer kupił anioła przeciwko lwom swojej żony. Od tego samego kamieniarza są i lwy i anioł,

moja matka mówi, że one nic sobie nie robią. Oficer o tym wie, mówiła córka służącej, jego żona nie wie. Rano, kiedy oficer jest w butach i czapce, pani w sieni czyści szczotką kurtkę jego munduru. On schyla się powoli i bierze swoją aktówkę, a ona schyla się i szczotkuje. Szczotka jest tak mała, że moja matka, kiedy jeszcze

nie była długo w tym domu, nie widziała jej w ręce pani. Matka dziwiła się, że pani zwija dłoń, kiedy przesuwa ją po kurtce oficera. Ale pewnego razu szczotka wypadła pani z ręki. Pani ma bardzo małe dłonie, moja matka myślała wcześniej, że pani nie może trzymać w ręce czegoś,

czego nie byłoby widać. Jest bardzo wysoka, pani, powiedziała córka służącej, nigdy jeszcze nie widziałam tak małych rąk u tak wysokiej kobiety. Kiedy oficer wychodzi, pani staje przy oknie i patrzy za nim. Dwa domy

dalej, potem on znika, a ona czeka, aż zobaczy go na początku mostu, potem na moście. Pani mówi, że się boi, że właśnie rano, kiedy jest trzeźwy, coś mu się stanie na moście.

No jest jeszcze ta historia z buteleczką perfum, powiedziała córka służącej. Pani nosi ją schowaną w torebce, już od lat jest pusta. To róża rżnięta w szkło,

koreczek był kiedyś pozłacany, ale od noszenia już się wytarł. Na brzegu korka są wygrawerowane litery cyrylicy, w buteleczce musiały być rosyjskie perfumy. Przed

laty przebywał w tamtym domu pewien rosyjski oficer, o którym potem nigdy się nie mówiło, miał niebieskie oczy. Bo pani mówi czasami, najpiękniejsi oficerowie mają niebieskie oczy. Jej mąż ma brązowe oczy i mówi czasem do żony, znowu cuchniesz różami. Z tą buteleczką na pewno wiąże się coś szczególnego, coś smutnego, powiedziała córka służącej, zwilżyła dolną wargę

i zostawiła koniuszek języka w kąciku ust. Coś, co otwiera jakieś życzenie i zamyka pewne drzwi, powiedziała,

to musiało być coś takiego, bo to nie nieobecność męża, ale noszenie pustej buteleczki po perfumach czyniło z pani osobę samotną. Czasami jej matce wydaje się, jakby głowa pani zapadała się w szyję, jak gdyby od gardła do kostek w pani były schody, jakby po tych schodach głową wchodziła do swojego wnętrza. Może dlatego, że moja matka mieszka w piwnicy, powiedziała córka służącej. Żona oficera siedzi przez pół dnia przy stole, a jej oczy są kłująco puste, suche kwiaty słonecznika. Córka służącej wymiętą chusteczką wytarła sobie zaczerwienione nozdrza, potem schowała chusteczkę jak kulkę śniegu z powrotem do torebki. Pani kupuje jej matce, mówiła, co roku na Boże Narodzenie parę kapci z prawdziwej jagnięcej skóry, co tydzień daje jej kawę ziarnistą i rosyjską herbatę.

Ja dostaję to wszystko, mówiła córka służącej, bo moja matka oszczędza. Tylko kapci matka nie może mi dać, bo

pani by to zobaczyła. Przedostatnie udało się jej wynieść, powiedziała, że pies listonosza wywłókł je z domu i tak pogryzł, że już nie można było ich nosić. Listonosz temu zaprzeczał, ale nie mógł nic udowodnić.

Pracę w szkole, mówiła córka służącej, dostałam przez matkę, przez żonę oficera.

Nad rzeką stoją obok siebie dwaj wędkarze. Jeden z nich zdejmuje z głowy czapkę, jego włosy są przyklepane, przez potylicę przebiega ślad sznurka. Jest z gołą

35

głową, ale ma czapkę z białych włosów. Drugi wędkarz wypłuka łupiny do rzeki, łupiny unoszą się na wodzie, są w środku białe, a z wierzchu czarne. Podsuwa temu w czapce gołej głowy garść pestek słonecznika, jedz, mówi, to czas szybciej zleci. Wędkarz w czapce gołej gło-

wy odpycha od siebie rękę ze słonecznikiem, one są jak pestki arbuza, mówi. Kiedy z frontu wróciłem do domu, wszystko, co oni tu w domu jedli, było dla mnie cmentarzem. Kielbasa, ser, chleb, nawet mleko i ogórki były za drzwiczkami kredensu, pod pokrywkami, grobem. Teraz, po latach, już nie wiem, mówi. Schyla się, bierze kamień, obraca go w dłoni, przymruża prawe oko. Rzucą kamień do rzeki, rzuca tak, żeby kamień dotknął wody i odbił się, cztery razy dotyka wody i cztery razy leci dalej. Żeby kamień zatańczył na wodzie, zanim utonie. Wstręt już mi przeszedł, mówi, ale boję się wnętrza arbuźów. Wędkarz ze słonecznikiem cofa głowę, jego usta są wąskie, oczy skośne. Stawia obie wędki na jasnej trawie.

Słońce stoi wysoko, stoi na mieście. Kije rzucają cienie, popołudnie opiera się o cień wędek. Kiedy się

przewróci, myśli Adina, kiedy dzień się obsunie na dół, wytnie na polach wokół skraju miasta głębokie rowy, kurydza się złamie.

Wędkarze stoją w bezruchu, kiedy milczą. Gdy ze sobą nie rozmawiają, nie żyją. Ich milczenie nie ma innego po-

wodu, tylko ten, że słowa się urywają. Na wieży katedry chodzi zegar, bije dzwon, wtedy godzina jest pusta, minęła, mogłoby być dzisiaj i jutro. Nikt nad rzeką jej nie czuje, uderzenie dzwonu cichnie w wodzie i pojękuje, aż przebrzmi.

36

Po upale nieba wędkarze mierzą upływ dnia i widzą deszcz, gdy wisi jeszcze nad innymi okolicami, po dymie z fabryki drutu. I w pieczeniu na ramionach czują, jak długo słońce rośnie i od kiedy się obniża i przełamuje.

Kto zna rzekę, ten widział niebo od środka, mówią wędkarze. Kiedy w mieście robi się ciemno, zegar na wie-

ży przez chwilę nie może mierzyć czasu. Cyferblat staje się biały, aż oddziela się od niego poświata i pada do parku. Wtedy drobno ząbkowane liście akacji wyglądają jak grzebienie. Wskazówki przeskakują, wieczór im nie wierzy. Biała poświata nie trzyma się długo.

Dopóki biała poświata się utrzymuje, obaj wędkarze leżą na brzuchu jeden obok drugiego. Patrzą w rzekę. Rzeka pokazuje temu, kogo zna, dopóki utrzymuje się białe światło, mówią wędkarze, swoją zgniłą dnę. To jest niebo od środka. Dna leży w środku głębi, a nie na płyci-

nie. Ma tak wiele ubrań, że sięgają od jednego mostu do

drugiego. Dna jest naga, trzyma ubrania w rękach. To są ubrania topielców, mówią wędkarze.

Wędkarze nie przyglądają się długo dnie, rzuciwszy krótkie spojrzenia, kładą twarze na trawie i śmieją się, aż trzęsą im się nogi. Wędkarz w czapce gołej głowy nie śmieje się. Kiedy drugi go pyta, dlaczego nogi mu się trzęsą, choć się nie śmieje, odpowiada, kiedy kładę twarz na trawie, widzę, jak mój nagi mózg stoi w wodzie.

W kawiarni, przy ostatnim stoliku, stoi cygański chłopiec. Podnosi nad swoją twarzą pusty kufel po piwie, nitka piany spływa powoli, jego usta połykają, zanim nitka

piany dojdzie do jego warg. Przestań pić, mówi Adina, nie masz ust, pijesz czołem. Mówi to głośno, chłopiec stoi przy jej stoliku, daj mi leję, prosi, wyciąga rękę nad gazetą. Adina kładzie leję koło szklanki, chłopiec nakrywa monetę dłonią i ściąga ze stołu. Pan Bóg, mówi, pomoże ci, żebyś była długo piękna i dobra. Mówi o Bogu,

a Adina nie widzi jego twarzy w słońcu, tylko dwoje białozółtych oczu. Napij się lemoniady, mówi.

W szklance pływa mucha, chłopiec wyjmuje ją łyżeczką, zdmuchuje na ziemię i wkłada łyżeczkę do kieszeni spodni.

Szojszój, woła kelnerka.

Gardło chłopca jest zaschnięte, w jego koszuli bulgocze. Podnosi szklankę, wypija ją jednym haustem przez całą twarz, aż po jasnożółte oczy. Wkłada szklankę do kieszeni spodni.

Szojszój, krzyczy kelnerka.

Szojszój znaczy w języku cygańskim ZAJĄC, powiedziała kiedyś Clara, Cyganie boją się zajęcy. Oni

się

boją przesądów, powiedział Paul, to więcej, bo boją się zawsze.

Staremu Cyganowi, który został wypisany ze szpitala, Paul napisał na kartce, co może jeść. Mężczyzna nie umiał czytać. Paul odczytał mu, co było na kartce. Było tam napisane też MIĘSO ZAJĄCA. Nie mogę wziąć tej kartki, powiedział mężczyzna, jesteście panem, musicie mi napisać inną kartkę. Paul przekreślił MIĘSO ZAJĄCA

kreską, mężczyzna pokręcił głową, to ciągle jest tam napisane, powiedział, jesteście lekarzem, panem nie jesteście. Nie zrozumieliście, jak bije wasze serce. W zającu bije serce ziemi, dlatego jesteśmy Cyganami, bo my to

rozumiemy, mój panie, dlatego musimy biec.

Cygański chłopiec biegnie przez topolowe pasy, które go przecinają, zarzuca podeszwy stóp na plecy. Kelnerka biegnie za podeszwami stóp. Wędkarz z pestkami słonecznika patrzy za latającymi podeszwami stóp. Jak kamyki na wodzie, mówi.

W krzakach wieje wiatr, oczy chłopca stoją wśród liści.

Kelnerka stoi w trawie, dyszy, przyczajona rzęsami, wszystkie liście wachlują, ona nie widzi chłopca.

Opuszcza głowę, zdejmuje sandały i powoli idzie z powrotem

do kawiarni, małymi krokami przez pasy topoli, boso po kamiennych płytach. Pod jej ręką wisi cień sandałów. I na cieniu widać, jak wysokie są obcasy, jak cienkie rzemyki, jak pod pierścionkiem kelnerki, na kamieniu jeszcze raz połyskują sprzączki. Biegaj za mną, będziesz z tego więcej miała, mówi wędkarz ze słonecznikiem, bez

butów

masz grube nogi, bez obcasów jesteś chłopką.

Wędkarz, który boi się arbuźów drapie się po klapie spodni, na wojnie, mówi, byłem w takiej małej wiosce.

Zapomniałem, jak się nazywała. Zajrzałem przez okno, a tam siedziała kobieta przy maszynie do szycia. Szyła białą koronkową firankę, zwisała aż na podłogę.

Zapukałem i powiedziałem WODY. Otworzyła, niosła przed

sobą firankę do drzwi. W wiadrze z wodą wisiała chochła. Piłem jedną chochlę za drugą, przy picu widziałem

jej łydki, grube i białe. Patrzyłem tylko do wiadra z wodą,

widziałem ją całkiem naga, stojącą w wodzie. Woda była zimna, moje podniebienie gorące, krtań pulsowała mi w uszach. Pociągnęła mnie na podłogę, pod sukienką nie miała majtek. Koronki drapały, a jej brzuch był bez dna. Nie powiedziała nic. Często o tym myślę, nie słyszałem jej głosu. Ja też nic nie powiedziałem.

Dopiero, kiedy

znowu byłem na ulicy, powiedziałem do siebie WODY.

Wędkarz z pestkami słonecznika odgryza nitkę zwisającą przy obrębie koszuli, to z powodu łydek, mówi. Moja żona tak jęczy, kiedy na niej leżę, że sąsiedzi w środku nocy stukają w ścianę i krzyczą, przestań ją bić. Za tymi jękami nie ma nic, wiem to już od dawna, pod jej koszulą nocną wszystko jest zimne, tylko usta krzyczą. Leżę na niej i przyzwyczajam się do ciemności, widzę jej szeroko otwarte oczy, jej czoło wysoko w górze, szarożółte jak księżyc, i jej opadający podbródek. Widzę, jak wykrzywia usta. Mógłbym nosem dźgnąć ją w otwarte oczy, ale tego

nie robię. Jęczy jak kobieta, która musi podnieść szafę, a nie jak taka, której jest dobrze. Jej żebra są tak twarde, że wysycha jej serce, jej nogi są codziennie chudsze. Od kostek w górę na łydkach nie ma wcale mięsa. Mięso z całego ciała rośnie jej w brzuchu, ten robi się okrągły i napięty jak u tłustej owcy.

Wędkarz zdejmuje but, odwraca go, potrząsa, na ziemię wypada pestka czereśni. Czasem księżyc stoi między sufitem i ścianą w rogu pokoju, mówi. Ma zaprasowaną fałdę, mogę widzieć wzory na kieliszkach do wina w kredensie i frędzle dywanu. Oczami obrysowuję frędzle dywanu i rozmyślam o dniu. Wędkarz w czapce gołej głowy

wyrywa źdźbło trawy i wkłada do ust, żuje, źdźbło się kołysze. Rozmyślanie o dniu, mówi wędkarz z pestkami słonecznika, nie trwa długo, topole, rzeka. Dziś wieczorem potrwa dłużej, dziś wieczorem mam kelnerkę. Wędkarz ze źdźbłem trawy śmieje się, i Cygana, mówi. Dziś wieczorem potrwa dłużej, mówi wędkarz z pestkami słonecznika, a jeszcze dłużej zasypianie. Słyszę cykady za oknem. Łóżko chwieje się, bo koszula nocna się

kładzie. Cykady brzęczą, wiążą ciemny sznur, pożerają mój spokój. Mogą być pod blokiem. Wstrzymuję oddech, czuję, że cykady niosą blok na swoich plecach po trawie, przez długą równinę aż do Dunaju. Kiedy zasypiam, śni mi się, że wychodzę z bloku na ulicę. Nie ma ulicy. Stoję w piżamie, na bosaka, nad wodą i marznę. Muszę uciekać, muszę uciekać przez Dunaj do Jugosławii. Ale nie

umiem pływać.

Po drugiej stronie rzeki dwóch mężczyzn siedzi na

ławce. Mają na sobie garnitury. Ich uszy są przezroczyste od światła, stoją obok siebie jak liście. Jeden z mężczyzn nosi krawat w czerwono-niebieskie kropki. Na końcu ławki leży plama cienia, mogłaby być płaszczem, bez rękawów, bez kołnierza, bez kieszeni. Takim, którego już nie będzie, kiedy światło położy się na następnej

gałęzi. Obaj mężczyźni jedzą pestki słonecznika. Łupiny wpadają szybko do wody. Wiatr unosi gałąź, płaszcz staje się mniejszy.

Wędkarz z czapką gołej głowy pokazuje kącikiem oka na obu mężczyzn, wypłuka żdźbło trawy. Czy znasz te ptaszki tam naprzeciwko, pyta. Ja naprawdę nie umiem pływać, mówi wędkarz z pestkami słonecznika. Wzrusza ramionami. Mówi cicho.

Raz w tym śnie o Dunaju widziałem też moją żonę, mówi. Podszedłem do wody, a ona już tam była. Nie znała mnie. Zapytała, jak obca pyta obcego, czy ty też chcesz uciec. Szła od żwiru, od wody w drugą stronę. Były tam zarośla wierzbowe i leszczynowe. Zawołała, nurt jest rwący, muszę jeszcze coś zjeść. Szukała pod krzakami. Ale tam rosła tylko rzeczna trawa, więc zaczęła przeszukiwać gałęzie, obrywała orzechy łaskowe razem z ogonkami i liśćmi. Orzechy jeszcze nie nadawały się do zbierania, jeszcze tkwiły w zielonych kołpaczkach. Rozbijała je okrągłym kamieniem. Jadła, a z ust

splywało jej mleko. Spojrzałem w drugą stronę, spojrzałem w wodę. Ojczy nasz, któryś jest w niebie i na ziemi, powiedziałem. Przy każdym słowie słyszałem z moich ust stukanie kamienia. Nie mogłem się dalej

modlić, czułem się wykpiony. Pan Bóg słuchał kamienia i orzechów laskowych, a nie mnie. Odwróciłem się do niej i krzyknąłem tak głośno, że głos aż zakłuł mnie w oczach, chodź tu do mnie, przecież nie mogę uciec, przecież nie umiem pływać.

Na czole dyktatora siedzi mszyca i udaje nieżywą. Adina przychodzi do tej kawiarni, bo leży nad rzeką, bo park co roku rozrasta się w górę o długość ramienia, a półroczne drewno jeszcze późnym latem jest jasne i miękkie. I dlatego, że po starych gałęziach można zobaczyć, że rok, który minął, dalej się kotysze. Kora jest tak ciemna i twarda, liście grubo zeberkowane, że lato tak szybko się nie kończy. Kiedy przychodzi mróz, jest październik. W jedną noc odcina liście i wygląda to jak wypadek.

Ponieważ w parku wisi strach, człowiek staje się powolny w głowie i widzi we wszystkim, co inni mówią i robią, swoje własne życie. Nigdy nie wiadomo, czy to, co się myśli, będzie głośnym zdaniem, czy węzłem w gardle.

Albo tylko podnoszeniem i opadaniem skrzydełek nosa. Człowiek staje się czujny w powiewie strachu. Z komina fabryki drutu leci dym, rozrywa się, aż zostaje tylko obraz letnich starców. A na dole ubrania zgniłej dny.

Gdy Adina przyzwyczajają się do powiewu strachu, własne kolano jest w dotyku inne niż krzesło. Wtedy ciche uliczki władzy wieszają się tramwaju na moście jak ostatni wagon. I zostają wciągnięte do miasta, na przedmieście, na brudne ulice służących. Tam widać po zaschniętym błocie, że dzieci już odeszły z domu, a mężowie

poszli pod ziemię. Okna są pozaklejane starymi gazetami, wdowy, z rękami do przodu, uciekły na uliczki władzy. Kiedy długo się siedzi w kawiarni, strach kładzie się i czeka. A gdy jutro się wraca, leży już tam, gdzie się siada. Jest mszycą na głowie, nigdzie nie odpełza. Kiedy za

długo się siedzi, strach udaje nieżywego. Clara szarpie krzesłem, podnosi sukienkę, ma świeżo wydepilowane nogi, skóra jest tak gładka, że w każdym porze jest czerwony pieg. Wczoraj Mara musiała liczyć zwoje drutu, mówi, dyrektor zawołał ją dzisiaj do siebie, stanął przy oknie i jeszcze raz przeliczył zwoje drutu. Kiedy skończył liczyć, powiedział, masz nogi jak sarna.

Mara zaczerwieniła się i powiedziała, dziękuję. A dyrektor powiedział, takie zarośnięte jak u sarny. Na wodzie wiosłują cztery kobiety w łódce, mięśnie ich ramion są jak brzuchy. Piąta kobieta trzyma przy ustach lejek, krzyczy w ten lejek, nie patrząc na wiosłarki,

krzyczy na wodę.

Clara idzie przez pasy topoli do miasta. Jej buty stukają nad rzeką. Lok nad czołem widzi, że krzyki z lejka stają między nogami Clary.

Wędkarz w czapce gołej głowy gwizdże piosenkę. Mężczyzna w krawacie w czerwono-niebieskie kropki wstaje z ławki, idąc wsuwa krawat pod marynarkę, idąc wypluwa łupiny słonecznika do rzeki, na schodach czesze się idąc. Stoi na moście, idzie za nogami Clary, jej letnia sukienka fruwa. Mężczyzna idąc zapala sobie papierosa.

Adina otwiera białą kopertę, Paul trzyma gazetę

przed twarzą, paznokieć jego kciuka jest nadłamany. Na palcu wskazującym skóra jest żółta, od palenia rośnie tam liść tytoniu. List jest od Liviu, to zaproszenie z dwiema splecionymi ślubnymi obrączkami.

Liviu to przyjaciel szkolny Paula, od dwóch lat jest nauczycielem w małej wiosce na południu, gdzie Dunaj odcina kraj, gdzie pola zderzają się z niebem, a przekwitłe osty rzucają białe poduszcзки do Dunaju. We wsi chłopci piją wódkę przed śniadaniem i idą na pola, opowiadał

Liviu. A kobiety napychają gęsi kukurydzą z tłuszczem. A policjant, proboszcz, sołtys i nauczyciele noszą złote zęby w ustach.

Rumuńscy chłopci jedzą i piją za dużo, bo mają za mało, powiedział Liviu, i mówią za mało, bo za dużo wiedzą. A obcym nie wierzą, nawet jeśli ci jedzą i piją to samo, bo obcy nie mają w ustach złotych zębów. Obcy są tutaj bardzo samotni, mówił Liviu.

To jest powód, dla którego Liviu żeni się z nauczycielką ze wsi, z kobietą, która jest stamtąd.

Człowiek dobry jak kawałek chleba

Mężczyzna prowadzi konia skrajem drogi. Gwiżdże piosenkę. Piosenka jest wolniejsza od jego kroków, kopyta końskie nie zakłócają taktu. Mężczyzna idąc patrzy

w ziemię. Kurz jest każdego ranka starszy niż dzień. Adina czuje piosenkę w podeszwach stóp, w jej czole usta mężczyzny śpiewają słowa:

Ciągle dręczy mnie ta myśl

by sprzedać dom mój i pole

Mały mężczyzna, cienki sznurek, duży koń.

Cienki sznurek dla konia to gruby sznur dla mężczyzny.
Mężczyzna ze sznurem to wisielec. Tak jak blacharz
z tamtych zapomnianych lat, z przedmieścia.

Pewnego dnia, kiedy przed jego wystawą z rurami
piecowymi, konewkami i cementarnymi krzyżami dudnił
jak co dzień tramwaj, był wisielcem.

Przejeżdżający ludzie stali za szybami, a każdy trzymał
w ramionach jagnię, bo zbliżała się Wielkanoc.

Ogień nie żarł już garnków, ale śmierć nie ugryzła
blacharza, jak zawsze powtarzał, w dupę. Śmierć ścisnęła
mu szyję, kiedy go znalezione.

Jego nieliczne palce wzięły sznur i zrobiły z niego
pętlę. Mężczyzna z rzeźni, który wyrzucił za drzwi kota
fryzjera, znalazł blacharza. Zamówił u niego rurę do
pieca i przyszedł ją odebrać. Szedł od fryzjera. Jego
włosy

były świeżo ostrzyżone, a podbródek świeżo ogolony,
pachniał olejkiem z traw. Lawenda, mówił o tym
zapachu

fryzjer, ale wszyscy mężczyźni, których golił, błyszczeli
na twarzy i pachnieli trawą.

Mężczyzna, który pachniał trawą, powiedział, kiedy
znalazł wisielca, dobry rzemieślnik, a partaczy robotę.

Bo blacharz wisiał krzywo i tak nisko nad podłogą
przy drzwiach, że mógłby stanąć na czubkach palców
i się odepchnąć, gdyby zechciał.

Mężczyzna, który pachniał trawą, sięgnął ponad gło-
wę wisielca, powiedział, szkoda dobrego sznura. Nie od-
ciął sznura, rozluźnił pętlę, blacharz wypadł. Skórzany
fartuch zgiął się, kiedy upadł. Wisielec się nie zgiął, jego
ramiona uderzyły o podłogę, a głowa stała prosto w
powietrzu. Mężczyzna, który pachniał trawą, rozwiązał

węzeł, nawinął sobie sznur przez dłoń między kciukiem a palcem wskazującym i przez łokieć. Z krótkiego końca zrobił węzeł, taki sznurek może się przydać w rzeźni, powiedział.

Krawcowa włożyła obcęgi i nowe błyszczące gwóźdźcie do kieszeni fartucha. Zwiesiła głowę i na budzik, który stał na stole, skapywały jej łzy. Na cyferblacie zegara jeździła lokomotywa, tykała. Krawcowa popatrzyła

na wskazówki i wzięła konewkę, to wezmę na jego grób, powiedziała. A mężczyzna, który pachniał trawą, powiedział, nie wiem. Szukał swojej rury do pieca.

A fryzjer powiedział, jeszcze godzinę temu blacharz był u mnie, ogoliłem go. Nawet jeszcze nie wysechł, i się powiesił. Fryzjer włożył pilnik do kieszeni kitla. Spojrzał na mężczyznę, który pachniał trawą, kto odcina wisielców, powiedział, sam sobie szykuje pętlę.

Mężczyzna, który pachniał trawą, trzymał pod pachą trzy rury piecowe i pokazał sznur, no to przyjrzyj się, sznur jest cały.

Adina widziała na podłodze obok wisielca stos zalutowanych garnków. Emalia we wnętrzu garnków była

przebarwiona i poodpryskiwana. Pietruszka i lubczyk, cebula i czosnek, pomidory i ogórki. Ze wszystkiego, co lato wypuszcza z ziemi, było w tych przebarwieniach po ząbku, po plasterku, po listku. Warzywa ze wszystkich ogrodów i pół przedmieścia, i mięso z wszystkich podwórek i stajni.

Kiedy przyszedł lekarz, wszyscy odstąpili od blacharza na krok, jakby dopiero teraz ogarnęła ich groza.

Milczenie wykrzywiło każdą twarz, jakby lekarz

przyprowadził śmierć.

Lekarz rozebrał blacharza do naga i popatrzył na garnki. Pociągnął pozbawione życia ręce i powiedział, jak ktoś może lutować z trzema palcami u obu dłoni.

Kiedy lekarz rzucił na podłogę spodnie blacharza, z ich kieszeni wypadły dwie morele. Były żółte jak ogień, który

już nie żarł garnków, okrągłe i gładkie. Pobiegły pod stół i świeciły w biegu.

Sznurek jak co dzień wisiał na szyi blacharza, ale na sznurku brakowało obrączki.

Kilka dni i nocy powietrze pod drzewami miało gorzki zapach, Adina widziała pusty sznur na wapiennych żyłach ścian i w spēkanym asfalcie. I pierwszego popołudnia myślała o krawcowej, pierwszego wieczoru myślała o mężczyźnie, który pachniał trawą. A następnego dnia myślała o fryzjerze, a w nocy, która bez zmierzchu wpadła w wieczór, Adina myślała o lekarzu.

Dwa dni po śmierci blacharza matka Adiny poszła przez pola buraków do wioski, która białymi ścianami mrugała aż do przedmieścia. Kupiła jagnię, bo zbliżała się Wielkanoc. W wiosce z owcami matka Adiny usłyszała, że u wisielca było dziecko. Obce, przybłąkane dziecko, mówiły kobiety we wsi, ukradło obrączkę z szyi blacharza. Obrączka była ze złota, można było ją sprzedać

i kupić całun dla blacharza. A tak pieniądze z szuflady jego stołu z narzędziami ledwie wystarczyły na surową, ciasną skrzynię z desek. To nie była trumna, mówiły, ale drewniany garnitur.

Mężczyzna z koniem zatrzymuje się na skraju drogi, zasłania go przejeżdżający autobus. Potem autobus

się oddala, mężczyzna stoi w kurzu, a koń chodzi wkoło niego. Mężczyzna podnosi nogę nad sznurkiem, owija sznurek wokół pnia drzewa i mocno zawiązuje pętlę. Przeciska się przez drzwi sklepu między głowy czekające w kolejce po chleb.

Zanim głowa mężczyzny zniknie wśród krzyczących głów, ogląda się do tyłu. Koń podnosi kopyto, stoi, dłużej niż przejeżdża autobus, na trzech nogach, ociera się brzuchem o pień.

Adina czuje kurz w oku, koń nozdrzami przeszukuje korę drzewa. Jego głowa rozplywa się. Kurz z kącika oka jest na czubku palca Adiny maleńką muszką. Koń zjada gałązkę, liście akacji szeleszczą mu u pyska, cienkie drewno ma kolce, chrzęści mu w gardle.

Ze sklepu, w którym zniknął mężczyzna, gorące powietrze pada na ulicę. Autobusy wydmuchują za sobą duże koła kurzu. Słońce wisi na każdym autobusie, ono też jedzie. Na brzegach trzepocze jak rozpięta koszula. Ranek pachnie benzyną i kurzem, i rozdeptanymi butami. A kiedy obok przechodzi ktoś z chlebem w ręce, chodnik pachnie głodem.

U krzyczących głów w sklepie głód ma przezroczyste uszy, twarde łokcie, zepsute zęby do gryzienia i zdrowe zęby do krzyku. W sklepie jest świeży chleb. Niezliczone są łokcie w sklepie, ale chleby są odliczone.

Tam, gdzie kurz najwyżej się wzbija, ulica jest wąska, bloki są krzywe i ciasno ustawione. Przy drogach trawa jest gęsta, a kiedy kwitnie, śmiała i jaskrawa, zawsze wystrzępiona wiatrem. Im śmielsze kwiaty, tym większa bieda. Tam lato młóci samo siebie, myli podarte ubrania z plewami. Dla lśnienia szyb w oknach oczy przed i za nimi znaczą tyle, co latające nasiona dla trawy. Tam

dzieci wyciągają z ziemi żdźbła trawy z mlecznymi
łodyżkami i wysysają je w zabawie. I w zabawie jest
głód. Płuca przestają rosnać, mleko z traw żywi brudne
palce, łańcuchy kurzajek. Mlecznych zębów nie, one wy-
padają. Nie chwieją się długo, przy mówieniu wpadają
do

ręki. Dzieci rzucają je, dzisiaj jeden, jutro jeden, przez
ramię za plecy w trawę. A gdy ząb leci, wołają:

Myszko, myszko, przynieś mi nowy ząb,
a ja ci dam stary.

Dopiero kiedy ząb gubi się w trawie w niewiadomym
miejscu, oglądają się za siebie i nazywają to
dzieciństwem.

Mysz zbiera mleczne zęby i wyklada sobie białymi
kafelkami korytarze pod blokiem. Nowych zębów nie
przynosi.

Na końcu ulicy leży szkoła, na początku ulicy stoi
rozwalona budka telefoniczna. Balkony są z zardzewiałej
blachy falistej i nie utrzymują niczego oprócz
zmęczonego geranium i bielizny trzepoczącej na sznurze.
I klematisu, który wspina się wysoko i wieszka na rdzy.
Tutaj nie kwitną dalej. Tutaj klematis strzępi swoje
własne lato, zakłamany i niebieski. Tam, gdzie leży gruz,
gdzie wszystko rdzewieje, rozpada się i rozsypuje,
klematis kwitnie najpiękniej.

Na początku ulicy klematis wpełza do rozwalonej
budki telefonicznej, kładzie się na odłamkach szkła i się
nie kaleczy. Zasnuwa tarczę telefonu.

Liczy na tarczy są jednooczne, kiedy Adina wolniej
idzie, wymawiają się same: raz, dwa, trzy.

Zakochane lato w marszu, żołnierskie lato za
długarówniną, napółudniu. Ilijenosimundur, nosi

źdźbło trawy, które wyrosło tego lata, w ustach, i nosi zimę z przekreślonymi dniami w kalendarzu w kieszeni z munduru. I zdjęcie Adiny. Na równinie stoją koszary, wzgórze, las. Żdźbło trawy w jego ustach jest ze wzgórza,
tak napisał Ilije.

Gdy Adina widzi wysoką trawę, myśli o ilije i szuka jego twarzy. Nosi w głowie skrzynkę na listy. Kiedy ją otwiera, skrzynka jest pusta, ilije rzadko pisuje listy.

Kiedy

piszę listy, wiem, gdzie jestem, napisał kiedyś. Kiedy ma się pewność, że jest się kochanym, rzadko pisze się listy, powiedział Paul.

Póki klematis był zielony, w rozwalonej budce telefonicznej leżał mężczyzna. Jego czoło było tak wąskie, że

już nad brwiami zaczynały się włosy. Bo jego czoło jest puste, mówili przechodzący, bo jego mózg jest z wódki, a wódka się ulatnia. Gdzie ulatnia się wódka, nie zostaje nic, mówią przechodzący ludzie.

Mężczyzna leżał, a jego buty stały na piętach. Można było zobaczyć, gdy przechodziło się obok, podeszwy, jego butów się nie widziało. Mężczyzna pił i głośno mówił sam do siebie, jeśli nie spał. Przechodnie przyśpieszali w tym miejscu, szli o piędź przed swoim cieniem. Chwyтали się za włosy, jakby w nich były myśli. Spluwali w roztargnieniu na chodnik albo w trawę, bo w ustach mieli coś gorzkiego. Kiedy mężczyzna głośno ze sobą rozmawiał, przechodzący odwracali oczy, kiedy spał, szturchali czubkami buta jego podeszwy, aż jęknął. Przechodnie żadnego dnia nie chcieli budzić trupa, ale za każdym razem mieli nadzieję, że to właśnie ten

dzień.

O brzuch mężczyzny opierała się butelka, wokół jej szyjki były oplecione jego palce, trzymał butelkę mocno, nie rozluźniał palców we śnie.

Dwa dni temu mężczyzna rozluźnił palce we śnie, butelka się przewróciła. Jakaś kobieta szturchnęła go w podeszwę. Potem doszedł dozorca z najbliższego bloku, potem dziecko, potem policjant. Mężczyzna w budce

telefonicznej już nie jęczał, jego śmierć pachniała wódką. Dozorca rzucił pustą butelkę zmarłego w trawę i powiedział, jeżeli istnieje dusza, to jest ona ostatnią rzeczą,

jaką ten człowiek połknął przed śmiercią. To, czego żołądek nie strawi, to dusza. Policjant gwizdnął, na ulicy zatrzymała się furmanka. Mężczyzna odłożył bat i zszedł z wozu. Podniósł zmarłego do góry za ramiona, dozorca chwycił buty. Nieśli sztywny ciężar w słońcu jak deskę, położyli deskę na furmance, na zielone główki kapusty. Mężczyzna przykrył zmarłego końską derką, wziął do ręki bat. Zaciął konia i cmoknął wykrzywionymi ustami. Budka telefoniczna dalej pachnie wódką, a wiatr na ulicy od dwóch dni wydaje inny odgłos. Klematis urósł od tego czasu, kwitnie tak samo niebiesko, na tarczy telefonu są jednoocne cyfry. Adina wybiera w głowie numer i mówi, aż ulica, na której leżał zmarły, się kończy.

Jestem na drugim końcu, mówi on.

Jesteś skórą i kośćmi, jesteś tylko deską, mówi ona.

To nic, mówi on, jestem całym człowiekiem,

półwariatem i półpijakiem.

Pokaż ręce, mówi ona.

Wino w ustach, koniak w żołądku, wódka w mózgu,
mówi on.

Ona patrzy na jego buty, on pije na stojąco.

Przestań, mówi ona, pijesz czołem, nie masz ust.

Na końcu ulicy leży duży zwój drutu, drut rdzewieje.

Wokół niego trawa jest żółta. Za zwojem stoi płot, za
płotem jest podwórze i drewniany barak. Na podwórzu
pies szarpie swój łańcuch przez trawę. Pies nigdy nie
szczeka.

Nikt nie wie, czego ten pies pilnuje. Wczesnym rankiem i
późnym wieczorem, kiedy jest ciemno, przychodzą
policjanci. Rozmawiają z psem, karmią go i nie dopalają
do końca swoich papierosów. Policjantów jest trzech,
mówią dzieci z bloków. Ponieważ w pokojach palą się
tylko świece, widzą za oknem przed drewnianym
barakiem trzy żarzące się papierosy. Matki odciągają
dzieci

od okien. Pies nazywa się Olga, mówią dzieci, ale to nie
jest suka, to jest pies.

Pies codziennie przygląda się Adinie, w jego oczach
odbija się trawa. Adina codziennie mówi OLGGA, żeby
nie
szczekał.

Pod topolami w trawie leżą żółte liście. Topole przed
szkołą są uparte, zielenią się przed wszystkimi innymi
topolami miasta, już w marcu. To dlatego, że tuż za
szkołą leży pole, a szkoła jest na skraju miasta, mówią
nauczyciele. A jesienią topole przed szkołą żółkną przed
wszystkimi innymi topolami miasta, już w sierpniu. Dla-
tego, że dzieci sikają na pnie jak psy, mówi dyrektor.
Topole żółkną z powodu fabryki, w której kobiety robią
czerwone nocniki i zielone spinacze do bielizny. Kobiety

stają się wysuszone i kaszlą, a topole stają się żółte. Kobiety z fabryki nawet latem noszą grube majtki z nogawkami do kolan, ściągane gumkami. Wkładają sobie codziennie do majtek tyle spinaczy, aż ich nogi i brzuchy są tak wypchane, że spinacze nie brzęczą przy chodzeniu. W centrum miasta, na placu Opery, dzieci tych kobiet noszą na ramionach sznury spinaczy, wymieniają je na skarpety, papierosy albo mydło. W zimie kobiety wkładają sobie do majtek nawet nocniki wypełnione spinaczami. Pod płaszczami ich nie widać.

Dzwonek dźwięczy przez topole, nad dziedzińcem szkolnym. Nikt nie chodzi po dziedzińcu, nikt po korytarzach. Lekcja się nie zaczyna. Dzieci siedzą na ciężarówce przed szkołą pod topolami. Zostaną zawiezione za

miasto, na odległe pola, do dojrzałych pomidorów. Do butów mają przyklejone rozdeptane pomidory z wczoraj, z przedwczoraj, sprzed tygodni, od rana do wieczora. Do tornistrów mają przyklejone rozgniecione pomidory, do szyjek butelek z wodą, do kurtek i koszul i spodni. I nasiona traw, wiechlinę i kłębki przekwitłego ostu.

Puch ostu jest na poduszki dla zmarłych, mówią matki, kiedy dzieci późno wieczorem wracają z pola, olej maszynowy wyżera skórę, mówią, ale puch ostu wyżera rozum.

Głaszczą swoje dzieci przez chwilę po włosach. Uderzają je w samym środku głaskania w twarz. Potem oczy dzieci i oczy matek patrzą chwilę w milczeniu na światło świec. Oczy są winne, ale przy świecy tego nie widać.

We włosach dzieci klei się kurz, sprawia, że głowy są uparte i krzywo stawia włosy. Przez niego rzęsy stają się

krótsze, oczy twarde. Dzieci na samochodzie nie mówią dużo. Patrzą na topole i jedzą odliczony, świeży chleb. Łańcuchy kurzajek są zręczne, wiercą dziury w skórce. Wnętrze chleba dzieci wyjadają najpierw. To białe, niedopieczone, tylko ogłuszone gorącym piecem ciasto, które oblepia zęby. Dzieci żują i mówią, że jedzą SERCE.

Skórkę

zmiękczają śliną, wyginają i robią z niej kapelusze, nosy i uszy. Potem ich palce są zmęczone, a usta nie są syte.

Kierowca zamyka klapę przyczepy. U koszuli brakuje mu guzika, kierownica dotyka jego pępka. Przy szybie leżą cztery chleby. Obok kierownicy przyklejone jest zdjęcie jasnowłosej serbskiej piosenkarki. Tramwaj przejeżdża tuż obok, chleby skrobą o szybę, kierowca przeklina matkę wszystkich tramwajów.

Za miastem nie ma żadnego kierunku. Pszeniczne ściernisko bez końca, aż oczy przestają widzieć ten blady kolor. Tylko krzaki i kurz na liściach.

Kombajny zbożowe są wysokie, mówi kierowca, to dobrze, kiedy się siedzi wysoko, nie widzi się trupów leżących w pszenicy. Jego szyja jest porośnięta włosami, jego krtań między koszulą i podbródkiem to skacząca mysz, pszenica też jest wysoka, psom i żołnierzom widać tylko oczy. Tylko do ucieczki pszenica jest za mała.

Adina trzyma się swoich kolan, na skraju pola kiwa się ptak,

zjada owoc dzikiej róży na najwyższej gałęzi, kania ruda, mówi kierowca, kiedy mówi się POLETKO BOGA, ma się

na myśli cmentarz, mówi. Byłem na kombajnie, trzy lata byłem przy granicy, przy zniwach sam na polu, a dwie zimy przy zorywaniu, przy zorywaniu tylko w nocy. Pole

śmierdzi słodkawo, na pole pszenicy powinno się mówić POLETKO BOGA. A dobry człowiek jest tak dobry jak kawałek chleba, tak się mówi, nauczyciele powtarzają to dzieciom w szkole. Kania siedzi na polu, jakby jej brzuch nabił się na kolce ścierniska, nie rusza się. Ściernisko jest twarde i puste, brzuch ptaka miękki, dlatego niebo, kiedy kolce wysysają ptaka, skręca dwie białe chmury. Kącik oka kierowcy drga, tarnina nosi niebiesko-zielone kulki i nie cofa się przed kołami. Dzieciom nie wolno mówić, że człowiek jest dobry jak kawałek chleba, mówi kierowca, dzieci w to uwierzą i nie będą mogły urosnąć. A starym nie wolno tego mówić, oni czują, kiedy się kłamie, i stają się mali jak dzieci, bo niczego nie zapominają.

Jego

krtień podskakuje od podbródka do koszuli, moja żona i ja, mówi, rozmawiamy tylko w nocy, kiedy nie możemy spać. Moja żona chce być dobra, nie kupuje chleba. Kierowca śmieje się, patrzy na pole, bo podrzuca na wybojach, więc ja kupuję chleb, mówi. Jemy i nam smakuje,

mojej żonie też. Ona je i płacze i robi się starsza i tłusta. Jest lepsza niż ja, choć kto tutaj jest w ogóle dobry.

Kiedy

oczy wychodzą jej z głowy, idzie, zamiast krzyżeć, rzygać. Kierowca wkłada koszulę do spodni, żona wymiotuje cicho, żeby sąsiedzi nie słyszeli, mówi. Ciężarówka stoi na polnej drodze, dzieci zeskakują na trawę. Wiechlina jest wysoka, nogi dzieci w niej giną. Z pustych skrzynek na pomidory wylatują bzyzące muchy. Słońce ma czerwony brzuch, pole pomidorów ciągnie się aż do doliny.

Agronom czeka obok skrzynek. Schyla się, na nogawkach spodni szuka wiechliny, krawat opada mu przed usta. Zbiera igły wiechliny do ręki. Na jego rękawach, na plecach wiszą igły, szybciej wspinają się po nim w górę, niż on nadaża z ich zbieraniem. Przeklina matkę wszystkich traw. Agronom patrzy na zegarek, cyferblat płonie w słońcu, wiechlina też. Kiedy trawa łśni, pokazuje, że jest zachłanna, że wykorzysta każdą drogę, żeby się rozprzestrzenić. Wiesza się także na wietrze. Gdyby na dole nie było pola, wyrastałaby w górze z chmur, wtedy świat byłby pełen wiechliny.

Dzieci biorą skrzynki, muchy siadają na łańcuchach kurzajek. Są pijane od fermentujących pomidorów, błyszczą i gryzą. Agronom podnosi głowę, zamyka oczy i krzyczy, dzisiaj mówię to ostatni raz, jesteście tutaj po to, żeby pracować, codziennie dojrzałe pomidory zostają na krzakach, a zielone są pozrywane, czerwone są porozdeptywane na ziemi. W kąciuku jego ust wisi igielka wiechliny, szuka jej dłonią, nie znajduje, przynosicie rolnictwu więcej szkody niż korzyści, krzyczy, to hańba dla waszej szkoły. Znajduje igielkę wiechliny czubkiem języka i wypluwają, piętnaście skrzynek dziennie, mówi, to jest norma. Nie będzie picia wody przez cały dzień, o dwunastej jest pół godziny przerwy, wtedy można jeść, pić i się załatwić. We włosach agronoma wisi puszek ostu.

Dzieci idą dwójkami na pole, między nimi kolebią się puste skrzynki. Uchwyty są oślizgłe od zmiażdżonych pomidorów, rośliny są jadowicie zielone i obwieszone

czerwienią. Nawet najmniejsze gałązki. Łańcuchy kurzajek zrywają aż krwawią, czerwone pomidory zwodzą oczy, skrzynki są głębokie i nigdy się nie napęlnią. Z kącików ust dzieci kapie czerwony sok, wokół głów latają

tomidory, pękają i barwią też kłębki ostu.

Jedna z dziewczynek śpiewa:

Szedłem ścieżką w górę

Spotkałem pannę w dole

Dziewczynka wkłada zieloną żabkę do kieszeni

spodni, wezmę ją do domu, mówi, nakrywa kieszeń ręką,

ona zdechnie, mówi Adina. Dziewczynka śmieje się, to

nic, to nic, mówi. Agronom patrzy do góry na niebo,

łapie ręką kłębek puchu i gwizdże piosenkę o pannie. Na

wypełnionej do połowy skrzynce siedzą dwaj chłopcy,

bliźniacy, nikt nie potrafi ich rozróżnić, są jednym

chłopcem dwa razy.

Jeden z bliźniaków wkłada sobie dwa duże czerwone

tomidory pod koszulę, drugi obiema rękami gładzi

tomidorowe piersi, zakrzywia palce, zgniata pomidory

pod koszulę i patrzy pustymi gałkami ocznymi na

dziewczynkę z żabką. Koszula robi się czerwona,

dziewczynka

z żabką się śmieje. Bliźniak ze zgniecionymi pomidorami

drapie drugiego po twarzy, bliźniacy kłębią się na ziemi.

Adina wyciąga za nimi ręce i znów ich rozdziela, który

z tych dwóch zaczął, pyta. Dziewczynka z żabką wzrusza

ramionami.

Krawat

Rowerzysta jedną ręką prowadzi obok siebie po chodniku

rower, łańcuch podzwania. Rowerzysta przechodzi między kołami obok parku, w stronę mostu. Mężczyzna w krawacie w czerwono-niebieskie kropki schodzi z mostu. Trzyma długiego białego papierosa koło kolana, przy filtrze papierosa błyszczy obręczka. Wydmuchuje dym w krzaki, w park, który w powiewie strachu ustawia kroki w pionie. Między uchem a kołnierzykiem koszuli mężczyzna nosi znamię wielkości paznokcia. Rowerzysta zatrzymuje się, z kieszeni spodni wyjmując papierosa. Nie mówi nic, ale mężczyzna unosi swojego długiego białego papierosa i podaje mu ogień. Rowerzysta wypluwa tytoń, żar wygryza na końcu papierosa czerwony kołnierz. Rowerzysta wydmuchuje dym ustami i prowadzi swój rower dalej. W parku trzaska gałązka. Rowerzysta odwraca głowę, to tylko ukryty w cieniu kos, który musi podskakiwać, żeby iść. Rowerzysta wciąga policzki i wydmuchuje dym do parku. Mężczyzna w krawacie w czerwono-niebieskie kropki stoi na skrzyżowaniu ulic, palą się światła sygnalizacyjne. Kiedy zapali się zielone, musi się pośpieszyć, bo Clara przeszła przez ulicę. Clara stoi przed futrami w sklepie, oczy mężczyzny zaglądają przez wystawę. Rzuca do połowy wypalonego papierosa na asfalt. Wydmuchuje strzępek dymu w sklepie. Obraca stojak z krawatami. Futra są zrobione z białej jagnięcej skóry. Tylko jedno jest zielone, jakby już po uszyciu futra przegryzło się przez nie pastwisko. Kobieta,

która je kupi, będzie się zimą rzucała w oczy. W białym śniegu będzie za nią chodziło lato.

Mężczyzna w krawacie w czerwono-niebieskie kropki niesie trzy krawaty do okna, tutaj kolory są inne, mówi, który najbardziej mi pasuje. Clara podnosi palec do ust, do pana czy do garnituru, pyta. Do mnie, mówi mężczyzna, jej dłoń ugniata zielony futrzany kołnierz, żaden, odpowiada Clara, ten na pańskiej szyi jest ładniejszy, jego buty błyszczą, jego podbródek jest gładki, we

włosach biegnie przedziałek jak biała nić, PAVEL, mówi i bierze ją za rękę. Zamiast nią potrząsnąć, ścisną mocno jej palce. Clara patrzy na wskazówkę sekundnika na jego zegarku, mówi swoje imię, patrzy na paznokcie jego kciuka, potem kanty jego spodni, on za długo trzyma jej rękę pod swoim kciukiem, ADWOKAT, mówi. Za jego głową jest pusty regał, w kurzu leżą odciski palców.

Masz

piękne imię, mówi Pavel, i piękną sukienkę. Ona nie jest tutejsza. Od jednej Greczynki, mówi Clara.

Jej oczy są puste, jej język jest gorący, po kurzu na regale widzi, że w sklepie jest ciemno, a na ulicy jasno, że późne popołudnie dzieli światło między wewnątrz i zewnątrz. Chce odejść, ale on trzyma jej rękę. Clara czuje w gardle małe rozjarzone kółeczko, które się kręci, a ona wychodzi obok niego przez drzwi. I na ulicy, gdzie słońce rzuca wąski cień pod jego nos, nie wie, czy rozjarzone kółeczko jest pragnieniem zielonego futra jagnięcego

czy mężczyzny w krawacie w czerwono-niebieskie kropki. Ale czuje, kiedy odwraca się do futra, że kółko w gardle trzyma się tamtego mężczyzny.

Na schodach katedry siedzi stara kobieta, nosi grube wełniane pończochy, grubą marszczoną spódnicę i białą lnianą bluzkę. Obok niej stoi wiklinowy koszyk, na którym leży wilgotna płachta. Pavel podnosi przykrycie. Zimowity, cienkie jak palec bukieciki, ułożone rzędami, aż po same kwiaty owinięte białą nicią. Pod nimi jeszcze jedna płachta, kwiaty, i znowu płachta, wiele warstw z kwiatów i płacht i nici. Pavel wyjmuje z koszyka dziesięć bukiecików, za każdy palec jeden, mówi, staruszka wyciąga z bluzki sznurek, wisi na nim woreczek z pieńdzmi. Clara widzi sutki jej piersi, wiszą na skórze jak dwie śrubki. Kwiaty pachną w rękach Clary żelazem i trawą. Tak po deszczu pachnie trawa na tylnym dziedzińcu fabryki drutu.

Gdy Pavel podnosi głowę, chodnik wypada z lustra jego okularów słonecznych. Na torach tramwajowych leży przejechany arbuz, wróble wyjadają jego czerwony miąższ. Kiedy robotnicy zostawiają swoje jedzenie na stoliku, wróble wyjadają chleb, mówi Clara, patrzy na jego skroń, w szkle okularów przesunięte drzewa. On spogląda na nią tymi przesuniętymi drzewami, przegania osę, coś mówi. Pięknie, mówi Clara, co ty wiesz, co może być pięknego w fabryce.

W samochodzie Pavel zawiązuje sobie but, Clara wacha zimowity. Samochód jedzie, droga jest z kurzu, pojemnik na śmiecie się pali. Pies leży na drodze, Pavel trąbi, pies powoli schodzi i kładzie się w trawie.

Clara trzyma klucze w ręce, Pavel bierze jej rękę i wacha zimowity, ona pokazuje mu swoje okna, nie widziałam twoich oczu, mówi. On dotyka oprawki okularów, ona widzi jego obrączkę. On nie zdejmuje okularów.

Wnętrznosci lata

Na placu Opery nie rosną topole, na placu Opery miasto nie jest w pasy. Tylko w plamy od cieni przechodniów i przejeżdżających tramwajów. Cisy trzymają swoje igły w górze ciasno przy sobie, zamykają pnie przed niebem i przed zegarem na wieży katedry. Trzeba przekroczyć gorący asfalt, by sięść przed cisami na ławkach. Za ławkami igły opadły albo nigdy nie wyrosły, za oparciami ławek pnie są odkryte.

Na ławkach siedzą staruszkowie, szukają cienia, który się trzyma. Cisy oszukują, cienie jadących tramwajów pokazują przez chwilę jako własne. Gdy staruszkowie już usiądą, wtedy cisy znowu puszczają cienie. Staruszkowie rozkładają gazetę, słońce rozświetla ich dłonie, z rabatki kwiatowej czerwone karłowate róże przeświecają przez papier gazetowy na loku nad czołem dyktatora.

Staruszkowie siedzą pojedynczo. Nie czytają.

Czasem któryś, co nie znalazł wolnej ławki, pyta, co robisz, a siedzący wachluje się gazetą, kładzie ręce na kolanach i wzrusza ramionami. Siedzisz i myślisz, pyta przechodzący. Siedzący pokazuje dwie puste butelki na mleko i mówi, siedzę, tylko siedzę. To nic, mówi przechodzący, to nic, i potrząsa głową i idzie dalej, a siedzący

potrząsa głową i patrzy za nim.

Hebel, deska przechodzi czasem staruszkom przez głowę i stoi na skroniach tak blisko cisu, że drewno narzędzia nie różni się od drewna cisu. I nie różni się od stania w kolejce w sklepie, w którym zabrakło mleka, a chleby były odliczone.

Na placu stoi pięciu policjantów, noszą białe rękawiczki,

gwizdaniem mylą kroki przechodzących. Słońce nie ma progę, kiedy w południe patrzy się do góry na biały balkon opery, cała twarz wpada w pustkę. Gwizdki policjantów błyszczą, okrągłe części gwizdków wybrzuszają się między ich palcami. Wybrzuszenia są głębokie, jakby każdy policjant trzymał w ustach łyżkę bez trzonka. Ich mundury są granatowe, twarze młode i blade. Twarze przechodzących są nabrzmięte od upału, przechodzący są nadzy w tym świetle. Kobiety niosą warzywa w przezroczystych plastikowych torbach z targu przez plac. Mężczyźni niosą butelki. Kto idzie z pustymi rękami, kto nie niesie żadnych owoców, warzyw ani butelek, ma chwiejne spojrzenie. Widzi owoce i warzywa w przezroczystych torbach innych ludzi jak wnętrze lata. Pomidory, cebula, jabłka pod żebrami kobiet. Butelki pod żebrami mężczyzn. A w środku biały balkon, oczy są puste.

Plac jest zamknięty, tramwaje stoją za ciszami. Przez wąskie uliczki za placem pełnie muzyka żałobna, jej echo stoi na placu, a niebo biegnie nad miastem. Kobiety i mężczyźni stawiają swoje przezroczyste plastikowe torby przed butami. Z wąskiej uliczki powoli wyjeżdża na plac ciężarówka. Boczne klapy są opuszczone, zostały obciążone czerwonym płótnem flagowym, gwizdki policjantów milczą, u rękawów kierowcy lśnią białe mankiety koszuli.

Na ciężarówce stoi otwarta trumna.

Włosy zmarłego są białe, jego twarz zapadnięta, usta głębiej niż oczodoły. Na jego podbródku drży zielona paproć.

Jakiś mężczyzna wyjmuje butelkę wódki z plastikowej

torby, pije i patrzy jednym okiem na wódkę płynącą do ust, a drugim na mundur zmarłego. W wojsku jeden podporucznik mi powiedział, że martwi oficerowie stają się

pomnikami, mówi. Kobieta obok niego wyjmuje z plastikowej torby jabłko. Odgryza kawałek i jednym okiem

patrzy na twarz zmarłego, a drugim na wielkie zdjęcie zmarłego z tyłu za trumną. Twarz na zdjęciu jest dwadzieścia lat młodsza niż twarz w trumnie, mówi, mężczyzna stawia sobie butelkę przed butami, zmarły, którego

się bardzo oplakuje, mówi, staje się drzewem, a zmarły, po którym nikt nie płacze, zostaje kamieniem. Ale kiedy ktoś umiera gdzieś w świecie, a ludzie gdzieś w świecie po nim płaczą, to nie pomaga, mówi kobieta, wtedy każdy staje się kamieniem.

Za zdjęciem zmarłego idzie czerwona aksamitna poduszka z odznaczeniami zmarłego, za odznaczeniami zwiędła kobieta u ramienia młodego mężczyzny, za zwiędłą kobietą orkiestra wojskowa. Instrumenty dęte błyszczą, światło je powiększa. Za orkiestrą dętą idą żałobnicy, ich kroki szurają, kobiety niosą mieczyki w celofanie, dzieci białe, wystrzępione, niczym nie osłonięte astry.

Wśród żałobników idzie Pavel.

Na skraju placu, gdzie mężczyzna pił wódkę, stoi pusta butelka, obok niej leży do połowy zjedzone jabłko.

Żałobna muzyka mruczy cicho z krętych uliczek.

Cmentarz bohaterów leży za miastem. Na placu leżą podeptane mieczyki, tramwaje jeżdżą.

Staruszkowie przechodzą przez pusty plac, ich puste butelki na mleko podzwaniają. Zatrzymują się bez powodu. W górze biały balkon opery ustawił swoje kolumny w cieniu ściany. A dziury na dole w miękkim asfalcie są od obcasów kobiet z konduktu żałobnego.

Dni arbuźów, dni dyni

W muszli klozetowej leży napęczniała wata, woda jest rdzawa, wyssała krew z waty. Na pokrywie ubikacji są przyklejone pestki arbuza.

Kiedy kobiety noszą watę między udami, mają w brzuchu krew arbuźów. Co miesiąc dni arbuźów i ciężar arbuźów, to boli.

Krwia arbuźów każda kobieta może przywiązać do siebie każdego mężczyznę, powiedziała Clara. W fabryce drutu kobiety opowiadają sobie, jak dodają mężczyznom raz w miesiącu późnym popołudniem krew arbuźów do zupy pomidorowej. W tym dniu nie stawiają garnka z zupą na stole, biorą talerze po kolei do kuchenki i napęniają je. Obok kuchenki na łyżce czeka na talerz męża krew arbuźowa. Mieszają łyżką zupę, aż krew się rozpuści.

W dni arbuźów drucziana siatka przeciąga po ich twarzach, zanim wespnie się na wielkie zwoje i zostanie odmierzona metrami. Warsztaty tkackie stukają, ręce kobiet są rdzawe, ich oczy zmętniały.

Kobiety z fabryki przywiązują mężczyzn do siebie późnym popołudniem albo wieczorem, powiedziała Clara, rano nie mają czasu. Rano wyrrywają się ze snu mężczyzn, niosą łóżko pełne snu i pokój pełen dusznego powietrza na twarzy do fabryki.

Córka służącej powiedziała, że mężczyzn przywiązuje się do siebie rano, rano na pusty żołądek. Ponieważ w dni arbuźów żona oficera rano dodaje oficerowi do kawy, zanim ten pójdzie do kasyna wojskowego, cztery grudki arbuźowej krwi. Jak zwykle przynosi mu kawę w filiżance, jeszcze nie ma w niej cukru. Ona wie, że oficer bierze dwie łyżeczki cukru i długo miesza w filiżance. Grudki krwi rozpuszczają się szybciej niż cukier. Najlepsza, tak powiedziała żona oficera córce służącej, jest krew z drugiego dnia. W krokach oficera na moście, w pijaństwie jego wszystkich dni w kasynie wojskowym jest krew jego żony. Cztery grudki to jeden miesiąc, każda grudka wystarcza na tydzień.

Każda grudka krwi musi być tak duża jak paznokieć kciuka mężczyzny, którego kobieta chce do siebie przywiązać, powiedziała żona oficera. Krew arbuza rozpuszcza się w kawie i ścina się znowu, kiedy przejdzie przez

jego gardło, powiedziała. Nie mija serca, nie płynie do żołądka. Żądza oficera nie może wylapać krwi arbuźowej, na żądę nie ma nic, bo ona ulatuje, odrywa się od

wszystkiego. Leci do innych kobiet, ale krew arbuźowa zbiera się wokół serca mężczyzny. Krzepnie i zamyka serce. Serce oficera nie może zatrzymać obrazu innych kobiet, powiedziała córka służącej, oficer może swoją żonę zdradzać, ale porzucić jej nie może.

Na ścianie kibla jest napisane:

Wieczorem na wzgórzu

Dzwony biją melancholijnie.

To dwie linijki wiersza, wiersz jest w podręczniku,

dzieci uczą się go w szkole. To jest pismo nauczyciela

fizyki, powiedziała córka służącej, poznaję je po D i L. Linijki biegną po ścianie ukośnie do góry. Spomiędzy ud Adiny wydobywa się ciepły szum, ktoś rygluje drzwi sąsiedniej ubikacji. Adina wciska łokcie w uda, chce zdławić szum, żeby był cichszy i równomierny. Ale jej brzuch nie wie, co znaczy cicho i równomier-
nie. Nad spłuczką jest małe okno bez szyby, zasnutę tylko pajęczyną. Nigdy nie ma w niej pajaków, szum spłuczki je przegania. Tylko smuga światła kładzie się codziennie na ścianie i przygląda się wszystkim, jak rozcierają w rękach papier gazetowy, aż druk stanie się mączny, a palce szare. Roztarte gazety nie drapią tak bardzo w uda. Sprzątaczką mówi, nie ma papieru toaletowego w nauczycielskim kiblu, bo trzy dni pod rząd była nowa rolka i każda z trzech rolek każdego dnia już po pierwszym kwadransie została ukradziona, a trzy rolki muszą wystarczyć na trzy tygodnie. W reżimie burżuazyjno-ziemiańskim kolby kukurydzy i liście buraczane były wystarczająco dobre, powiedział dyrektor na zebraniu, wtedy tylko wielcy posiadacze ziemscy mieli papier gazetowy. W dzisiejszych czasach każdy człowiek ma gazety w domu. Ale teraz papier gazetowy jest za twardy dla wytwornych pań i panów. Dyrektor oderwał od gazety róg wielkości dłoni, roztarł papier w rękach, to takie proste jak mycie rąk, powiedział, nikt mi nie powie, że nie wie, jak się myje ręce. Kto jeszcze tego nie umie w wieku trzydziestu lat, ten się powinien nauczyć. Jego brwi zbiegły się nad nosem, cienkie i szare jak mysi ogon na czole.

Sprzątaczką uśmiechała się i wierciła się na krześle, kiedy wstała, dyrektor spojrzął pod stół. Dzisiaj wszyscy mają gazetę w domu, zapomniał pan, towarzyszu dyrektorze, buraczane liście były za miękkie, powiedziała sprzątaczką, palec przechodził na wylot, liście łopianu były lepsze. Dosyć, powiedział dyrektor, bo to się nigdy nie skończy.

Córka służącej trąciła Adinę stopą, sprzątaczką może sobie na wszystko pozwolić, powiedziała, dyrektor z nią sypia. Jej mąż jest elektrykiem, wczoraj był w szkole, napluł dyrektorowi na biurko i urwał mu dwa guziki od garnitur. Guziki potoczyły się pod szafę. Kiedy elektryk poszedł, nauczyciel fizyki musiał odsunąć szafę od ściany i w środku lekcji iść do krawcowej po igłę i nitkę. Marynarki dyrektora nie mógł zabrać. Sprzątaczką musi przyszyć guziki z powrotem, powiedział dyrektor. Sprzątaczką może pociąć tylko ostatnie strony gazety, reportaże, sport i program telewizyjny. Pierwsze strony musi dać dyrektorowi, trafiają do kolekcji sekretarza partii.

Adina pociąga spłuczkę. Przed lustrem w umywalni na włosy Adiny nanizane jest światło, włosy wiszą na świetle, nie na głowie, Adina odkręca kran. Przy drzwiach są-
siedniej ubikacji ktoś odsuwa zasuwkę, z drzwi wychodzi dyrektor. Staje obok Adiny w lustrze. Otwiera usta, wydaje mi się, że boli mnie ząb, mówi do lustra. Tak, panie dyrektorze, mówi Adina, jego zęby trzonowe są pozłacane, TOWARZYSZU DYREKTORZE, mówi on, jego zęby trzonowe lśnią żółto. Dni arbuźów to u mężczyzn dni dyni, myśli Adina. On wyciera sobie usta kanciasto

zaprasowaną chustką do nosa, niech pani przyjdzie do mnie po ostatniej lekcji, mówi i zdejmuje Adinie z ramienia włos, tak, towarzyszu dyrektorze, mówi ona.

Lok nad czołem lśni nad tablicą, czerń w oku lśni, chwyta nitkę światła, która wpada przez okno. Dzieci poruszają łokciami przy pisaniu, tytuł wypracowania brzmi ZBIORY POMIDORÓW. Adina stoi obok nici światła

przy oknie. W zeszytach wyrasta jeszcze raz pole pomidorów, jest z kurzajek i liter.

Dziewczynka z żabką czyta:

Od dwóch tygodni uczniowie naszej szkoły pomagają rolnikom przy pracach polowych. Uczniowie naszej klasy pomagają przy zbiorach pomidorów. Wspaniale jest pracować na polach naszej ojczyzny. To jest zdrowe i pożyteczne.

Przed szkołą leży czworokąt z żółtej trawy, za nim stoi pojedynczy dom pośród bloków. Adina widzi rojnik porastający dach domu. Ogród został przyciśnięty do ściany przez bloki. Pnącza winorośli zasnuwają okna.

Rano, kiedy wstaję, czyta dziewczynka z żabką, nie wkładam mojego mundurka, tylko ubranie robocze. Nie biorę zeszytów ani książek, tylko butelkę z wodą, chleb z masłem i jabłko.

Jeden z bliźniaków krzyczy MASŁO i bębni pięściami o ławkę.

Przed pojedynczym domem z rojnikiem zatrzymuje się furmanka, zsiada z niej mężczyzna, niesie siatkę pełną chlebów przez ogród do domu. Idzie pod winoroślą, blisko przy ścianie.

O ósmej wszyscy uczniowie zbierają się przed szkołą, czyta dziewczynka z żabką. Samochód zawozi nas

na pole. Podczas jazdy jest dużo śmiechu. Na skraju pola każdego ranka czeka na nas agronom. Jest wysoki i szczupły. Nosi garnitur i ma ładne, czyste ręce. Jest sympatycznym człowiekiem.

Tylko że wczoraj cię spoliczkował, mówi bliźniak, koń stoi przy pustym wozie, nie rusza się, dlaczego tego nie napisałaś, mówi Adina.

Drugi bliźniak schyla głowę pod ławkę, o policzkowaniu nie wolno pisać, mówi, trzyma w ręce kromkę chleba ze smalcem i przyklejają na wypracowaniu.

Dziewczynka z żabką wrywa białą kokardę ze swojego warkocza, wkłada koniec warkocza do ust i płacze. Przez trawnik przed szkołą idzie karzeł. Jego czerwona koszula świeci, karzeł niesie arbuza.

Mężczyzna z pustą siatką po chlebie przechodzi przez winorośl, wsiada na furmankę.

Towarzyszko, mówi dziewczynka z żabką do Adiny. Nad drzwiami dyrektora wisi zegar, jego wskazówki odmierzają przychodzenie i wychodzenie uczniów i nauczycieli. Nad głową dyrektora wisi lok nad czołem i czerń w oku. Na dywanie jest plama z atramentu, w oszklonej szafce stoją mowy dyktatora. Dyrektor pachnie perfumami, tytoniem z gorzkimi łądygami, wiesz, dlaczego cię wezwałem, mówi, przy jego łokciu stoi odwrócona tyłem dalia, woda w wazonie jest mętna, nie, mówi Adina, nie wiem. Jego brwi zbiegają się szare i cienkie, powiedziałaś uczniom, że mają zjeść tyle pomidorów, ile będą w stanie, bo nie mogą ani jednego wziąć

ze sobą do domu. I wykorzystywanie nieletnich, tak powiedziałaś. Nad dalią wisi w słońcu plama kurzu, a czy nie jest tak, towarzyszu dyrektorze, mówi Adina. Jej głos

jest cichy, dyrektor robi krok nad plamą z atramentu, staje za krzesłem Adiny. Ma suchy i krótki oddech, jego ręka sięga do wycięcia jej bluzki, przejeżdża w dół pleców, bez TOWARZYSZU, mówi, nie o to teraz chodzi. Jej plecy są sztywne, obrzydzenie ich nie zgina, nie mam kurzajek na plecach, mówią usta Adiny. Dyrektor śmieje się, ona przyciska plecy do oparcia krzesła, on wyciąga rękę spod bluzki, tym razem tego nie zgłoszę, mówi. Dalia dotyka jego ucha, kto panu w to uwierzy, mówi Adina. Widzi w czerwonych płatkach dalii krew arbużów. Nie jestem taki, mówi dyrektor. Zapach jego potu jest cięższy niż tytoń w perfumach. Czesze się. Jego grzebień ma niebieskie zęby.

Kot i karzeł

Między zardzewiałymi zwojami drutu w fabryce chodzą głowy. Chodzą jedna za drugą. Portier patrzy w niebo.

Widzi głośnik nad bramą.

Rano od szóstej do wpół do siódmej z tego głośnika wydobywa się muzyka. Pieśni robotnicze. Portier nazywa ją: muzyka poranna. Jest dla niego zegarem. Kto przechodzi przez bramę, gdy muzyka już ucichnie, spóźnia

się do pracy. Kto swoich kroków nie stawia do taktu, kto na tym dziedzińcu idzie do swojego warsztatu przez ciszę, zostaje zapisany i zgłoszony.

A jeszcze nie jest jasno, kiedy rozbrzmiewają głośno marszowe pieśni. Wiatr uderza w blachę falistą, wysoko na dachu. Na dole deszcz bije w asfalt. Kobiety mają pochłapane pończochy, mężczyźni rynny wokół kapeluszy.

Na ulicy za bramą jest już jaśniej. Zwoje drutu są mokre

z nocy, są czarne. Tam nawet w lecie dzień, żeby dotrzeć na fabryczny dziedziniec, potrzebuje więcej czasu niż poza fabryką.

Portier pluje łupinami słonecznika w popołudnie.

Padają na ziemię, na próg w drzwiach. W portierni siedzi portierka, robi na drutach, ma szczerbę w zębach na przodzie, nosi zielony fartuch. Odlicza oczka głośno przez szczerbę. Przy jej butach siedzi pręgowany kot.

W portierni dzwoni telefon. Portier skronią wsłuchuje się w dzwonenie. Nie odwraca głowy, patrzy na głowy idące między zwojami drutu. Portierka podnosi drut do ust, wkłada zakończony gałką koniec w szczerbę, pod szyją wsuwa sobie drut do fartucha. Drapie się między piersiami. Kot stawia uszy i się przygląda. Jego oczy to żółte winogrona. Liczba oczek przy odliczaniu zaczyna się o szczerbę i o oczy kota. Dzwonek telefonu jest przenikliwy. Wisi na nitce wełny, wełna wspina się portierce

do ręki. Dzwonek wchodzi kotu do brzucha. Kot przechodzi nad butem portierki i biegnie na dziedziniec fabryczny. Portierka nie podnosi słuchawki.

Na dziedzińcu fabrycznym kot jest z rdzy i siatki drucianej. Na dachu fabryki kot jest z blachy falistej, przed

biurem kot jest z asfaltu. Przed łaźnią z piasku. W halach kot jest z drągów i kół i oleju.

Portier widzi pod głowami idącymi między zwojami drutu szyje. Z drutu wylatują z furkotem wróble. Portier spogląda w górę na niebo. Kiedy wróble latają w słońcu pojedynczo, są lekkie, tylko stado jest ciężkie.

Popołudnie jest krzywo odcięte blachą falistą. Krzyki wróbli są

zachrypnięte.

Głowy na dziedzińcu podchodzą bliżej, opuszczają drut, fabrykę. Portier widzi już szyje. Chodzi tam i z powrotem. Ziewa, jego język jest gruby, zaciska mu oczy w pustym czasie, w którym wilgotne słońce stoi na jego brodzie. Kiedy portier stoi w słońcu, pod pasmami jego włosów śpi łysina. Rąk i toreb przechodzących portier jeszcze nie widzi.

Ziewanie to dla portiera czekanie. Kiedy robotnicy opuszczają drut, ich torby są jego torbami. Są przeszukiwane. Kołyszają się pod rękami, są lekkie. Tylko kiedy

w środku jest żelazo, wiszą sztywno. Portier to widzi. Nawet torebki na ramionach wiszą sztywno, kiedy w środku mają żelazo. Wszystko, co można ukraść z fabryki, jest z żelaza.

Ręce portiera nie przeszukują wszystkich toreb. Wiedzą, kiedy przyjdzie co do czego, którą torbę trzeba przeszukać. I przychodzi do tego, kiedy twarze i torby go mijają. Wtedy w twarzy portiera zmienia się powietrze między nosem a ustami. Portier wdycha się w to

powietrze. Pozwala, żeby z torby na torbę decydowało wyczucie.

Decyzja zależy też od cienia portierni, od smaku słonecznika w jego ustach. Kiedy kilka nasion jest zjełczałych, na języku pojawia się gorzyc. Jego kości policzkowe twardnieją, oczy stają się nieprzejednane. Koniuszki

palców drżą. Kiedy grzebie w pierwszej torbie, palce nabierają pewności. Miejsce między dłonią i kciukiem

przyciska się do obcych przedmiotów, dotyk staje się łapczywy. Przetrzęsanie ręką torby to dla portiera chwytnie za twarz. Potrafi zmieniać twarze od kredy do czerwieni. Potem już nie są takie jak były. Zapadnięte albo

nabrzmią opuszczają, kiedy on da znak ręką, bramę. Pozostają, kiedy już od dawna są na ulicy, zmieszane. Wzrok i słuch się zacierają, aż słońce wydaje im się być wielką dłonią. Aż nos już nie wystarcza, aż w tramwaju ustami i oczami chwytnie powietrze z innych twarzy.

Podczas przeszukiwania portier słyszy puste przełykanie w gardłach. Krtanie suche jak imadło, strach gmera w żołądku. Portier czuje strach, który ulatnia się jako zepsute powietrze z mężczyzn i kobiet i zawisa na wysokości kolan. Kiedy portier za długo grzebie w torbie,

wielu ze strachu po tym pierwszym puszcza też drugie, ciche pierdnięcie.

Portier jest żarliwie wierzący, powiedziała Clarze portierka. Dlatego nie kocha ludzi. Karze tych, którzy nie wierzą. I podziwia tych, którzy wierzą. Nie kocha tych, którzy wierzą, ale szanuje ich. Szanuje sekretarza partii, bo on wierzy w partię. Szanuje dyrektora, bo ten wierzy we władzę.

Portierka wyjęła szpilkę do włosów z koka, włożyła sobie do szczyrby i ciasniej zwinęła włosy. Większość tych, co wierzą, powiedziała Clara, to wysoko postawieni towarzysze, oni nie potrzebują portiera.

Portierka wsunęła szpilkę głęboko we włosy, są też inni, powiedziała, Clara stała w drzwiach, portierka siedziała w budynku portierni. Clara ponad jej głową spozjrzała w jej kok, w zgięcie szpilki z drutu. Bo zęby

zniknęły, zgięcie było na górze i tak cienkie jak włosy, jak pojedyncza nitka. Tylko jaśniejsze. Czasami wierzę, czasami nie wierzę, powiedziała Clara, kiedy nie mam zmartwień, zapominam. Portierka rogiem zasłony wytarła kurz z telefonu, portier mówi, że wiara to umiejętność, powiedziała. Robotnicy nie wierzą w Boga i nie

wierzą w swoją pracę. Portier mówi, Bóg nie jest dla robotników niczym więcej niż wolnym dniem, w którym, jeśli Bóg da, mają na talerzu pieczoną kurę. Portier nie je drobiu, powiedziała. Przy mówieniu przyglądała się swoim oczom w szybie okiennej i swojemu fartuchowi, który

ciemno wisiał na szybie, portier mówi, robotnicy jedzą, zamiast wierzyć w Boga, niedzielną kurę, nadziewaną swoją własną wątrową.

Stado wróbli rozprasza się. Szyby w oknach hal są popękane, wróble znajdują dziury w szkle. Wlatują, szybciej

niż portier jest w stanie patrzeć, do środka hali. Portierka śmieje się i mówi, nie patrz tam, bo wróble przelecą ci przez czoło. Portier patrzy na swoje ręce, czarne włoski na palcach, przegub dłoni. Cień popołudnia odcina mu spodnie pod kolanami. Przed zwojami drutów wiruje wokół własnej osi kurz.

Nóż, brudny słoik po przetworach, gazeta, kawałek skórki chleba. Pod gazetą garść śrubek. Tak, tak, mówi portier. Mężczyzna zamyka torbę. .,

List, buteleczka lakieru do paznokci. Plastikowa torba i książka. Kurtka w siatce. Szminka wypada z kieszeni kurtki na podłogę. Portier schyla się. Otwiera szminkę, rysuje sobie czerwoną kreskę na przegubie dłoni. Zlizuje

kreskę językiem, tfu, mówi, zgniłe maliny i komary.
Mężczyzna ma ranę na kciuku. Zapięcia jego torby
są zardzewiałe. Portier wyjmuje scyzoryk z torby, spod
scyzoryka czapkę, spod czapki żelazko. No proszę, mówi
portier. Naprawiłem tylko wtyczkę, mówi mężczyzna.
Czas pracy, mówi portier. Stawia żelazko w portierni,
przeklina matkę wszystkich wtyczek. Portierka w
zielonym fartuchu stawia sobie żelazko na dłoni, prostuje
palec, na zimno prasuje sobie dłoń.

Torebka damska. Kłębek waty wypada na ziemię.
Mężczyzna z raną na kciuku schyla się. Kobieta wkłada
sobie pasmo włosów za ucho, wyjmuje watę z ręki przy
ranie na kciuku. W kłębku waty wisi łupina słonecznika
i mrówka.

Clara śmieje się, słońce odbija się biało od jej zębów,
portier macha ręką, żeby przechodziła. Szczerba portierki
się śmieje.

Mężczyzna z raną na kciuku wyjmuje z torby czapkę.
Zakłada czapkę na pięść. Prostuje palec wskazujący
i obraca ciemną czapką jak kołem. Portierka się śmieje,
jej szczerba w zębach jest jak lejek, jej śmiech fika
koziółki. Mężczyzna z raną na kciuku wpatruje się w
obroty

czapki, śpiewa:

Już z komornem zalegam

Niepłacone od miesiąca

Jego pięść jest kołem, w zgięciu łokcia żyła robi się

cienka, potem gruba. Jego oczy wiszą na drutach

portierki.

A gospodarz, a gospodarz

Wyrzuci nas na ulicę

Jego usta śpiewają, jego oczy są małe, jego pięść wiruje.

A druga, pusta ręka, ta z raną na kciuku nie zapina u torby pordzewiałych sprzączek. Piosenka mężczyzny czeka na żelazko.

W szparze drzwi trzepocze liść akacji, odrywa się, leci i leci. Portierka patrzy za nim. Liść jest żółty jak oczy kota. Mężczyzna z raną na kciuku spogląda na zegarek. Kot ma co roku ma młode. Są tak samo pręgowane jak ich matka. Od razu je pożera, póki jeszcze są oślizgłe, mokre i ślepe. Kot jest w żałobie przez tydzień po zjedzeniu młodych. Wałęsa się po dziedzińcu. Ma płaski brzuch,

jego paski są tak wąskie, że może prześlizgnąć się przez wszystko albo obok wszystkiego.

Kiedy kot jest w żałobie, nie je mięsa. Tylko końcówki młodej trawy i słoną krawędź schodów na dziedzińcu. Kobiety przy warsztatach mówią, że kot przyplątał się tutaj z przedmieścia. A kierownik magazynu mówi, że kot wylął się z fabrycznego dziedzińca, ze skrzyni z żelaznymi wiórami, gdzie deszcz przesącza się bardzo powoli. Mówi, że kot był mokry i pordzewiał, i nie większy niż jabłko, kiedy znalazł go w drodze z magazynów

do biur, między skrzyniami z metalowymi wiórami. Że jego oczy były zaropiałe. Kierownik położył kota na skórzanej rękawicy i zaniósł do portiera do bramy.

A portier włożył kota do futrzanej czapki.

I ja przez trzydzieści dni dawałam mu mleko przez słomkę, mówi portierka. Skoro nikt nie chciał tego kota, mówi portierka, to ja go wychowałam. Po tygodniu, mówi portier, kot otworzył oczy. Przestraszyłem się, bo w oczach, w obu oczach kota był kierownik. I jeszcze dzisiaj, kiedy kot mruczy, mówi portier, w jego obu

oczach

pojawia się kierownik.

Dla kota fabryka jest tak duża jak jego nos. Kot węża wszystko. Węża w halach, w najdalszych kątach, gdzie ludzie pocą się i marzną, krzyczą, płaczą i kradną. Węża na dziedzińcu szpary między zwojami drutu, w których trawa się dusi, a ludzie na stojąco ściskają się, sapią i kochają. Tam robienie dzieci jest jak kradzież, tak samo łapczywe i w ukryciu.

Przy tylnej bramie, gdzie jeżdżą ciężarówki, gdzie dach jest ze smołowanej papy, rynna z rozciętych gumowych opon, a płot z powyginanych drzwi samochodów

i witek wierzbowych, leży kręta uliczka, nazywa się

ULICA

ZWYCIĘSTWA. Przez rynnę deszcz zalewa ulicę Zwycięstwa. Małe okienko koło tylnej bramy jest okienkiem

magazynu. Tam siedzi kierownik. Ma na imię Grigore.

W magazynie stroje ochronne to góra z szarych watowanych kurtek, z szarych fartuchów skórzanych, skórza-

nych rękawic i szarych gumowców. Przed tą szarą górą stoi ogromna przewrócona skrzynka, to jest stół, a mała odwrócona skrzynka jest krzesłem. A na stole leży lista z nazwiskami wszystkich robotników. A na krześle siedzi Grigore.

Grigore sprzedaje złoto, mówi portierka, złote łańcuszki.

I obrączki. Kupuje je od starego Cygana, który stracił nogę na wojnie. Mieszka na skraju miasta, koło cmentarza bohaterów. Ten kupuje złoto od młodego Serba, który mieszka w wiosce przy granicy, na styku

Węgier i Serbii. Ma krewnych w Serbii i jeździ tam z małym ruchem przygranicznym. A w cle na granicy ma szwagra.

Czasami Grigore ma też towar z Rosji. Grube złote łańcuszki są z Rosji, a cienkie z Serbii. Grube są z wytłaczanych serc, a cienkie z wytłaczanych kostek.

Obrączki

są z Węgier.

Kiedy Grigore zamyka dłoń i powoli otwiera palce zamkniętej dłoni, łańcuszki wypełzają jak złoty drut spomiędzy jego palców. On puszcza luźno ich rozkołysane

końce i przysuwa je do światła przed małym okienkiem.

Przez pół roku zardzewiały drut przechodzi przez rękę. Potem kopertę z wypłatą znosi się do Grigore, na szyi zawiesza się złoty łańcuszek. Kilka dni później, późnym wieczorem, kiedy łańcuszek błyszczy już na koszuli

nocnej, a stopa stoi boso na dywanie, ktoś puka do drzwi.

Człowiek w garniturze stoi w drzwiach, za nim człowiek w mundurze. Światło na korytarzu jest mętne. Gumowa pałka kołysze się przy nogawce. Zdania są krótkie, obcy policzek lśni, gładka plama światła podnosi się i opada.

Głos pozostaje cichy, prawie płaski, ale zimny. Obce buty

stoją na brzegu dywanu. Łańcuszek zostaje skonfiskowany z szyi.

Grigore odbiera go następnego ranka w pierwszym tramwaju, kiedy wagon jest jeszcze pusty, a światło gaśnie i zapala się od kołysania. Kiedy tamten w garniturze

wsiada na przystanku koło fabryki piwa i bez słowa daje

mu pudełko zapalek.

W dni, kiedy woda pod mostem jeszcze jest ospała,
a niebo jeszcze zgarbione od ciemności, Grigore jest
w fabryce pierwszy. Trzęsie się z zimna, pali papierosy.
Głośnik jeszcze milczy, kiedy otoczony papierosowym
dymem ze swoimi złotymi łańcuszkami przechodzi
między zwojami drutu. Kilka godzin później znowu u rąk
dyndają mu końcówki łańcuszków i spływają spomiędzy
palców przed małym okienkiem od ulicy Zwycięstwa.
I znowu przychodzą inne, podobne pieniądze, jak inne,
podobne obrazy powtarzają się w oczach kota.

Portier mówi, że kierownik często wieczorem zgłasza
policji, komu rano sprzedał złote łańcuszki. Obrączek
ślubnych Grigore nie zgłasza.

Portier szanuje Grigore, bo ten wierzy w swoje złoto.
Handel na czarno jest czarny, mówi portierka, przecież
nie trzeba kupować. Wszystko, co jest na czarno,
jest niepewne. Portier mówi, jeden coś ma, drugi czegoś
potrzebuje, świat kręci się razem z nami. Każdy robi, co
może.

Kot czuje też, kiedy kierownik kładzie kobiety w lewym
kącie. Tam góra ma zagłębienie i korytarz. Nad
korytarzem jest okno. Kiedy Grigore rozpina spodnie,
kobiety podnoszą nogi wysoko do głowy. Kot wchodzi
przez dach. Siada nad zagłębieniem na szczycie góry.
Kobietom wydaje się, ponieważ gumowce na ich nogach
są wyżej niż oczy, że siedzi na głowie. Oczy kobiet
podchodzą do góry na czoło do oczu kota. Przepędź go
stamtąd, mówią kobiety, przepędź go. A Grigore mówi,
to nic,
on nic nie widzi, niech siedzi, to nic. Kot strzyże uszami
i patrzy.

Potem kobiety stoją spocone przed stołem z szarą kufajką na ramieniu. Szukają na liście kierownika swojego nazwiska, żeby podpisać. Kot nie czeka, aż palce podpiszą. Przez dach wychodzi na zewnątrz, biegnie między

zwojami drutu na dziedzińcu do hal.

W oczach kota jest obraz. Wszyscy widzą, co się zdarzyło. I wszyscy mówią o tym, o ostatniej, na stojąco, na

leżąc w pośpiechu popychanej miłości w fabryce. Tak samo mówienie o tej miłości odbywa się w pośpiechu.

Wszyscy zatrzymują ręce na drucie, w miejscu, w którym palce właśnie były, kiedy przeszedł kot. Bo żaden obraz nie trwa długo. Wkrótce w oczach kota pojawia się nowy obraz. A na następnym, wie o tym zazdrość, wie o tym każda plama smaru na twarzy każdej kobiety, na następnym obrazie w oczach kota będzie ona sama.

Wiosną albo jesienią, kiedy kufajka będzie znoszona i podarta na łokciach, a wiatr zimny czy ciepły będzie skrobał po smołowanej papie i wiał przez ogrodzenie na ulicę

Zwycięstwa, wtedy inne będą patrzeć. Bo te uda, które teraz stoją pod własnym fartuchem przy warsztacie tkackim, kot będzie nosił, nagie i rozłożone na boki i wznie-

sione ponad twarz, po całej fabryce.

Tylko przez jeden tydzień w roku, kiedy kot oplakuje swoje pożarte młode, nie nosi ze sobą obrazu w oczach.

Która ma szczęście, mówią kobiety, i którą miłość napadnie w pośpiechu tego ruchomego, ślepego tygodnia, tej

nikt w fabryce nie zobaczy.

Która przekupi portierkę, dowie się, kiedy przypada ten tydzień. Wiele ją przekupuje. Wszystkie, mówi portierka, a ja wypełniam kalendarz, mówi, i mówię każdej, co chcę.

A kobiety przepychają się, chcą być pierwsze w krótkich pchnięciach w fałszywym tygodniu żałoby.

Ale ponieważ w prawdziwym tygodniu żałoby miłość między halami i dziedzińcem, łaźnią i biurami płacze szyki, spółkujących mężczyzn i kobiety widzą oczy portiera, sprzątaczkę, brygadzysty, palacza. Tylko jest mała

różnica: w prawdziwym tygodniu żałoby każda miłość pozostaje plotką, skoro w oczach kota nie ma obrazów.

Dzieci kobiet są podobne do Grigore, mówi portierka.

Dzięki Bogu kobiety nie przyprowadzają swoich dzieci do fabryki. Nie widziałam nigdy ich dzieci razem, tylko jedno po drugim. Małe czy duże, chude czy grube, czarnowłose czy blond. Dziewczynki i chłopcy. Kiedy stoją

obok siebie, widać, że wszystkie są rodzeństwem. Bardzo różne, mówi portierka, ale w każdej twarzy jest kawałek Grigore tak duży jak dłoń.

Dzieci tych kobiet już kiedy się rodzą, cierpią na bezsenność. Lekarze mówią, że to się bierze z oleju maszynowego. Przez kilka lat te dzieci rosną z dala od fabryki.

Ale kiedyś, mówi portierka, przychodzą tu pod portiernię, żeby poszukać swoich matek. Rzadko jest to coś

bardzo pilnego. Najczęściej bez powodu.

Portierka mówi, że te dzieci stoją tam, tuż obok portierni,

mówią jej, kim są, żeby portierka mogła wezwać ich matkę. I kiedy tam stoją, przykładają załężnione koniuszki palców do policzka. Nie widzą ani portiera, ani portierki. Już w momencie, kiedy mówią, kim są, patrzą tylko na drut, na ten zapadnięty dziedziniec fabryczny. Mają nieobecne spojrzenia. Grigore wielkości dłoni coraz wyraźniej występuje na twarze tych dzieci, im dłużej tam stoją.

I na małych czy też dużych koszulach, na małych czy dużych sukienkach, na podkolanówkach portierka widzi plamę rdzy. Gdy te dzieci, małe, większe albo prawie dorosłe stoją tak tuż przy portierni i czekają, portierka widzi plamę rdzy o ząbkowanych brzegach - każde dziecko nosi zeschnięty pokruszony listek rdzy na ubraniu.

Rdza z rąk matek, z tych samych rąk, które mężczyznom przed jedzeniem dodają do zupy arbuzową krew. Czarne obwódki pod paznokciami rozpuszczają się podczas prania. Po praniu rdza nie zostaje w wodzie, nie w pianie. Jest w tkaninie. Nie pomaga na to suszenie na wietrze, prasowanie ani żaden odplamiacz, mówi portierka.

Wszystkich tych nieświadomych braci i siostry, dzieci Grigore, portierka rozpoznaje nawet po dziesięciu latach. Kiedy przez bramę wyjechały już tony rdzy i siatki drucianej. Kiedy tony rdzy i siatki drucianej zostały na ich miejsce utkane i złożone na tym samym miejscu, jeszcze zanim trawa zdążyła znaleźć słońce, by urosnąć. Potem te dzieci też pracują w fabryce. Nigdy tego nie pragną. Przychodzą tu, bo nie wiedzą, co mają dalej robić. Od czubka nosa aż po czubki butów nie znajdują żadnej drogi, bo żadna droga nie jest otwarta. Znajdują

tylko

ryszotek z biedy, braku perspektyw i znużenia, z matki na dzieci i na dzieci tych dzieci. Przychodzą z tego samego niespodziewanego przymusu: na początku są zbuntowani, głośni. Potem z czasem miękną i milkną, krzątają

się spokojnie. Olej maszynowy dalej ma ostry zapach, ich ręce od dawna noszą czarne obwódki. Żenią się, wpychają sobie czasem w przepaści między zmianą nocną

i dzienną skarłałą miłość do brzucha. I mają dzieci. Które leżą z plamą rdzy na pieluchach. Które rosną, wkładają małe, potem duże koszule, sukienki, skarpety. Które ze swoim zeschniętym pokruszonym listkiem rdzy będą stały przy portierni. I czekały. I nie wiedziały, że później nigdy nie wkroczą na inną drogę, że później nic innego nie przyjdzie im do głowy.

Matka Grigore także była robotnicą w fabryce. Matka portierki też. .;

Druty do robótek leżą na stole. Dziedziniec fabryczny jest cichy. Wiatr pachnie słodem. Za dachami naprzeciwko stoi wieża chłodnicza fabryki piwa. Od wieży snuje się gruba, owinięta rura nad ulicą do rzeki. Z rury unosi się para. W dzień rozrywają ją przejeżdżające tramwaje. W nocy staje się białą zasłoną. Niektórzy mówią, że para cuchnie szczurami, bo w fabryce piwa, w żelaznych kotłach, które są większe od portierni, szczury rzeczne upijają się i toną w piwie.

Ósmego dnia, mówi portier, Bóg miał jeszcze po Adamie i Ewie kłębek włosów. Zrobił z tego drób. A dziewiątego dnia Bóg beknął sobie w pustkę światów. I z tego zrobił piwo.

Cień portierni się rozciągnął. Słońce szuka najkrótszej drogi między ulicą Zwycięstwa a zwojami drutu na dziedzińcu. Jest kanciaste, wgniecione na brzegach. W samym środku słońce ma szarą plamę.

Są takie dni pod koniec lata, kiedy głośnik nad portiernią trzeszczy. Wtedy portier patrzy długo do góry na niebo i mówi, słońce nad blachą falistą, nad dachami miasta, nad wieżą chłodniczą fabryki piwa jest zardzewiałym kranem.

Przed bramą jest dziura w jezdni, wróble pudrują się w niej kurzem. Między nimi leży śruba.

Portier i portierka siedzą w portierni. Grają w karty. Żelazko stoi na brzegu stołu. Portier zgłosił mężczyznę z raną na kciuku do dyrekcji. Żelazko skonfiskował. Mężczyzna z raną na kciuku dostanie jutro pisemną naganą.

W hali skaczą wróble. Ich pazurki i dzioby są czarne od oleju maszynowego. Wydziobują łupiny słonecznika, pestki arbuza i okruszki chleba. Gdy hala jest pusta, litery hasel są największe. PRACA i CZEŚĆ i PARTIA, a światło

ma długą szyję przy drzwiach do szatni. Karzeł w czerwonej koszuli i na wysokich obcasach zamiata oleistą

podłogę oleistą miotłą. Na warsztacie obok niego leży arbuza. Jest większy niż jego głowa. Skórka arbuza jest ciemna w jasne paski.

A światło stoi ukośnie w drzwiach na dziedziniec fabryczny. A kot siedzi koło drzwi i je słoninę. Karzeł patrzy przez drzwi na dziedziniec.

A kurz unosi się bez powodu. A drzwi skrzypią.

Orzechy

Kobieta o sękatych dłoniach pluje na ścierkę i pociera jabłka, żeby błyszcząły. Układa błyszczące jabłka jedno przy drugim tak, że czerwone policzki mają z przodu, a wgłębienie z tyłu. Jabłka są małe i koślawe. Waga jest pusta. Odważa dwiema żelaznymi ptasimi głowami, których dzioby wznoszą się i opadają naprzeciw siebie, aż

jabłka i odważniki mają taki sam ciężar. Potem się zatrzymują. Potem stara kobieta oblicza, głośno poruszając

ustami, aż jej oczy znajdą się tak blisko siebie jak dzioby. Tak samo twarde i spokojne, bo wiedzą, ile to kosztuje. Sprzedawcy w hali targowej to starzy ludzie. Na betonowej podłodze, między betonowymi ścianami, pod betonowym dachem, za betonowymi niszami wiszą w ich twarzach wioski. Ogrody, do których zakrada się wiechlina.

Liviu opowiada o tych wsiach, odkąd jest nauczycielem na płaskim południu, gdzie Dunaj odcina kraj.

O letnich wieczorach, do których zmierza cały dzień, aż jest zmęczony i zamyka się między oczami. Gdzie głowa zapada się w sen, zanim ciało może udać się na spoczynek. O czujnym śnie młodych, o głuchym śnie starych

opowiada Liviu. I że w czujności i w otępieniu kroki dnia przebijają się przez palce stóp, i że od harówki drżą w nocy ręce. A uszy we śnie myślą własne chrapanie z głosami wiejskiego policjanta i sołtysa. Że jeszcze raz we śnie im mówią, co musi być posadzone w ogrodzie na każdej grządce. Bo policjant i sołtys mają swoją buchalterię, swoje listy. Czekają na obowiązkowe dostawy,

nawet kiedy przyjdzie pchełka ziemna, mączniak, robak, ślimak i wszystko zeżrą. Nawet kiedy deszcz zapomni o wiosce i słońce wypali wszystko do ostatniego włókna. I tak splaszczy wioskę, że ze wszystkich stron równocześnie wchodzi do niej noc.

Liviu przyjeżdża w odwiedziny do miasta trzy razy do roku i w mieszkaniu Paula, gdzie kiedyś mieszkał, iw mieście, gdzie spędził tyle lat, nie znajduje sobie miejsca. I już rano żąda wódki i mówi na nią

ŚLIWKOWE

MLEKO.

Paul mówi, że Liviu chodzi po mieszkaniu jak zamknięty pies, a po mieście jak zbłąkany pies. I że Liviu wisi na jednej nitce, i że Liviu o tym wie i opowiada, aż głos mu chrypnie.

O nocach na wsi opowiada Liviu, kiedy świeci się tylko na rogach dwóch domów, na domu sołtysa i domu policjanta. Dwa podwórka, dwoje schodów, dwa ogrody aż

po liście pilnowane przez światło. Wyróżnione i ciche. Wszystko inne jest zapadnięte. Psy biegną w ciemność, szczerzą tylko tam, gdzie od dawna nie pali się ani jedna żarówka, gdzie drzewa przed domami zwieszają się nad wodą Dunaju.

Nie widać wody, mówił Liviu, nie słysząc jej we wsi. Słyszysz ją tylko w głowie, nie ma się stóp. Woda dusi. Można by, mówił, na suchej ziemi utonąć we własnych uszach.

Czasami słysząc z daleka strzały, mówił Liviu. Nie głośniej niż gdyby odłamała się gałązka. Tylko inaczej, całkiem inaczej. Wtedy psy milkną, zanim zaczną szczerkać głośniej. Ktoś chciał wyjść w noc, przez

granicę, przepłynąć przez Dunaj. Sam ze sobą, mówił Liviu,
wtedy to koniec, to wiadomo. Patrzy na krawędź stołu,
przyciska dłoń do oparcia krzesła i zamyka na chwilę
oczy. Piję, mówił Liviu. Śliwkowe mleko pali, oczy stają
się rozlatane, aż żarówka zaczyna się rozmywać, a kie-
dy nie ma prądu, świeczka. Piję, póki nie zapomnę, że
padł strzał. Aż od śliwkowego mleka mam fale w
nogach.

Zapominam, mówił Liviu, aż nie mogę myśleć o niczym
innym, aż staje się nieuniknione, że Dunaj odcina wieś
od świata.

Na wsi jesteś miastowym, a w mieście jesteś wieśnia-
kiem, powiedział Paul do Liviu. Wróć do miasta. Ono
zna
ciebie i mnie, jest tu kilka tysięcy wiejskich policjantów
i kilka setek plam asfaltu.

Paul zaczął śpiewać, Liviu zanucił razem z nim:

Twarz bez twarzy

Czoło z piasku

Głos bez głosu

95

Co mogę z wami wymienić

Jednego z moich braci

Na papierosa

Liviu stanął na krześle, trącił abażur lampy ręką. Ka-
bel lampy latał w tę i we wtę. A z nim jego cień.

Mam tylko jedną myśl

Co mógłbym wam sprzedać

Pomięta spódnica

Ma tylko jeden guzik

Oczy Paula były na wpół zamknięte, a oczy Liviu od śpiewu wypłynęły mu z czoła, może to nie były jego oczy,
może to były jego wilgotne usta.
Noc szyje wielki wór
Z ciemności
Livi ułapał klosz lampy ręką. Przestał śpiewać, a Paul głośniejszym bębnił rękami po stole.
Gorzka trawa u macochy
Na dworcu gwizdże pociąg towarowy
Małe dziecko bez rodziców
Na asfalcie bosonogi stoi but
Paul spojrzął przez okno na anteny pobliskiego bloku.
Wstał i przysunął krzesło do stołu. Podniósł głowę i popatrzył w górę na Liviu. Ten zaśmiał się bezdźwięcznie.

96

Z nieba nie zwisa kabel od lampy, powiedział Liviu w mil-
czenie, bo inaczej byłoby za dobrze, można by się wszędzie na dworze powiesić.
Nie patrz tak, powiedział Liviu do Paula. I to zdanie spadło Paulowi na twarz. Paul wyszedł z pokoju, Liviu zszedł z krzesła. Kiedy znowu stanął na podłodze, powiedział do Adiny jakby sam do siebie, dla mnie Paul to nie
lekarz.
Paul siedział sam ze swoim głosem w kuchni i za tamtych dwoje głośnie rozmawiał ze sobą. Dzisiaj w nocy,
powiedział, przyszli do szpitala kobieta i mężczyzna. Mężczyzna miał w głowie mały toporek do drewna.

Trzonek toporka sterczał nad głową jak wrośnięty we włosy. Na głowie nie było widać ani kropli krwi. Lekarze zgromadzili się wokół mężczyzny. Kobieta powiedziała, że to się stało tydzień temu. Mężczyzna zaśmiał się i powiedział, że czuje się dobrze. Jedna z lekarek powiedziała, można uciąć tylko trzonek, toporka nie wolno

usuwać w całości, bo mózg w głowie się do niej przyzwyczał. Potem lekarze usunęli toporek. Mężczyzna zmarł podczas operacji.

Adina i Liviu popatrzyli sobie krótko w oczy.

Marchewki na stołach są zdrewniałe, cebule pokurczone. Za orzechami stoi blacharz. Ale nie ma na sobie swojego skórzanego fartucha, najego szyi nie wisi sznur, ślubną obrączkę ma na palcu. Zanurza rękę w orzechy, grzechoczą jak żwir. Ma wszystkie palce u obu dłoni. Mężczyzna z orzechami to nie jest blacharz z owocami w papierze gazetowym. Nie mówi, jedz powoli, żebyś długo czuła każdy kęs.

Ale gdyby to był on, to mógłby być on.

Nosi oczy blacharza, patrzy na wagę, dzioby ptaków idą w górę i w dół. Dzioby stoją w miejscu, a oczy znają cenę. Adina otwiera torbę, orzechy turlają się do środka.

Dwa orzechy spadają na ziemię. Adina schyla się.

Mężczyzna w krawacie w czerwono-niebieskie kropki już zdążył pochylić się przed nią. Adina potrąca jego ramię, mężczyzna trzyma zbiegłe orzechy w dłoni. Adina widzi znamię na jego szyi, jest tak duże jak czubek jej palca. On wrzuca obydwie orzechy do jej torby, nie chciały

iść do ciebie, mówi, nie na darmo się mówi GŁUPI
ORZECHE,

czy mogę zjeść jednego. Ona kiwa głową, on bierze dwa orzechy z torby. Zamyka dłoń, idąc zgniata jeden orzech o drugi. Skorupa trzaska, a on otwiera dłoń. Jeden orzech jest cały, drugi pęknięty. Adina widzi biały mózg w dłoni.

Mężczyzna rzuca skorupę na ziemię, je. Jego znamię podskakuje, jego czoło błyszczy, drugi orzech wkłada do kieszeni marynarki. Jak się nazywasz, pyta, a na zębach ma mleko, orzechy grzechoczą w torbie przy każdym kroku. Adina bierze torbę pod pachę, co to ma wspólnego z orzechami, mówi. Co teraz zrobimy, mówi on. Nic, mówi Adina.

Odchodzi w przeciwną stronę.

Pavel stoi w lewych bocznych drzwiach hali targowej i patrzy za Adiną, a światło tworzy wirujące sznury kurzu przed jego oczami. Jego policzki poruszają się, język wyszukuje przeżute kawałki orzecha pomiędzy zębami, jego znamię nie podskakuje. Bierze orzecha z kieszeni, kładzie go na asfalcie. Stawia but na orzechu, wsuwa orzech pod podeszwę przy obcasie, dokładnie na brzegu. Staje całym swoim ciężarem dokładnie na orzechu. I skorupa pęka. Pavel schyla się, wyjmując mózg ze skorupy, żuje i przełyka.

Przed prawymi bocznymi drzwiami hali targowej stoi czarny samochód z żółtą tablicą rejestracyjną i niskim numerem. W samochodzie siedzi mężczyzna, opiera głowę o kierownicę, patrzy nieobecny wzrokiem do hali.

Widzi starą kobietę. Betonowy stół odcina jej brzuch od nóg. Staruszka przesiewa czerwoną paprykę. Papryka

opada przez sito jak czerwone pajęczyny, opada dokładnie w to samo miejsce. Górka pod sitem kobiety szybko rośnie.

Z tą panią nie dało się rozmawiać, mówi Pavel, to nic, mówi mężczyzna w samochodzie, nie szkodzi. Stara kobieta otrzepuje sito. Wygładza czubek góry rękami, jej ręce są czerwone jak papryka. I jej buty.

Język Pavla szuka przeżutych kawałków orzecha między zębami, wsiadaj, mówi mężczyzna w samochodzie, jedziemy.

Skrzynki na listy na klatce schodowej stoją w słońcu.

Pnące róże rzucają cienie na ścianę. Ich kwiaty są małe, rosną w kiściach, które mogłyby same trzymać się mocno w dłoni.

Oko skrzynki na listy nie jest czarne i puste, jest białe. A białe oko skrzynki to żołnierski list od ilije. Ale na kopercie znowu jak przed tygodniem nie ma nazwiska Adiny. Znowu nie ma znaczka, nie ma stempla, nie ma nadawcy. W kopercie znowu jest kratkowany kawałek papieru wielkości dłoni, krzywo wyrwany, znowu to samo

zdanie tym samym pismem PIERDOŁĘ CIĘ W USTA.

Adina zgniata kartkę i kopertę w dłoni i czuje suchość papieru w gardle. Winda pozostaje ciemna, nie pali się zielone oko, nie ma prądu. Klatka schodowa pachnie gotowaną kapustą. Orzechy grzechoczą, kiedy Adina idzie.

W ciemności zaczyna liczyć, zamiast schodów liczy swój prawy i swój lewy but. I każdy but bez niej pojedynczo się podnosi i pojedynczo staje na stopniu. Aż każda liczba staje się tylko jej głosem, potem obcym głosem. W tym obcym głosie zaczyna się jej własne czoło.

Torba z orzechami stoi na kuchennym stole, na orzechach leży zgnieciony papier, koło torby stoi pusta miska. Szuflada jest do połowy otwarta, nóż widelec nóż widelec widelec widelec, wszystkie zęby razem jak grzebień. Adina wyciąga szufladę do końca, wielkie noże,

między nimi młotek.

Jej ręka kładzie na stole orzech, młotek uderza lekko. Na orzechu pojawia się pęknięcie, młotek uderza trzy razy, mocno, skorupa pęka. I mózg w skorupie.

Po kuchence łożą karaluchy. Siedem rudobrazowych wielkich, cztery ciemnobrazowe średniej wielkości, dziewięć małych, czarnych jak pestki jabłek. Nie łożą, one

maszerują. Żołnierskie lato dla Ilije, dla Adiny brak listu. W pokoju na przeciwległej ścianie wisi zdjęcie, na które już rano pada smuga światła - Ilije w żołnierskim mundurze, jego włosy jak jeż, źdźbło trawy w ustach, cień na

policzku, u jego butów trawa. Każdego ranka cały dzień wisi na tym źdźble trawy.

Ilije siedzi jak Liviu na płaskim południu. Podobnie blisko, podobnie daleko od Dunaju, obaj w różnych miejscach. W jednym miejscu Dunaj płynie prosto i odcina

kraj, w drugim Dunaj płynie na ukos i odcina kraj. Tylko strzały padają w obu miejscach podobnie, jakby odłamała się gałązka, tylko inaczej. Całkiem inaczej.

W tym mieście bywają w sierpniu takie dni, że słońce jest jak obrana ze skórki dynia. Wtedy od dołu rozgrzewa się asfalt, a od góry beton bloków. Wtedy głowa z upału cały dzień chodzi z oderwaną pokrywą czaszki. Wtedy

w południe najmniejsza myśl kuli się w głowie i nie wie,
gdzie ma się podziac. Wtedy oddech staje się ciężki w
ustach. Wtedy ludzie mają tylko te zagubione ręce.

Wtedy

te ręce przyklejają mokre prześcieradła do szyb
okiennych, żeby się ochłodzić. Wtedy prześcieradła są
już su-

che, zanim ręce oderwą się od szkła.

W taki właśnie dzień w sierpniu Ilije stanął przy
kuchence i rozgniatął karaluchy. Może to nie był on,
może

to była bezwzględność upału w jego głowie. Przy dużych
śmierć trzaskała, przy małych była cicha. Ilije liczył
tylko

te rudobrazowe karaluchy, które trzaskały.

Kiedy są dorosłe, stają się rude, mówił Ilije. One
przeżyją wszystko, miasta i wsie. I to bez końca zaorane
pole bez drogi i drzewa, i tę nędzną kukurudzę, Kar-
paty i wiatr na kamieniach, tak samo owce i psy i ludzi.
One zeżrą ten socjalizm, w grubych brzuchach powloką
go nad Dunaj. A po drugiej stronie, na tamtym brzegu,
będą stali przerażeni ludzie i mrugali w upale. I krzyczeli
przez wodę, to są Rumuni, oni na to zasłużyli.

Adina wyciągnęła ilije z kuchni, gdy zaczął płakać
i rękami, które czuć było robactwem, chwycił się za
twarz. Dała mu szklanekę wody, on trzymał ją w ręce i nie
pił. Brzydziło go, że jego pot był zimny, odpychał Adinę
i marzył w upale. Był tak bardzo daleko od siebie, że
połykał język, kiedy powiedział, świat ma szczęście, że
jest

Dunaj.

Adina wygląda przez okno, żuje orzecha. Niebo jest

puste, orzech jest na języku gorzki, a potem słodki.
Niebo patrzy w górę, nie w dół. Utrzymuje swoją pustkę
na
małych białych plamach, na listach, które już są
prze czytane, kiedy ono wybiega z miasta, kiedy ucieka -
uciekinier do Dunaju nad miastem.
Jakieś dziecko krzyczy w dole na ulicy. Język Adiny
szuka przeżutych kawałeczków orzecha między zębami.
Rozprysnięte na boki skorupy leżą pod stołem.

Inna cisza

Gdzie są łożyska kulkowe, mówi dyrektor. Z kołnierzyka
jego koszuli wylatuje brązowy mól, leci do okna. Szuka
dziejnińca za szkłem, jest nie większy niż mucha. Mara
mówi, łożyska są zamówione. Za geranium, za zasłoną
przed oknem dyrektora stukają buty. Brązowe włosy
przechodzą obok. Na końcach włosów stoi między
jednym krokiem a drugim doniczka z geranium. Nie
kołysze swoimi czerwonymi kwiatami, opuszcza
bezwładnie
liście, na włosy w zapadniętym dziedzińcu fabrycznym,
w żrącą rdzę, w drut. Głowy przechodzącego dyrektora
nie widzi, tylko końce włosów. I mola przy szybie, gdzie
są te łożyska, skoro są zamówione, mówi dyrektor.
Przyciska się tak blisko szyby, że zasłona muska jego
czoło,
a geranium podbródek. Aż mól zawraca i przy jego
wygolonej na łyso skroni przelatuje na stół
konferencyjny. Łóżyska są w drodze, towarzyszu
dyrektorze, mówi
Mara.
Spodziewał się mola. Szybko odsuwa twarz do tyłu, bo

z przyzwyczajenia wpatruje się w drut. Obcasów, które na asfalcie są tak twarde i wysokie jak przełamane cegły, się nie spodziewał. Nie spodziewał się butów karła, które stukają, jakby głowa dlatego była głową karła, że obcasy są za wysokie. I nie spodziewał się krótkich nóg, nie zginających się przy chodzeniu. Ani pleców, które trzymają

się tak prosto, jakby wpleciono im nowy drut.

Te buty, te nogi, te plecy zakłócają spojrzenie, które chce pozostać puste. Nawet jeśli w fabryce mijają lata, żadne oko nie spogląda na karła, nie czując przy tym siebie. Nie zawadzając sobie samemu.

Dyrektor prostuje kark. Stukanie z tyłu za karłem, zakłócone przyzwyczajenie jest jak marznięcie.

Karzeł, a jednak do czegoś doszedł, mówi dyrektor.

Inny na jego miejscu wolałby zebrać na skraju drogi.

Wskazuje portret dyktatora, który raz wielki wisi na ścianie i raz mały stoi na biurku. Wskazuje na mały stojący portret. Choć oba portrety przyglądają się sobie, czerń w oku. Między ścianą i stołem, przed białą zasłoną wiszący portret spotyka stojący. Wszyscy, którzy pochodzą z JEGO stron, mówi dyrektor, mają silną wolę. Ma na myśli południe, gdzie Dunaj odcina kraj. Gdzie równina jest płaska, lata między rosnącą kukurydzą wysychają na kamień, zimy między zapomnianą kukurydzą

zamarzają na kamień. Gdzie poduszcзки przekwitłego ostu unoszą się na wodzie. Gdzie ludzie liczą pływające poduszcзки i wiedzą, że Dunaj za każdego zastrzelonego w trakcie ucieczki przez trzy dni trzyma na falach poduszczkę ostu, a przez trzy noce odbłask pod falami, jak świece. Ludzie na południu znają liczbę zabitych.

Nazwisk zabitych i ich twarzy nie znają.

Napisz ponaglenie, mówi dyrektor. Łożyska są w drodze, mówi Mara. On pociera szyję o koszulę, kołnierzyk go drapie. Czasami, mówi dyrektor, ktoś puka do drzwi. Niegłośno, ledwie słyszę. A kiedy otwieram drzwi, nie ma tam nikogo, jeśli od razu nie spojrzę w dół. To brygadzysta przysłał do mnie karła, a karzeł trzyma kartkę papieru w ręce i nic nie mówi. I idzie, zanim zdążę coś powiedzieć. I karła nie ma. A ja nie wołam za nim, bo zapomniałem jego imienia. Nie mogę przecież zawołać: hej

ty, karzeł. Mara uśmiecha się, masz piękne nogi, Maro, mówi dyrektor. Geranium kołysze się. On klęka na dywanie. Jego głos jest głęboko pod spódnicą Mary. Jego ręce

są twarde. Jej uda są gorące. Jego zęby są na jej prawe udo nanizane pojedynczo, wilgotne i ostre. A portret na stole, czerń w oku, się przygląda. I rozmywa się. A może to mól w powietrzu, ręka daleko przed oczami Mary. Aj, to boli, towarzyszu dyrektorze, mówi Mara.

Dyrektor co tydzień przychodzi pod bramę, powiedziała portierka do Clary. Na portiernię nie zachodzi, nie przekracza progu. Wsuwa tylko głowę przez drzwi i zaraz ją cofa. Patrzy w drut i pyta, jak się nazywa ten karzeł. Portier też patrzy w drut, bo oczy dyrektora ciągną

jego oczy za sobą, i dlatego, że portier myśli, że dyrektor całą swoją głową jest w tym drucie. Ponieważ, kto patrzy w ten drut, ten patrzy całą głową, kto patrzy w ten drut, ten już nie słucha. Oprócz portiera i mnie, powiedziała portierka, my patrzymy w drut i już go nie widzimy.

Portier za każdym razem mówi: towarzyszu dyrektorze,

karzeł nazywa się CONSTANTIN. Mówi to tak głośno, że

ja słyszę, nawet kiedy portier i dyrektor stoją na dziedzińcu, powiedziała portierka. I z kołnierzyka koszuli dyrektora, kiedy stoi na dziedzińcu, za każdym razem wylatuje mól. I za każdym razem dyrektor mówi, chciałbym zapamiętać to imię, ale zaraz je zapominam. Zapamiętuję wszystko, ale imię karła zaraz zapominam. Na to portier mówi, karzeł trzyma z diabłem, inaczej nie byłby karłem. Dyrektor jako młody człowiek był dyrektorem w fabryce kapeluszy, to było za Karpatami, powiedziała portierka. Stamtąd pochodzą te mole. Od tego czasu był dyrektorem wodociągów na południu i dyrektorem w budownictwie mieszkaniowym tutaj w mieście. Ale moli z fabryki kapeluszy nie może się pozbyć. Dyrektor wyjmuje z kieszeni kartkę i ołówek. Zapisuje sobie imię. Píše imię przez całą kartkę, dużymi literami przez swoją dłoń, powiedziała portierka. Kiedy dyrektor chowa kartkę i ołówek, mówi, teraz już wiem. A mól leci daleko na dziedziniec i gubi się wśród drutu. A tydzień później dyrektor znowu wsuwa głowę przez drzwi i znowu mówi, jak się nazywa ten karzeł, chciałbym zapamiętać jego imię, ale zaraz je zapominam. I wyjmuje taką samą kartkę z tej samej kieszeni, i z jego kołnierzyka wylatuje taki sam mól, a on znowu zapisuje to samo imię. I mól leci daleko na dziedziniec, w drut.

Raz dyrektor powiedział mi, powiedziała portierka, z tą kartką jest tak samo jak z imieniem karła, gubi się sama z siebie. Każdy w fabryce wie, jak karzeł ma na imię, bo to imię

do niego nie pasuje, powiedziała portierka. Tylko dyrektor tego nie wie. Za każdym razem się dziwi, że

karzeł ma na imię CONSTANTIN i za każdym razem mówi,
że to imię nie pasuje do karła. Stąd ja też wiem, że imię CONSTANTIN do karła nie pasuje, wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Dyrektor zwraca na to uwagę za każdym razem, powiedziała portierka. Dyrektor powinien zapamiętać to imię, bo zwrócił uwagę, że imię CONSTANTIN nie pasuje do karła.

Mój syn też ma na imię CONSTANTIN, powiedziała portierka do Clary, ale nigdy bym nie kojarzyła imienia mojego dziecka z imieniem karła, bo moje dziecko nie jest karłem. Bo to samo imię u karła nie jest tym samym imieniem. Zabroniłam mojemu dziecku przychodzić do mnie do fabryki, powiedziała portierka. Nigdy go nie puszczę do tego drutu. Wiem, że moje dziecko, kiedy tylko raz spojrzy w ten drut, już nie będzie mnie słuchało.

Nigdy nie wpuściłabym do tej fabryki mojego dziecka jako robotnika, powiedziała, ani na jeden dzień. Dyrektor klęczy na dywanie przed kolanami Mary, które odeszły. Widzi nogi stołu konferencyjnego. Oddycha głębiej niż sięgają jego płuca, przedycha się. Czuje, że jego czoło jest słone i wilgotne, jak gdyby miał dwoje ust w twarzy, te drugie gorące i zagubione, tam, gdzie czoło sięga włosów.

Pręgowany kot siedzi pod stołem konferencyjnym. Ma futrzaną twarz, ziewa. Przez ciemne paski, przez grzbiet, przez brzuch sen spływa mu aż do łap. Jego nos jest czarny od oleju maszynowego, tępy i stary. Ale jego

zęby są ostre, białe i młode. A oczy w drobno
pręgowanym futerku twarzy są czujne. W jego oczach
jest obraz,
uda Mary do kolan. Na wewnętrznej stronie ud jest
ugryzienie, wielkie jak usta. Dyrektor stoi przed lustrem.
Nie

wie dlaczego, ale się czesze.

W hali, na oleistej podłodze, leży robotnik. Jego oczy
są półotwarte, źrenice podjechały do czoła. Obok prasy
jest kałuża krwi. Nie ścina się, wchłania ją olej.

Pręgowany kot węża kałużę. Porusza wąsami i nie liże.

Pod

oleistym rękawem robotnika wisi przegub dłoni bez dło-
ni. Dłoń tkwi w prasie. Brygadzysta zaciska rękaw brudną
chustką.

Karzeł trzyma głowę rannego. Głowa ciepła i
nieprzytomna leży w jego dłoniach. I karzeł nie rusza
dłoni. Bo

włosy na głowie zdają się martwe, a pod włosami
potylicy, a pod czaszką mózg. Pod wywróconymi
źrenicami

gałka oczna między rzęsami jest jak brzeg białej
filiżanki.

Pod okiem jest zmarszczka. I karzeł tak długo przygląda
się tej zmarszczce, aż zaczyna rozdzielać nieprzytomną
twarz. I twarz kota, i jego własną twarz. Bo to, co w jego
rękach wydaje się martwe, podpełza mu, jeśli nie rusza
rękami, do gardła. Kot węża jego dłonie, potem nieru-
chomy podbródek. Końcówki wąsów kota są czerwone.
Ale jego oczy są spokojne i wielkie, nie zgniatają obrazu
ud Mary i ugryzienia wielkości ust.

Potem ktoś woła, idzie dyrektor. Potem przychodzi

Grigore z jakimś mężczyzną. Mężczyzna pyta, jak się nazywa ranny. I nikt nie zna obcego, i jego ręce są czyste,
i on nie pracuje w fabryce. A brygadzista mówi CRIZU. I obcy odpycha kota kopniakami, a Grigore odpycha karła krzykiem. A karzeł wkłada swoje puste dłonie do kieszeni. Stoi tam, gdzie leżał ranny, sam sobie zawadza i patrzy. A inni robotnicy stoją dokoła. I zawadzają Grigore i obcemu i patrzą. Bo Grigore i obcy niosą nieprzytomnego na koniec hali do szatni. Jego ciało jest miękkie i ciężkie. Jego fartuch zwisa, jest rozpięty do połowy
i wydyma się do dołu.

Potem przez otwarte drzwi wchodzi do hali dyrektor, idzie prosto, jak po sznurku, po śliskiej podłodze do szatni. Idzie i krzyczy, nie stójcie tak, do pracy. A z kołnierzyka jego koszuli wylatuje mól. Leci i gubi się przy

oknach, gdzie akacje zatrzymują światło, bo już u dołu pnia wypuszczają cienkie gałązki i dzikie listki. I dyrektor w szatni zamyka drzwi od środka.

A obcy trzyma głowę rannego. A Grigore rozchyła mu usta. A dyrektor wyjmuje z marynarki butelkę, która jest płaska i pasuje do jego dłoni, i wlewa wódkę w otwarte usta. I myje sobie ręce, naciska klamkę i stopą otwiera drzwi szatni. Dyrektor razem z obcym wychodzą najkrótszą śliską drogą z hali na dwór, na dziedziniec, w drut.

Grigore idzie za nimi. I zatrzymuje się przy drzwiach i potrąca karła. I mówi do hali, Crizu jest dzisiaj od rana pijany, Crizu jest nietrzeźwy na stanowisku pracy. Karzeł opiera się o drzwi, patrzy na drut i je gruszkę.

Jego oczy są puste, jego głowa jest za wielka. Jego usta mówią same do siebie, Crizu nie pije. I sok kapie mu z ust. A słońce owija sobie przezroczystą chmurę wokół brzucha. Karzeł wgryza się głęboko w gruszkę i przeżuwa. Żuje skórkę, mięsz, gniazdo nasienne. Jego palce są lepkie, na buty skapuje sok. Jego dłoń jest pusta. Ale nie przełyka. Jego policzki są pełne przeżutej gruszki. Pełne aż pod same oczy.

To nic, to nic, mówi głośno ktoś w hali. Niesie swoją głowę przy oknie i mówi, tu nic się nie da zrobić. Temu, kto to mówi, nieszczęście wisi z ust jak liście przed oknem wiszą na drzewie. W lecie zielone albo żółte jesienią, nieszczęście jest gałązką w jego twarzy. Jest kolor, ale nie ma liści. Bo nieszczęście jest nagie, zawsze огоłocone, jak później będą za oknem zimowe drzewa. Musi nagie życie powstrzymać przed oknem. Musi naga mowę powstrzymać przed ustami, zanim w głowie pojawi się myśl. Musi milczeć i się nie skarży. A karzeł musi jeść, a nie przełyka. A Crizu musi przełykać, a nie pije.

Ale kiedy przychodzi lekarz, kiedy czuje wódkę, Crizu przepadł ze swoimi prawami, nieprzytomny i pijany. Potem stado wróbli jak parasol przelatuje przez dziedziniec. Jeden ptak się odłącza i siada na drucie, a potem na podłodze. I podskakuje, aż jego piórka są równo ułożone, a skrzydła na grzbiecie są już tylko piórami. Potem ptak przez drzwi wchodzi do hali. A w hali po śliskiej podłodze idzie prosto jak po sznurku. Robotnicy stoją i patrzą na niego. I nikt nic nie mówi.

Tylko brygadzysta stoi przy prasie i się pochyla. On

patrzy w inną ciszę, on szuka urwanej dłoni.
A karzeł stoi na swoich przełamanych ceglach na
dziedzińcu i w pustkę przeżuwa gruszkę.
Anca wstawia wszystkie ołówki do pustej puszki po
coca-coli. Ściera kurz z pustej puszki po piwie. Maria
wstawia wszystkie ołówki do pustej puszki po piwie. Eva
podlewa biało nakrapiane pnącze i wiesza jej biało na-
krapiane liście wokół ramy obrazka na ścianie. Na
obrazku jest kwitnący mak. David bierze ołówek z puszki
po
coli. Anca mówi, że ta biało nakrapiana roślina nazywa
się JEZYK TEŚCIOWEJ. David otwiera pismo z
krzyżówkami. A Clara kładzie pędzelek na biurku i
dmucha na swoje świeżo polakierowane paznokcie.
David mówi, uczucie
po jedzeniu na 4 litery. Anca woła MDŁO. Eva woła
DOŚĆ.
A Mara woła SYTY.
Potem otwierają się drzwi i w biurze stoi Grigore.
A Mara trzeci raz stawia nogę na krześle i podnosi spód-
nicę i jemu też pokazuje swoje udo. Grigore dotyka kola-
na Mary i patrzy na jej szyję, tam, gdzie kołysze się złoty
łańcuszek Mary. Zwariowany dzień, mówi Mara,
dyrektor mnie ugryzł.
Zapalenie bębenka
Twarz bez twarzy
Czoło z piasku
Głos bez głosu
Co jeszcze jest
Został czas
Paul widzi w sali tylko oczy. Światło jest wyłączone
i wszystkie oczy są podobne. I sto kilka z nich to oczy

policjantów.

Czas bez czasu

Co można zmienić

Głowy, które kołyszają się w rytm piosenki, różnią się od głów pilnujących. Te poruszają rękami, a w rękach mają zapalone latarki. Oświetlają głowy śpiewających. Zapamiętują twarze, które od śpiewu przechodzą do krzyku. Anna siedzi w pierwszym rzędzie i widzi kółka latarek na ścianie.

Mam tylko jedną myśl

Co mogę z wami wymienić

Jednego z moich braci

Na papierosa

Boczne drzwi otwierają się od środka i do sali wdziera się smuga światła z holu. Szczekają psy.

Oszalałem

Zakochałem się

W dziewczynie, co mnie kocha

Ukochana jest niemądra

Bo mnie jednakjeszcze

Naprawdę nie kocha

I w smudze światła mężczyzna ze zgarbionymi plecami zostaje wyciągnięty z sali i odprowadzony.

Mam tylko jedną myśl

Co mógłbym wam sprzedać

Pomięta spódnica

Ma tylko jeden guzik

Wokalista odwraca się i patrzy na Paula. Paul patrzy na Sorina. Ten podnosi pałeczkę perkusji i dotyka ramienia Abiego.

Noc szyje wielki wór

Z ciemności

Boczne drzwi otwierają się od zewnątrz i w smudze światła stoją głowy w niebieskich czapkach z daszkiem. Adina siedzi w środku sali. Widzi pod czapkami nagie odstające uszy.

Gorzka trawa u macochy

Na dworcu gwizdże pociąg towarowy

Te uszy nasłuchują do środka sali, psy szczekają. Usta Paula śpiewają, wibruje jego czaszka i palce u nóg.

Latarki rzucają błyski. Potem wszystkie drzwi zostają otwarte,

buty tupoczą. Na scenie robi się ciemno, a na sali jasno.

I krzyczące twarze są nagie w świetle. W sali stoją policjanci, psy i mężczyzna w garniturze. Palce Paula szarpia struny, gitara milczy. Pałeczki Sorina już nie wydają

dźwięku. Bo mężczyzna w garniturze stoi obok niego na scenie, podnosi ręce do góry i krzyczy, koniec, koncert jest zakończony, opuście w spokoju salę.

Wokalista, Paul, Abi i Sorin śpiewają i już siebie nie słyszą. Bo piosenka jest matowa, technie strachem, tak wielkim jak usta, i spojrzenie. Tak wielkim jak sala. Na dole w świetle policjanci kopią i tłuką pałkami śpiewających ludzi i popychają w stronę drzwi.

Małe dziecko bez rodziców

Na asfalcie bosonogi stoi but

Gumowe pałki wyszukują sobie przypadkowe plecy, głowy, nogi. Na skórzanych rzemieniach wiszą rewolwery i pistolety maszynowe. Adina opiera się o ścianę.

Rzędy krzesel są puste. Policjanci nasycili się biciem, psy

naszczekały się do syta. Tylko buty policjantów są

głośne. Idą do wyjścia. Anna siedzi wśród pustych krzeseł

w pierwszym rzędzie. A psy biegną za butami, mają długie, pogubione nogi.

Mężczyzna w garniturze stoi na scenie. Jutro o ósmej, pokój numer dwa, mówi. Spogląda na Paula i mówi, zrozumiano. Abi pyta dlaczego. Sorin zwija kabel. Adina stoi koło Sorina i patrzy, jak kabel wpełza mu w zgięcie łokcia. Anna siedzi na skraju sceny, trzyma się obiema rękami i patrzy na pustą salę. A mężczyzna w garniturze mówi, to my stawiamy pytania. A Paul mówi, mam nocną zmianę. A mężczyzna w garniturze przy schodach zeskakuje ze sceny i idzie przez salę i woła, to zaraz potem.

I zatrzaskuje za sobą drzwi. A Anna całuje Paula. Paul mówi, idź do domu, przyjdę do ciebie jutro.

Ona zaciska usta. Patrzy w podłogę, szura butem. Paul mówi, przyjdę po przesłuchaniu, przyjdę na pewno.

Anna przechodzi koło Adiny i nie ma spojrzenia. Tylko wąską twarz. A jej policzki są zniekształcone przez zazdrość, przez wiedzę o tym, że Adina była z Paulem przez

trzy lata. Jej ramiona są bezradne, aż musi spleść razem palce dłoni, żeby mogła iść. Aż przy każdym kroku na schodach za wysoko podnosi stopy. Potem odchodzi powoli szurając nogami przez puste krzesła w głąb sali.

Aż jej

kroki nie kłamią i pokazują, że Anna chce wynieść swoją twarz, zanim zostanie wyparta spomiędzy Adiny i Paula.

Adina słyszy kroki w sali i widzi w twarzy Paula, jak spojrzenie jeszcze raz uwalnia się od pożegnania. Anna wychodzi, nie odwracając się, z sali, przez boczne drzwi.

Butelka wódki przechodzi z rąk do rąk. Głosy się płaczą. Piękny wieczór. W pięknym kraju. Możemy się wszyscy powiesić. Umieranie razem jest zakazane. Gdy będziemy martwi opuścimy w spokoju salę. Ja wystawię nam akty zgonu, mówi Paul. Sorin podnosi butelkę do ust, mówi w szyjkę butelki, w wódkę, która chlupocze przed jego zębami, dla mnie proszę moją ulubioną diagnozę ZAPALENIE BĘBENKA.

Paul schodzi w dół po schodach, Adina przy schodach zeskakuje ze sceny. On idzie przez salę, pomiędzy wieloma drogami pustych krzeseł, tą samą drogą, którą poszła

Anna. Adina idzie za nim.

Ona czuje jego żebra, jego kurtka jest cienka. Ulica jest tak ciemna, że tylko niebo szumi, bo nie widać drzew. Żadnego samochodu, żadnego człowieka. Asphalt jest zimny, a podeszwy butów cienkie. Jej szyja marznie, ale droga jest tam, buty stukają. I to stukanie podpełza pod policzki. Obok policzka Paula stoi stadion. Cichy i wysoki. Jak góry, jakby w dzień piłka nigdy nie mogła latać tam, gdzie nocą biega księżyc.

Szpital zastawia drogę swoją czarną długością i wysokością. Kilka okien się świeci, ale świecą dla siebie, nie

rzucają blasku w noc.

Popatrz tylko, mówi Paul. Raz policzyłem okna, sto pięćdziesiąt cztery. W lecie czterech rzuciło się z okna, to nic, to nic. Jeśli nie skaczą, umierają w łóżku. Tam nie chodzi o piosenkę, od miesięcy nie mamy waty, żadnych środków opatrunkowych, bierzemy resztki z fabryki pończoch.

Paul całuje Adinę, zawisa u jej ust. Jego dłonie są ciepłe,

ona zamyka oczy i czuje na brzuchu jego zeszywniały członek. Odrywa usta, przyciska czoło do jego szyi. Zatrzymuje się z butami między jego butami na samym środku skrzyżowania, gdzie za dnia przecinają się ulice. Kołnierzyk jego koszuli trzeszczy jej w uchu. Ale jej uszu nie ma przy głowie, są tam z tyłu, gdzie szczekają psy. A jej oczy tam w górze, gdzie biegnie księżyc i szuka

dziur w chmurach.

idź już, mówi Adina.

Potem przechodzi przez ulicę małymi krokami po asfalcie, ale tam nie ma nic. Tylko stukanie trzyma się blisko, a czoło jest nadal gorące, żeby droga się nie zgubiła. Na krawężniku odwraca głowę, Paul nie poruszył

się, stoi jak cień. Jaśniejsza plama to jego twarz. Paul stoi na skrzyżowaniu i spogląda za nią.

Paul podchodzi do oświetlonych okien. Wiatr nosi jego włosy, czuć wilgotną ziemią i świeżo skoszoną trawą.

Za szpitalem jest las. Choć to nie las. To szkółka leśna, porzucona i rozrastająca się dziko. Starsza niż stada bloków na skraju miasta, starsza niż szpital. U samego dołu

przy korzeniach na nielicznych prostych pniach można jeszcze rozpoznać rzędy. Ale w górze igły i liście szepiąją się ze sobą. Zmieniają się codziennie. Jedno przez lata

się nie zmieniło, że żadne drzewo jest niepodobne do drugiego, że za szpitalem rośnie puszcza, która nie znosi ludzkiej twarzy. Że chorzy z górnych pięter najlepiej widzą dziki gąszcz i są obląkani. Paul wie, że chorzy

godzinami patrzą przez lornetkę w tę dzicz. I mówią monosylabami jak gajowi.

To patrzenie zaczęło się od pewnego chorego gajowego z Karpat Zachodnich i już nie ustało. Gajowy leżał na dziesiątym piętrze. Gajowy z tego samego lasu przyszedł do niego w odwiedzinach i przyniósł mu lornetkę. Dla zabicia czasu, powiedział. Chory gajowy wraz z mężczyznami z dziesiątego piętra całymi dniami patrzył w las. Póki

nie umarł. Kiedy gajowy z tego samego lasu przyjechał z wdową i z trumną, zabrał jego sztuczną szczękę, okulary, nożyczki do paznokci i kapelusz. Lornetkę zostawił

mężczyznom ze szpitala. I powoli, coraz dalej, w dół aż do trzeciego piętra wszyscy mężczyźni stają się chorymi gajowymi, bo wiszą u tej lornetki. Powstają listy, które łączą dziesiąte piętro z trzecim. Na tych listach są spisane nazwiska, dni i godziny. Mówią, kiedy i jak długo każdy chory może patrzeć przez lornetkę w las.

Paul raz patrzył w las przez lornetkę. Chciał wiedzieć, co widzą chorzy gajowi. Zna las, bo po pracy często spaceruje między tymi drzewami. A jednak ogromna kula

z igieł i liści z drugiej strony lornetki przestraszyła Paula. I gąszcz, rozrastający się błyskawicznie. Pnie, które już dawno zrozumiały, w jaki sposób mają rosnąć. Gdyż dziksze wypiera to, co jako bardziej oswojone się wstrzymuje, odcina mu od góry światło, a od dołu ziemię. A trawy są w lornetce bliżej, niż gdy stoi w nich stopa.

Chorzy gajowi mówią, że widać też psy i koty. I mężczyzn z kobietami, którzy spółkują w biały dzień w

ciemnych zakątkach albo w półmroku wieczoru na polanach.

A przed południem dzieci chowające się przed innymi dziećmi. I kneblujące sobie nawzajem usta kępkami trawy. A kiedy nikt ich nie szuka, zapominają o zabawie w chowanego.

Paul słyszy te dzieci, bo w poszukiwaniu bólu przechodzą przez trzy rzędy kolczastego drutu na tylne podwórko szpitala, do pordzewiałych karetek bez okien. Najmniejszy mężczyzna podpira się największym kijem

Na przedniej szybie samochodu leży gruba warstwa kurzu.

Jego łokieć stoi na jej włosach. Jego usta dyszą, jego brzuch napiera. Ona przyciska twarz do oparcia. Słyszy na nadgarstku tykanie zegarka. Tykanie pachnie pośpieszonymi drogami, przerwą obiadową i benzyną.

Jego

slipy leżą na podłodze, jego spodnie wiszą na kierownicy.

Za szybą stoją łodygi kukurydzy krzywo pochylone do przodu ku jej twarzy. Jej majteczki leżą pod jego butem.

Włosy kolb kukurydzianych są potargane i cienkie.

Liście kukurydzy szeleszczą sucho, wyschnięte łodygi uderzają o siebie. Między czubkami rośnie bezbarwne niebo.

Ona zamyka oczy. Bezbarwne niebo nad kukurydzianym polem włamuje się do jej czoła.

Potem coś stuka na zewnątrz.

Otwiera oczy. Oparty o łodygę kukurydzy na polu stoi rower. Jakiś mężczyzna podchodzi do roweru i niesie na plecach worek. Tam ktoś idzie, mówi ona.

Łodygi kukurydzy uderzają idącego mężczyznę
w głowę.

Na majteczkach Clary został odcisk złobionej podeszwy
buta. Clara wkłada majteczki. On tu nie przyjdzie,
mówi Pavel, kradnie kukurydzę. Clara patrzy na zegarek.
Mężczyzna prowadzi rower pomiędzy wyschniętymi
łodygami.

Muszę wracać do fabryki, mówi Clara. Pavel
szarpnięciem zrywa swoje spodnie z kierownicy, z
kieszeni

spodni sypią się ziarna słonecznika na jego nagie kolano,
jak długo może cię nie być w sądzie, pyta Clara.

Samochód mruczy, jest szaro otulony kurzem. Nie
pracuję w sądzie, mówi Pavel. Sukienka Clary jest po-
gnieciona, przepocona na plecach. Jesteś adwokatem,
pyta Clara. Tak, odpowiada on, ale nie w sądzie. Niebo
staje się szerokie, kukurydza ucieka, biegnie w drugą
stronę. Zostaje niskie, szeleszczące pole, które
przechodzi w horyzont. Widziałam cię w innym
samochodzie,

mówi Clara. On wygląda przez okno, gdzie, pyta. Ona
patrzy na ziarna słonecznika leżące między jego butami,
koło katedry, na ulicy przy parku. Pavel kręci kierownicą
tak lekko, jakby jego ręce nie robiły nic. Czarne
samochody są w każdej fabryce, mówi. Ona patrzy na
drgającą wskazówkę sekundnika na zegarku, ale ty nie
jesteś

w żadnej fabryce.

On milczy i wzrusza ramionami. A Clara milczy i
wygląda przez okno.

Tam jest zakręt, gdzie niebo zamyka spojrzenie. Tam
czeka jasne zmęczenie i podrywa się codziennie do

miasta. Na przerwy obiadowe i puste popołudnia w fabryce.

Zmęczenie, które zamyka oczy między drutem i rdzą.
Które pulsuje w gardle, bo ręka portiera grzebie w torbie.
Zmęczenie, które w tramwaju między przystankami
stawia naprzeciwko siebie takie same, postarzałe twarze.
Zmęczenie, które ze spojrzeniem naprzód,
wyprzedzającym własną głowę wchodzi do mieszkania. I
zostaje
w mieszkaniu, aż między oknem a drzwiami kończy się
dzień.

A jeśli ja domyślam się najgorszego, mówi Clara i patrzy
na jego skroń.

Znamię Pavla jedzie przed szybą, jest czarne jak świeże
kopce kretów koło szyby w trawie.

Samochód wynajduje wyboje na drodze. Pavel wygładza
swoją krawat w czerwono-niebieskie kropki. U
kołnierzyka jego koszuli wisi włos. To jest jej włos.

Clara

zdejmuje go czubkami palców. Pavel przyciska szyję do
jej palców i pyta, co jest. Ona odpowiada, nic, włos. Co
powiesz swojej żonie. Szpaler topoli wlatuje do góry na
skraju drogi. On mówi, nic, ile lat ma twoja córka. On
mówi, osiem. Topole z obu stron sypią na ziemię żółte li-
ście. Palce Clary stają się niepewne i puszczają włos.

Wiem, co wiem, mówi Pavel.

Wrona stoi w kępie wiechliny i lśni.

Obok pomieszczenia ze sprzętem nagłaśniającym stoi
drabina przeciwpożarowa. Prowadzi na strych. Ma
cienkie żelazne szczebelki. Clara wchodzi po drabinie za
piętami Ewy. Mara, Anca i Maria są już na górze. Małe
okienko nie jest zamknięte, jedynie uchylone. Eva

popycha
skrzydło okna. W dole na dziedzińcu, po drugiej stronie,
są trzy schodki i otwarte drzwi. A w korytarzu za
drzwiami na lewo jest przebieralnia, a na prawo
prysznic dla
mężczyzn.

Włosy Mary stoją przed twarzą Ewy. Anca przyciska
ramię do pleców Marii, Clara czuje przy uchu spinę do
włosów Marii.

Mężczyźni jak co dzień wchodzą po schodach w
fartuchach roboczych, na korytarz i w drzwi na lewo. Po
chwili wychodzą nadzy z lewych drzwi, przecinają
korytarz i wchodzą w drzwi na prawo pod prysznic.

Gorąca

woda tworzy kłęby pary na korytarzu. Ale od maja do
września, kiedy późnym popołudniem słońce pada na
drugą stronę fabrycznego dziedzińca, na ukos nad
drutem, na schodkach stoi światło i oświetla część
korytarza. Jest tak jasne, że przebija się przez parę, że
widać

nagich mężczyzn przechodzących z jednych drzwi do
drugich.

Nadzy mężczyźni kulą stopy, z ociąganiem stawiają
kościste palce, betonowa posadzka jest zawsze wilgotna,
zimna i śliska. Mają grube brzuchy i chude plecy
i przygarbione ramiona. Ich brzuchy są owłosione, ich
uda szczipłe. Włosy łonowe są grubym węzłem. Jąder
nie widać z okienka strychu. Tylko dyndające członki.
Blondyni mają takie białe kutasy, mówi Mara. Eva
opiera się o jej plecy i mówi, wszyscy Mołdawianie mają
białe kutasy. Nie, mówi Maria, stary George nie. Jego
jeszcze nie widziałam, mówi Clara. Jej włosy spadają na

oko, odgarnia je do tyłu i ma w dłoni kukurydziane włosy. Eva mówi, George przed chwilą wszedł po schodach, zaraz wyjdzie. Mara podnosi twarz nad włosami Ewy. Jej oczy są wielkie. Clara puszcza kukurydziane włosy. Karzeł, mówi Maria, mój Boże, karzeł ma największego. Najmniejszy mężczyzna podpira się największym kijem.

Clara staje na palcach.

Żdźbło trawy w ustach

W oknie naprzeciwko stoi kobieta i podlewa petunie. Nie jest już młoda i jeszcze nie stara, powiedział Paul już kilka lat temu. Już wtedy miała kasztanoworude falujące włosy, wtedy, kiedy Paul jeszcze mieszkał u Adiny. I szyba w oknie już wtedy miała ukośnie biegnące pęknięcia.

Minęło pięć lat, nie dotknęły twarzy kobiety. Włosy nie stały się prostsze ani jaśniejsze. A białe petunie są każdego roku inne, a jednak takie same.

Białe petunie już wtedy zwieszały się w dół, kobieta już wtedy przy podlewaniu nie widziała niczego oprócz wygiętych łodyg. Białych kielichów nie widziała.

Kiedy na dole na ulicy podnosiło się głowę, już wtedy wisiały tak wysoko w górze, pomiędzy oknami, że gdy ktoś nie wiedział, że te małe białe plamki to petunie, aż do jesieni widział trzepoczące w letnim wietrze dziecięce skarpetki albo chusteczki do nosa.

Adina stoi na lisiej skórze przed otwartą do połowy szafą. Szuka grubej szarej spódnicy. Cienkie spódnice letnie wiszą na wierzchu, spódnice zimowe pod spodem, na wieszaku. Kiedy ciepło i zimno się zamieniają, ubrania zmieniają miejsce w szafie. Wtedy Adina widzi,

jak
długo już nie ma Ilije. Jego ubrania nie zmieniają
wieszaków, szuflady ani półki. Tylko leżą, jakby on nie
żył. Tam
wisi na ścianie jego zdjęcie, stoi na nim z butami w
trawie. Ale trawa nie należy do niego, i buty nie należą
do

niego. Spodnie, kurtka, czapka też nie.
Pewnego letniego dnia dwa lata temu jakiś głos na
dole głośno zawołał imię Adiny. Adina podeszła do
okna.

Ilije stał pod ścianą z petuniami przy drugim bloku.
Zadarł głowę i krzyknął do góry: dla kogo one kwitną.
A Adina odkrzyknęła na dół: dla siebie.

Adina wsuwa się w szarą spódnicę. Jej stopa ślizga
się na lisim futrze. Ogon lisa oddziela się od reszty
skóry. W miejscu, gdzie na grzbiecie jest zwężający się
jasny pas futra, oderwał się pod jej stopą. Adina kładzie
skórę włosiem do dołu, przygląda się lewej stronie, jest
biała i pomarszczona jak stare ciasto. Futro od góry
i skóra na dole są cieplejsze niż podłoga, i cieplejsze
niż jej dłonie.

Zbutwiały, przegniły, myśli Adina. Przysuwa lisi ogon
do skóry, aż wygląda, jakby znowu do niej przyrósł, Ilije
patrzy z ram obrazka w ubraniach, które nie należą
do niego, z oczu, które do niego nie należą, na jej ręce.
W ustach trzyma źdźbło trawy.

Zbutwieć, przegnić, to wilgoć, myśli Adina, skóra schnie
tak jak źdźbło trawy usycha. Na tym zdjęciu źdźbło
trawy to jedyna rzecz, która należy do Ilije.

Źdźbło trawy postarza jego twarz. Adina idzie do kuchni.
Przed oknem kuchni kobieta też podlewa białe petunie.

Otwierają się rano, gdy przychodzi światło, i zamykają wieczorem, kiedy robi się szaro. Codziennie rozwijają i zwijają swoje lejki, kręcą się aż do października. Mają w sobie mechanizm zegarowy jak ciemno i jasno.

Na kuchennym stole leży nóż, łupiny z pigwy i połówka owocu. Cięcie wyschło na powietrzu jak lisia skóra z lewej strony, ale jest brązowe jak lisie futro. Przy wężu łupiny z pigwy pożywia się karaluch.

Powinno się trzymać pigwę i nóż, obrać węża łupiny, myśli Adina, zjeść obraną pigwę, która gniecie w dziąsła. Powinno się gryźć, przeżuwać, połykać i zamknąć oczy, póki pigwa z dłoni nie znajdzie się w żołądku.

Adina kładzie ręce na stole kuchennym i układa twarz na dłoniach. Wstrzymuje oddech.

Powinno się pamiętać o tym, żeby nigdy nie zostawiać połówki pigwy, bo wysycha jak skóra, usycha jak źdźbło trawy. Kiedy zjadło się całą pigwę, kiedy z ręki znalazła się w żołądku, mówi Adina w swoje dłonie na stole, powinno się otworzyć oczy i być inną osobą.

Być osobą, która nigdy nie jada pigwy.

Twarz bez twarzy

Magnetofon jest włączony. Z głośnika na biurku niski głos mówi, a więc KASZOLI, jak to się czyta.

KARACZOL-

NY, mówi jakiś cichy głos. A więc węgierski, mówi niski

głos, czy to coś znaczy po węgiersku. Boże Narodzenie, mówi cichy głos. Niski głos się śmieje.

Pavel kartkuje akta, podnosi zdjęcie ukośnie do światła i śmieje się. Śmieje się głośniejsz i dłużej niż tamten niski głos.

Imię, mówi niski głos. ALBERT, mówi cichy głos. A

ABI,

pyta niski głos. Cichy głos mówi, przyjaciele tak mnie nazywają. I twój ojciec, mówi niski głos. On też nazywał mnie ABI, już nie żyje, mówi cichy głos. Niski głos staje się podobny do cichego i mówi, ach tak. Kiedy umarł. A cichy głos staje podobny do niskiego i mówi, pan to bardzo dobrze wie. Niski głos pyta, jak to. A cichy głos mówi, bo pan pyta. Odwrotnie, mówi niski głos, o to, co wiemy, nie pytamy. Trzask zapalniczki w głośniku.

Wtedy byłem jeszcze w przedszkolu, mówi niski głos, jak

pan. Pański ojciec też miał na imię ALBERT, jak pan.

Czy

pan jeszcze pamięta swojego ojca. Nie, mówi cichy głos. Powiedział pan, że ojciec nazywał pana ABI, mówi niski głos, a potem powiedział pan, że go nie pamięta. To jest przecież sprzeczność. To nie jest sprzeczność, mówi cichy głos, moja matka nazywa mnie ABI. Czego pan ode

mnie chce.

A na samym początku powiedział pan, że przyjaciele nazywają pana ABI, mówi niski głos. To też jest sprzeczność. Widzi pan, KASZOLI, pańskiego nazwiska nie mogę wymówić. Niski głos staje się podobny do cichego głosu. Widzi pan, ALBERCIE, mówi, sprzeczności

się łączą. A może mogę cię, tak jak przyjaciele, nazywać ABI, mówi niski głos. Nie, mówi cichy głos. Jasno powiedziane, mówi niski głos. Czego pan ode mnie chce, pyta

cichy głos.

Pavel podstawia zdjęcie pod światło lampy. Jest stare,

już nie błyszczy, tylko kilka smug światła rozlewa się na niebie, gdzie wszystko jest puste. Bo gdzie niebo się kończy, tam jest ściana, a o tę ścianę opiera się mężczyzna

o zapadniętych policzkach i wielkich uszach. Na odwrotnej stronie zdjęcia Pavel zapisuje datę.

Niski głos kaszle. W głośniku skrzypi papier. Jak tutaj, mówi niski głos i staje się jak cichy głos: oszalałem zakochałem się w dziewczynie, co mnie kocha ukochana jest

niemądra, bo mnie jednak jeszcze naprawdę nie kocha. To też jest sprzeczność, sprzeczności się łączą. Ale to jest piosenka, mówi głośno cichy głos.

Pavel spogląda na zegarek, odkłada zdjęcie twarzą do dołu do teczki. Wyłącza głośnik i zasuwa szufladę.

Podnosi słuchawkę, przed oknem stoi topola. Pavel wygląda

przez okno, jego oczy są małe, jego spojrzenie wilgotne jak topola. Jego spojrzenie pada między gałęzie topoli, nie widząc ich. Wybiera numer, a tarcza telefonu obraca się dwa razy, tak nie można, mówi, jest godzina czwarta.

Milczy i spogląda w topolę, wiatr powiewa, liście są mokre, jego zapalniczka trzaska. Papieros się żarzy.

Wydmuchuje dym przed siebie i zatrząskuje drzwiami.

Pisz, mówi głos. Oczy w czole są jasnobrażowe.

Obracają się i stają się ciemne. A teczka, na której leży kartka,

którą odczytują oczy, jest gruba na palec. A za oknem powiewa topola. Usta poruszają się między telefonem i lampą na biurku. A oczy Abiego wiszą na szybie, za oknem pada deszcz, nie widać, jak deszcz spada na topolę,

jakby topola była niczym. Tylko kiedy deszcz skapuje z liści, widać spadające kuleczki wody. Abi przyciska palce do długopisu. A w górze pod sufitem pali się goła żarówka, tak jasno, że nitki światła drgają. Abi spogląda na

pusty stół. Długopis nie należy do niego, i pusta kartka do niego nie należy. Głos krzyczy i potyka się, jak drgające nitki światła. Pod głosem w zagłębieniu podbródka

jest małe skaleczenie. Sprzed kilku dni.

Drzwi otwierają się powoli. Oczy obok lampy są półotwarte. Nie podnoszą spojrzenia, wiedzą, kto wchodzi.

Abi zza krawędzi stołu spogląda znad pustej kartki papieru i nie wypuszcza z dłoni długopisu. Mężczyzna w krawacie w czerwono-niebieskie kropki podchodzi do stołu, wyciąga rękę i widzi pustą kartkę. A Abi widzi jego

znamię między kołnierzykiem koszuli a uchem, wyciąga rękę z długopisem między palcami. Mężczyzna mówi: PAVEL MURGU i ściska dłoń Abiego i długopis.

Twarz bez twarzy, a więc stracił swoją twarz, mówi skaleczenie, podnosi rękę do czoła. Czoło z piasku, a więc

głowa bez rozumu. Głos bez głosu, a więc nikt nie słucha.

Znamię siedzi obok skaleczenia i wygląda na zewnątrz przez szybę.

Mężczyzna ze znamieniem patrzy chyba na topolę, on może sobie na to pozwolić, może w myślach się oddalić, myśli Abi. Bo jasnobrazowe oczy są szeroko otwarte

i twarde. Błyszczą i przyglądają się Abiemu.
Jasnobrązowe oczy są na jego policzkach, które do niego
nie należą,
w czubkach palców Abiego, w jego twarzy, w krótkich
oddechach, które usta Abiego wylapują z jasnego światła.
Sprzeczność jest wtedy, kiedy ktoś umiera i nie ma
grobu, myśli Abi, i myśli, że powinien to powiedzieć.
I jego krtań pulsuje, a usta się nie poruszają. I
sprzecznością jest, kiedy jako syn zmarłego jedzie się do
miasta,
w którym jest więzienie, i kiedy u wszystkich, którzy tu
mieszkają, szuka się czegoś zatwardziałego albo
złamanego - i znajduje tylko zwyczajność. Zwyczajne
oczy,
zwyczajne kroki, zwyczajne ręce, zwyczajne torby. Na
wystawach stoją zwyczajne zdjęcia weselne, welon
panny młodej w parku leży na trawie jak piana na
wodzie.
A obok biała koszula w czarnym garniturze jest jak śnieg
na łupkowych kamieniach. I zwyczajne zdjęcia
absolwentów i pielęgniarek. I sprzecznością jest, że
zwyczaj-
ni mężczyźni i kobiety spotykają się na ulicach miasta
i straszą syna zmarłego, bo zamiast pytać JAK CI IDZIE
pytają JAK SOBIE RADZISZ Z ŻYCIEM.
Twarz bez twarzy, o kogo tu chodzi, pyta mężczyzna
ze znamieniem.
I sprzecznością jest, myśli Abi, kiedy więźniowie między
głodem a biciem w rytm cierpienia muszą przerabiać
swoją winę na meble dla fabryki mebli. A sami nie
mają łóżek, tylko kościste drewno i kościste palce. I
kiedy młode pary, świadomie czy też nie, po ślubie

kupują sobie krzesła i kredensy wykonane przez tamte ręce.

I zawrotna wysokość nieba, które stoi nad więzieniem, jest w tym mieście sprzecznością. Że już wtedy tam stała i patrzyła i widziała, że to miasto leży na osi, na przecince prostego jak sznurek, zimnego promienia słońca,

gdzie wrony powoli i cicho nurkują w dachach.

O nikogo tu nie chodzi, mówi Abi, to przecież piosenka.

A skaleczenie pyta, dlaczego to śpiewacie, jeśli nie chodzi o nikogo. Bo to jest piosenka, mówi Abi.

Chodzi o prezydenta państwa, mówi znamię. Nie, mówi Abi.

Ściany są pełne gniazdek. Mają pysk. Na podstawie lampy są żółte cyfry, numer inwentaryzacyjny.

A więc nie jesteś poinformowany, mówi znamię, twój przyjaciel Paul przyznał się, a on przecież powinien wiedzieć. Przecież to on napisał tę piosenkę, mówi skaleczenie.

Na boku biurka jest żółty numer inwentaryzacyjny, i na drzwiach szafy. Paul nie mógł się przyznać, mówi Abi, bo to nieprawda. Znamię śmieje się i dzwoni telefon.

Skaleczenie przyciska słuchawkę do policzka mówi: nie, tak, co, jak to. Dobrze. Usta szepczą do ucha znamienia, na którego twarzy widać tylko jasne światło i żadnego poruszenia.

Skaleczenie mówi, jak widzisz, twój przyjaciel Paul jednak nie mówi ci wszystkiego.

Za oknem jest ciemno, topola zniknęła. Odbija się żarówka, sufit, szafa i ściana, gniazdka i drzwi. Pokój, jak

pół okna, przygarbiony i skurczony do wielkości szkła.
I nikogo nie ma w środku.

No to napisz, o kogo tu chodzi, mówi znamię. A
skaleczenie mówi, jeśli będziemy zadowoleni, możesz
iść.

A jeśli nie, zostaniesz tutaj i się zastanowisz, mówi
znamię. Skaleczenie trzyma teczkę pod pachą. Znamię
stoi przy drzwiach i wydmuchuje dym przez nos. Kiedy
człowiek jest sam, lepiej mu się myśli, mówi skaleczenie.
Zwilża śliną koniuszki palców i odlicza pięć białych
kartek. Jasnobrażowe oczy są okrągłe i wesole, papieru
mamy dość, mówią.

Podobają mi się, w tej waszej piosence, w której nie
chodzi o nikogo, te słowa: noc szyje wielki wór z
ciemności, mówi znamię.

Drzwi zamykają się od zewnątrz. Klucze zgrzytają
w drzwiach. Podłoga rozciąga się w świetle. Dym
papierosowy snuje się do ciemnego okna. Poza tym nic
się nie

porusza: puste biurko leży, krzesło leży, szafa leży, puste
kartki leżą. Okno stoi.

To jest sprzeczność, myśli Abi, że to okno z drugiej
strony na mokrej ulicy jest tylko oknem. Że każdy dzień
i każda noc i cały świat dzielą się na takich, co
podsluchują i dręczą, i takich, co milczą i milczą. I
sprzecznością jest, kiedy dziecko latem, koło
przerdzewiałej wanny, w której rośnie geranium, obok
uła, na podwórku

pyta matkę o ojca. Kiedy matka podnosi do góry ramię
dziecka, potem bierze jego dłoń w swoją i zgina palce
małej dłoni, a palec wskazujący prostuje i kieruje do
góry. Kiedy cofa swoją rękę i mówi: widzisz, tam w

górze. I kiedy dziecko tylko na krótko podnosi głowę i widzi tylko niebo, a matka patrzy na geranium w wannie. Kiedy dziecko wkłada wyprostowany palec wskazujący do wąskich szpar ula, aż matka mówi, zostaw, obudzisz królową. Kiedy dziecko pyta, dlaczego królowa śpi, aż matka mówi, bo jest zmęczona. To jest sprzeczność, kiedy dziecko cofa palec, bo nie chce obudzić królowej i pyta, jak on się nazywa. I kiedy matka mówi: on nazywał się ALBERT.

Abi pisze na pustej kartce:

KARACZOLNY ALBERT

Matka MAGDA z domu FURAK

Ojciec KARACZOLNY ALBERT

Dłoń nie czuje siebie. W ciemnej przepołowionej szybie stoi pokój 2. Żarówka świeci. Nikogo tam nie ma. Tylko trzy nazwiska na kartce papieru.

Pavel otwiera drzwi. Zza stołu patrzą oczy kobiety.

Trzyma w ręce długopis. Na stole leży kartka papieru. Na niej napisane są krzywo trzy krótkie nazwiska. Zobaczymy, mówi Pavel, bierze kartkę i czyta.

Jego dłonie wzlatają, krzesło stuka. Kobieta upada głową na szafę. Oczy kobiety pozostają nieruchome i wielkie. Dolne rzęsy są rzadkie i wilgotne. Górne gęste i suche i podwinięte do góry jak trawa. Drzwi się zatrząskują.

W gałkach ocznych kobiety szafa jest wypukła. Jest tak cicho, że przedmioty kładą się w świetle. Kobieta leży

na podłodze przed szafą. Jej but leży pod krzesłem.

Pokój 9 stoi oświetlony w ciemnej połowce szyby.

Nikogo w nim nie ma.

Pavel otwiera ogrodową bramę. Pnie brzoź mającą

w czarnej trawie. Klucze chrzęszczą przed drzwiami mieszkania. Żona Pavla otwiera je od wewnątrz, zanim on zdąży przekręcić klucz.

Kobieta pachnie kuchennymi oparami, on całuje jej policzek. Ona niesie jego torbę do kuchni. Czoło jego córki sięga mu do paska, do czubka krawata. Pavel podnosi

ją do góry, tato, twoje włosy są mokre, mówi córka i zjeżdża po nim w dół.

Pavel otwiera torbę, sprzączki są zimne i pokryte parą. Na szafce kuchennej koło telewizora stawia paczkę kawy Jacobs, pudełko margaryny śniadaniowej, słoik nutelli. Chór robotników śpiewa, Pavel wyłącza głos. Liczy i mówi dwanaście, i kładzie dwanaście paczek papierosów na lodówce obok białego psa z porcelany. Dyrektor chłodni jest w podróży służbowej, jutro wraca, pośle

wtedy portiera po cielęcinę, mówi. Czekoladę Alpenmilch kładzie do misy z owocami najabłka. Jedno jabłko

stacza się z misy, Pavel chwytą je ręką. Córka wyciąga rękę po czekoladę. Ojciec pyta, jak było w szkole. Matka miesza w garnku i mówi, żadnej czekolady, zaraz będzie obiad. I patrzy na ojca i podnosi łyżkę do ust i mówi do rozerwanego oka tłuszczu, od czekolady się w szkole nie poprawi.

Ojciec patrzy na ekran telewizora. Przed chórem robotników stoją kobieta i mężczyzna. Odchylają głowy na

boki i drobią na czubkach palców, pochylają głowy do siebie i drobią na czubkach palców.

Od miesiąca już ci powtarzam, mówi matka, musisz

pójść do szkoły, musisz porozmawiać z nauczycielką. Wszyscy przynoszą jej kawę, mówi córka, tylko my nie. I to widać po ocenach, mówi matka.

Siorbnięciem ust spija oko tłuszczu. Na ekranie mężczyzna drobi na lewą, a kobieta na prawą stronę i schodzą ze sceny. Ojciec wiesza marynarkę na oparciu krzesła.

Kropla zupy pada na stół. To nie było cielę, mówi matka, siedem lat temu było cielęciem. Mięso gotuje się już kilka godzin i nie robi się miękkie. To była stara krowa. Córka śmieje się, uderza łyżką o talerz. Skrawek pietruszki przykleił się jej do brody. Matka wyjmuje z zupy listek laurowy i odkłada na brzeg talerza. Moje buty nie będą gotowe do świąt, mówi. To znaczy gotowe będą, ale nie dla mnie. Dzisiaj inspektor szkolny z żoną był w fabryce. Wzięła dwie pary. Jedna para to były szare, choć najpierw chciała brązowe. Potem czarne nie pasowały, potem chciała białe ze sprzączkami. Te czarne to były moje, z lakierowanej skóry. Ale potem jednak jej pasowały.

Córka z kawałka mięsa zrobiła sobie wąsy. Ojciec zlizuje listek pietruszki z czubka palca. A inspektor, pyta matkę. Ta patrzy na wąsy córki, on opowiadał wszystkim, że ma dwa odciski, mówi, jeden na środkowym, a drugi na małym palcu u nogi.

Na ekranie prezydent państwa przechodzi przez halę fabryczną. Dwie robotnice wręczają mu bukiety goździków. Robotnicy klaszczą, ich wargi otwierają się i zamykają równocześnie z dłońmi. Pavel słyszy swój głos, który mówi, czarne samochody są w każdej fabryce. I słyszy

Clare mówiącą, ale ty nie jesteś w żadnej fabryce.

Wyciąga rękę i wyłącza telewizor.

Trzy godziny, mówi matka, dyrektor fabryki klęczał koło krzesła żony inspektora. Jego oczy były nabrzmiałe, a usta przekrzywione i rozmiękle. Jego ręce były dwiema łyżkami do butów, przez trzy godziny dopasowywały do butów pięty inspektorowej. Nie mógł już wyprostować palców. A między przymiarkami całował ją po rękach. Powinieneś zobaczyć jej łydki. Ojciec wyjmując sobie włókno mięsa z zęba. Córka siedzi przed lodówką i szpera w torbie ojca. Z buteleczki perfum wylewa na dłoń

trzy duże krople. łydki, mówi matka, jak tuczna świnia, lakierki jej tu nie pomogą. Powinna nosić gumki.

Wącha dłoń córki, Chanel, mówi, bierze do ręki białego porcelanowego psa z lodówki. Robotnicy odgrywali potem

dyrektora i madame, mówi matka, podwijali sobie spodnie do kolan i chodzili tam i z powrotem w szpilkach i pokazywali, jak madame przymierza buty.

Mięso klei się do widelca, oczy ojca są zmęczone.

Twarz córki jest umazana czekoladą, obwódka wokół ust jak ziemia. Córka płacze. Ojciec opiera głowę na rękach, jego czoło jest ciężkie. Ręcznikami wypchali sobie nogawki i zrobili łydki, weszli na stół, firanki powiesili na

włosach, słyszy głos matki. I nie słyszy. Słyszy szeleszczące pole kukurydzy w samym środku czoła. I słyszy głos

Clary, który mówi, a jeśli ja domyślam się najgorszego.

Dyrektor nagle otworzył drzwi, mówi matka, powiedział, że wszyscy zostaną ukarani dyscyplinarnie. Nawet

kobiety, które się przyglądały i śmiały. Ja też. Pavel słyszy w samym środku czoła śmiech Clary. Bierze do ręki dłoń swojej żony. Ona przyciska usta do jego ucha. Pocałunek zalewa jego szyję, jego policzki, jego czoło. Słyszy swój głos mówiący do Clary, nie pracuję w sądzie. Ucho jego żony jest przy jego ustach jak młody zwiniony liść. Te perfumy chciałem ci dać dziś wieczorem, mówi Pavel do ucha. I nie słyszy siebie. Słyszy, jak mówi do Clary, wiem, co wiem.

Brzytwa

Stadion jest zamknięty w ziemnym nasypie. Trawa jest tak pogryziona przez jesień, że widać przez nią ziemię. Kamienie też. Naprzeciwko stoją bloki mieszkalne. Stłoczyły się ciasno, za pustym parkingiem, nie wyższe niż zarośla, z których wyrasta nasyp. Bzy, jaśminy i hibiskus, krzaki, które nigdy nie są przycinane, bo nie wyrastają ponad nasyp. Już wiosną zaczynają przekwitać i w szybkim początku lata. Teraz stoją nagie przy nasypie, po- trząsają witkami i nie mogą niczego ukryć na wietrze, który gwałtownymi uderzeniami chwyta za pnie. Długodystansowiec tam w górze to tylko obraz namalowany na kamieniu. Ale w zimnych miesiącach nie zna mety. Kiedy na krzakach nie ma ani jednego liścia, długodystansowiec jest zwycięzcą. Krzyczące twarze i grube ubrania stoją przed sklepem w kolejce po chleb. On

spogląda z góry, nie jest głodny. Słońce stoi odwrócone nad stadionem. Nie ma ciepła, tylko mlecznobiały kołnierz. Długodystansowiec nie marznie. Biegnie z nagimi

łydkami nad małymi ludźmi w mieście.

Na parkingu zatrzymuje się samochód. Wysiada dwóch mężczyzn. Jeden jest młody, drugi starszy. Mają na sobie wiatrówki, spoglądają krótko w ślepe słońce. Szybko przechodzą przez plac, ich nogawki trzepoczą, ich buty błyszczą. Wypluwają czarne łupiny na drogę, jedzą ziarna słonecznika. Odnajdują wydeptaną drogę, idą jeden za drugim, starszy przed młodszym, między pojemnikami na śmiecie i stosami pustych skrzynek w stronę bloków.

Starszy siedzi na ławce, patrzy do góry na okna i je słonecznik. Za jego głową, w górze, jest ściana z petuniami. Tam w górze, powiedział młodszy, przed jego głową

na tej samej wysokości, jest to mieszkanie. Pokój z kuchnią. Pokój jest z przodu, tam leży lis, powiedział młody,

a z boku jest kuchnia.

Na ławce jest wiatr. Mężczyzna rozciera sobie nogi, stawia kołnierz kurtki aż po uszy.

Młodszy otwiera drzwi. Jego klucz nie chrzęści. Zamyka od środka. Nie potyka się o buty, wie, gdzie stoją.

Sandały z czarnymi śladami stóp tuż przy drzwiach do pokoju. Łóżko jest nieposłane, na poduszce leży koszula nocna. Podchodzi do okna. Kobieta o kasztanoworudych włosach w fale stoi za petuniami. Mężczyzna daje jej znak ręką. Podchodzi do szafy, klęka na podłodze. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjmuje brzytwę.

Rozwijają,
kładzie papier przy swoim kolanie. Odcina lisowi prawą tylną łapę. Zwilża czubkiem języka palec wskazujący i zbiera z podłogi obciętą sierść. Pociera o siebie kciuk i palec wskazujący i robi z sierści twardą kulkę, wpuszcza kulkę do kieszeni kurtki. Zawija brzytwę w papier i wkłada ją do wewnętrznej kieszeni. Układa odciętą łapę przy lisim tułowiu.

Wstaje, patrzy z góry, czy widać ślad cięcia. Wchodzi do łazienki. Podnosi klapę ubikacji. Spluwa do muszli klozetowej. Sika, nie spuszcza wody, opuszcza klapę. Idzie do drzwi mieszkania i otwiera je. Wystawia krótko głowę na korytarz, wychodzi. Zamyka drzwi mieszkania na klucz.

Petunie są bielsze niż mleczny kołnierz słońca.
Wkrótce zamarzną. Ławka przed petuniową ścianą bloku jest pusta. Przed ławką leżą łupiny słonecznika. Dwóch mężczyzn idzie po wydeptanej drodze między pojemnikami na śmiecie i stosami pustych skrzynek, idą jeden za drugim, młody przed starszym. Przecinają parking. Zarośla wspinają się na nasyp, coraz wyżej w bezlistną porę roku.

lisy wpadają w sidła

Portier przechadza się tam i z powrotem przed bramą, płaszcz wisi mu na ramionach. Słońce pada zimne na jego twarz. Portier czeka na torby, gryzie ziarna słonecznika. Jego płaszcz wlecze się po ziemi. Mara wychodzi z hali, przynosi Davidowi trzy noże. Są świeżo naostrzone. David przecina jednym kawałek słoniny, nie wyciera zatłuszczonego ostrza, żeby portier

nie widział, że jest świeżo naostrzony, mówi i wkłada nóż do torby. Pozostałe dwa chowa do szuflady, jeden wezmę jutro, a drugi pojutrze, mówi.

Eva płucze szklanki, jej palce skrzypią na mokrym szkłe. Karzeł nie musi dzisiaj zamiatać hali, mówi Mara, będzie jednym z pierwszych w łaźni, musimy się pośpieszyć. Anca nie zapina płaszcza, wiesz tylko torebkę na ramieniu.

David zapina płaszcz i bierze torbę.

David idzie ze swoim zatłuszczonym nożem do bramy. Mara, Eva i Clara przechodzą między zwojami drutu na tylny dziedziniec, stado wróbli zrywa się z drutu. Okienko na strychu jest przymknięte pod krawędzią dachu.

Clara czuje w gardle supeł, jej język podchodzi pod oczy. Czuje mdłości, jej spojrzenie rozmywa się. Kiedy podnosi głowę, okno strychu wisi jedno obok drugiego w powietrzu. Mara i Eva są pomiędzy zwojami drutu daleko z przodu w drucie, może już na szczeblach żelaznej drabinki.

Jeszcze kilka dni, tak długo, jak słońce chłodne pada przez chwilę na schody, w każde popołudnie oczy trzech kobiet stoją o godzinie czwartej w oknie na strychu.

Potem przychodzą miesiące, kiedy słońce nie dotyka schodów. Obraca się matowe i blade w o wiele za ciasnym

kręgu na ścianie nad schodami. Wtedy para na korytarzu łaźni jest gęsta i ślepa, żadne oko się przez nią nie przebije. Ciekawość jeszcze nie ustaje, jeszcze przez

kilka dni

chodzi po głowie i kobiety wchodzą jeszcze przez kilka dni po żelaznych szczelach na górę. Czekają na światło, które już nie przyjdzie. Czekają na próżno. Słońce za każdym razem, kiedy pierwsi mężczyźni wchodzą do łaźni, już zdążyło przemknąć po ścianie. Kobiety spoglądają po sobie. Odwracają się, jakby nie miały rąk.

Potem

się poddają. Mara bezszelestnie zamyka okno na strychu i zasuwuje małą zardzewiałą zasuwkę. Przez kilka miesięcy okno pozostanie zamknięte.

Są to miesiące, w których kobiety codziennie o tej samej godzinie wybuchają śmiechem. Mdłym zimowym śmiechem z pamięci, bo para aż do wiosny pozostaje ślepa.

Clara schyla się, opiera głowę o drut i rozstawia szeroko buty na rdzawej drodze. Wymiotuje słoniną i chlebem.

Jej ręce są zimne, wyciera sobie usta chusteczką, widzi rozmywające się głowy Evy i Mary w oknie strychu, ich twarze nie widzi. Pręgowany kot podwójnie siedzi między butami Clary. Zjada wymiociny, wylizuje też

drut. Jego paski spływają z futra.

Adina opiera się o nagą akację, zwoje drutu są wyższe niż ogrodzenie fabryki, z komina portierni unosi się dym. Nie rozrywa się nad rozbitą ulicą. Wznosi się swoją szarą chmurką w górę i opada z powrotem na dach. Para z fabryki piwa pachnie na wietrze zimnym potem, wieża chłodnicza jest odcięta przez chmury.

Córka służącej przed dwoma tygodniami dostała od żony oficera płaszcz z futrzanym kołnierzem. To jest futro z lisa. Wiszą przy nim dwie łapy, można je

zawiązać

pod brodą. Łapy mają poduszcзки i brązowe, błyszczące pazury. Para z fabryki piwa pachnie tak jak ten kołnierz z lisa. Adina musiała kichnąć od tego zapachu. A córka służącej powiedziała, że to jest naftalina. Kiedy futra nie pachną naftaliną, powiedziała, wtedy w lecie pojawiają się na nich szkodniki. Objadają włosie. Włosy nie odpadają w szafie. Siedzą jak przyrośnięte i czekają, aż się weźmie futro do ręki. Wtedy odpadają dużymi płatami jakby łysiały. W ręce zostaje tylko naga skóra, koścista skóra. Skóra jest pokryta maleńkimi piaskowymi ziarenkami, grysikiem. Córka służącej zaśmiała się, jej ręka bawiła się lisimi łapami przy kołnierzu.

Clara idzie do bramy. Portierka trzyma pręgowanego kota na kolanach, głaszcze jego pasiaste futro. Na stole leży nóż Davida, portier zauważył, że został świeżo naostrzony w fabryce. Płaszcz portiera zjeżdża z ramion, jego ręka szybko odkłada pozlepianą chusteczkę z powrotem do torby Clary. Ciężarówka wyjeżdża z łoskotem

przez bramę, koła chrzęszczą, na dole i na górze spiętrzony drut. Twarz kierowcy chwieje się w lusterku wstecznym. Po drugiej stronie wisi biała zasłona pary z fabryki

piwa. Clara słyszy przez chrzęst swoje imię.

Adina biegnie przez obłok kurzu. Całuje Clarę pod oko, jej ręce są niebieskie od zimnego wiatru, jej nos jest mokry. Idziemy zaraz do mnie, mówi, muszę ci coś pokazać.

Clara schyla się i podnosi lisie futro, przez okno wpada szare światło. Ciemno lśni pusty stół. W kuchni jest chleb, mówi Adina, wszystko, co mam do jedzenia,

cukier, mąka. Clara przesuwa czubkiem palca po lisim ogonie, potem po cięciu przy łapie, oni mogą mnie każdego dnia otruć, mówi Adina, Clara odkłada łapę na podłogę. Siedzi w płaszczu na nieposłanym łóżku i patrzy na odstęp między tułowiem lisa a łapą, na szerokość jej dłoni

podłoga jest pusta. Ogon leży tuż przy skórze, jak przyrośnięty, nie widać miejsca przecięcia.

Palce Clary ostre i cienkie wyglądają z rękawów płaszcza, na ich czubkach błyszczy lakier do paznokci, czerwone plamki. Adina kładzie ręce na stole, zsuwa buty ze stóp. Gdy Clara porusza ręką, widać palce od środka. W środku są pordzewiałe.

Nie miałam jeszcze dziesięciu lat, mówi Adina, kiedy poszłam z matką do sąsiedniej wioski, żeby kupić tego lisa. Przeszliśmy przez most bez rzeki, przez który rano robotnicy szli do rzeźni. Niebo tamtego ranka nie było czerwone, było ciężkie i rozgrzebane.

Mężczyźni na moście nie mieli czerwonych grzebieni. To było krótko przed Bożym Narodzeniem, wszędzie leżał szron, nie było śniegu. Tylko rozsypana mąka wirowała na wietrze, w muldach na polu. Nie mogłam się doczekać, nie spałam całą noc. Od tak dawna chciałam mieć

lisa, aż radość, że już następnego dnia go dostanę, była na pół strachem. Ranek był tak lodowaty, że na polach nie pasła się ani jedna owca. I pomyślałam idąc, gdzie nie ma owiec na polu, tam nie będzie też wsi. Chociaż pole było całkiem płaskie, z paroma skulonymi krzakami, myślałam, że pomyliłyśmy kierunek. Bo niebo szło na nas ze wszystkich stron. Niebo opadało aż na chustkę

mojej matki i bałam się, że zabłądziłyśmy. Szłam i szłam, i nie byłam zmęczona. Może śpiąca, bo czułam zmęczone łaskotanie w czole, ale to zmęczenie mnie poganiało. Kiedy doszłyśmy do wsi, na ulicach nie było nikogo. We wszystkich oknach stały choinki. Ich gałązki były tak mocno przyciśnięte do szyb, że było widać pojedyncze igiełki, jakby były dla przechodzących za oknem, a nie dla ludzi w domu. A że nikt nie przechodził, były dla mojej matki i dla mnie. Matka tego nie zauważała. Ja sama niosłam choinki od jednego okna do drugiego.

Potem zatrzymałyśmy się. Matka zapukała do okna. Pamiętam jeszcze, że w tym oknie nie stała choinka. Weszłyśmy na podwórko. W długim otwartym ganku spod lisich skór nie było widać ścian.

Potem byłyśmy w pokoju. Był tam żeliwny piec i łóżko, żadnego krzesła. Myśliwy wszedł do pokoju i przyniósł tego lisa. Powiedział, że to największy. Powiesił lisa na swoich zwiniętych dłoniach, łapy zwisały w dół, myśliwy poruszał ramionami. Łapy lisa kołysały się, jakby biegły. A za łapami ogon, jak jakieś inne małe zwierzątko.

Zapytałam, czy mogę zobaczyć strzelbę. Myśliwy odłożył

lisa na stół i wygładził mu futerko. Powiedział, do lisów się nie strzela. Lisy wpadają w sidła. Jego włosy i broda i włoski na rękach były rude jak lis. Jego policzki też. Lis już wtedy był myśliwym.

Clara zdejmuje płaszcz i wychodzi z pokoju. Coś dławi ją w gardle, wymiotuje w łazience. Adina patrzy na

płaszcz na łóżku, leży, jakby w środku było ramię, jakby ręka sięgała pod kołdrę. W łazience szumi woda.

Clara wraca do pokoju w rozpiętej bluzce, siada szybko na płaszczu, mdli mnie, mówi, rzygałam. Jej torebka leży na poduszce. Jej usta są półotwarte, język suchy i biały, jak kawałek chleba w ustach.

Boisz się, mówi Adina, wyglądasz jak śmierć. I Clara czuje strach, jej spojrzenie jest proste i śmiałe. Clara widzi twarz, która odeszła. Jest zniekształcona, policzki są

pozostawione same sobie i wargi same sobie, pozbawione życia i łakome zarazem. Twarz z boku i z przodu tak

samo pusta, jak zdjęcie, na którym nic nie ma.

Clara szuka w pustej twarzy dziecka, które idzie obok kobiety, ale jednak jest samotne, bo odjednego domu do drugiego niesie w głowie choinki. Takie dziecko, jak to w jej brzuchu, myśli, takie samotne jak dziecko, o którym nikt nie wie.

Adina chce być myśliwym, myśli Clara.

Boisz się bardziej niż ja, mówi Adina. Nie patrz tam, nie patrz już więcej na lisa.

Oczy Clary są wywrócone, czerwone żyłki w cieniu nasady nosa. Patrzy nieobecny wzrokiem na zdjęcie na ścianie, na toporne buty w trawie, na żołnierski mundur, na źdźbło trawy w ustach Ilije. Nie możesz nic powiedzieć Ilije, mówi Clara, on tego nie wytrzyma.

Nic nie mówisz

Na klatce schodowej nie ma okna, na klatce schodowej nie ma dziennego światła. Na klatce schodowej nie ma prądu. Winda wisi między piętrami na górze. Płomień zapalniczki migocze i nie świeci. Klucz znajduje dziurkę

w zamku. Drzwi nie skrzypią, klamka nie trzaska. Drzwi do pokoju są otwarte, maszyna do szycia terkocze, do przedpokoju pada jasny kwadrat z otwartych drzwi pokoju.

Pavel zdejmuje buty, idzie na palcach, w samych skarpetach, do kuchni. Przed oknem kuchennym nogawki trzepoczą na wietrze. On nie widzi sznura z bielizną.

Zamki jego torby są zimne. Stawia na szafce kuchennej paczkę kawy Jacobs, pudełko margaryny śniadaniowej.

Odlicza i kładzie obok kawy dwanaście paczek papierosów. Otwiera lodówkę i wkłada do środka mięso. Koło lodówki stoi parasol. Pavel bierze go.

Podchodzi na palcach do drzwi pokoju. Małe kółko maszyny do szycia obraca się, pasek się przesuwają, nie snuje się ze szpulki, stopy Clary naciskają rytmicznie. Pavel otwiera parasol w drzwiach. Na dworze jest wielka burza, mówi, czy mógłbym u pani przenocować. Oczy Clary się śmieją, jej usta pozostają poważne. Tak, mój panie, mówi, niech pan wejdzie, proszę zdjąć mokre ubrania.

Potem parasol opada na podłogę, a kółko maszyny do szycia zatrzymuje się w samym środku ściegu.

Dłoń Clary jest w jego slipach. Jej włosy opadają na jego twarz. Pan całkiem zeszywniał z zimna, mój panie, mówią jej usta, jej uda są gorące, jej brzuch jest głęboki, a jego członek uderza.

Lodówka zaczyna buczeć, znowu jest prąd. Clara wacha papier, zapala światło, otwiera paczkę kawy. Jej palce trzaskają, przykłada mu ziarenko kawy do znamienia, przychodzisz prosto z pracy, pyta, młynek do kawy obcina jej głos. Płomień oblizuje garnek, na wodzie pojawiają się pęcherzyki. Wsypuje trzy łyżki kawy do

wody, nie
mocząc łyżki. Dzwoni uchwytem łyżki o kuchenkę, czy
mógłbyś coś zrobić Adinie, pyta. Kawa podnosi się,
Clara
zbiera pianę łyżką, co masz na myśli, pyta on, ona
przelewa pianę do dwóch pustych filiżanek, co masz na
myśli,
pyta on, piana stoi na łyżce jasna jak piasek. Czy
mógłbyś
otruć Adinę, pyta Clara i zdejmuje garnek z ognia.
Czarna nitka kawy spływa w pianę. Nie, mówi on, piana
podnosi się aż do uszka filiżanki, bo jest moja
przyjaciółką, mówi Clara. On zanosz filizanki na stół,
nogawki
spodni przed oknem trzepoczą na wietrze, także dlatego,
mówi i bierze do ręki kostkę cukru. Czego ona chce, czy
ona nie wie, gdzie żyje, mówi, ona niczego nie chce, ona
mówi w gniewie. Kostka cukru tonie w kawie i rozrywa
pianę na filiżance.
Z moim ojcem nie można było się kłócić, mówi Pavel,
kiedy był wściekły, milczał. Całymi dniami nie odzywał
się ani słowem. Matka szalała. Raz odciągnęła go
od stołu, przycisnęła mu twarz do lustra i rozburzyła
włosy. Spójrz na siebie, krzyczała, ale jemu nawet nie
drgnęły oczy, wydaje mi się, że się nie widział, patrzył
przez lustro na wylot. Jego twarz skamieniała. Kiedy ona
oderwała ręce od jego włosów, głowa opadła mu do tyłu.
Wtedy ojciec zobaczył, że ja stoję w lustrze. Powiedział
bardzo cicho, każdy człowiek ma kawałek żaru w ustach,
dlatego każdemu trzeba patrzeć na język. Gniewne słowo
może w jednej chwili więcej podeptać, powiedział,
niż dwie stopy przez całe życie. Łyżeczka Pavla dzwoni

o filiżankę.

Wyszukujecie sobie ofiary, mówi Clara, to, co one mówią, myślimy my wszyscy, ty też. Pavel miesza kawę, piana rozplywa się na boki, ofiarami jesteśmy wszyscy, mówi. Jego zapalniczka trzaska, podaje jej ogień, ona przysuwa popielniczkę z brzegu stołu bardzo blisko dłoni. Pytasz, czego Adina chce, mówi Clara, czego ma chcieć, chce żyć.

Clara obraca papierosa w palcach. On siorbie kawę, widzi jej oczy nad filiżanką, co zrobicie z tym, który zastrzeli Ceausescu, pyta ona, nie wydmuchuje dymu ustami, połyka swój oddech.

Pavel ma supeł w gardle i fusy kawowe na języku, to zależy, mówi. Od czego, pyta ona, on milczy.

Clara stoi przy oknie, widzi trzepoczącą nogawkę i za oknem w rozwidleniu gałęzi na drzewie zieloną piłkę, której przez całe lato nie było widać wśród falujących liści. Która od dwóch nagich zim tkwi na drzewie, bo żadne dziecko nie odważyło się wspiąć po gładkim pniu na cienkie gałęzie.

Co byłoby potem, pytają usta Clary w szybę, on głaszcząc ją po włosach, potem rozwiodę się, potem się pobierzemy, mówi, czuje jej skroń pulsującą w dłoni, on ma

raka, niedługo umrze, mówi Pavel, sięga głębiej w jej włosy i ścisną jej głowę.

On przeżyje nas wszystkich, mówi Clara, Pavel odwraca jej głowę, chce zobaczyć jej twarz, on ma raka, wiem to z pewnego źródła, mówi. Ale nawet wszystkimi palcami

dłoni nie jest w stanie oderwać jej oczu od zielonej piłki. Musisz pomóc Adinie, mówi ona, on sięga do kieszeni spodni, odkręca w kieszeni korek buteleczki perfum, skrapia wgłębienie szyi Clary, czym to pachnie, mówi i wpuszcza koreczek pod jej bluzkę na karku. Stawia otwartą buteleczkę na stole, a zapach rozchodzi się po kuchni, zapach jest przytłaczająco ciężki na szyi Clary. Jej spojrzenie odrywa się od rozwidlenia gałęzi, od tej milczącej, tkwiącej na drzewie zabawki lata, od pogniecionej zielonej piłki.

Pachnie tajną służbą, mówi Clara.

On idzie do pokoju i potyka się o parasol. Zatrzymuje się w przedpokoju i wkłada buty, twój klucz do mieszkania leży na łóżku, mówi Pavel, jego palce nie znajdują sznurowadeł.

Mój klucz możesz zatrzymać, mówi Clara, to nie będziecie potrzebowali dorabiać, jego buty cisną, są wąskie i twarde, do Adiny też macie klucz, tylko że ona wam żadnego klucza nie dawała.

Na stole stoją dwa talerze. Dwa widelce się stykają, noże nie. Na margarynie śniadaniowej leżą okruszki chleba, dwa rogi są krzywo obcięte, aż widać dno. Na jego talerzu leży skórka od chleba.

Nic nie mówisz, mówi on.

Ona otwiera lodówkę, wkłada do niej margarynę. Światło pada prostokątem na jej stopy, idę, mówi on. Jej policzki marzną. Mięso jest zapakowane w celofan, na celofanie wyrasta biały szron, jak na dworze w ogrodach. Stopy Pavla są zagubione, jego dłoń jest pewna, odnajduje klamkę. Głośno zatrzaskuje za sobą drzwi.

Otwartego parasola na podłodze Clara nie dotyka też rano. Parasol jest od Pavla. Również sukienka w maszynie do szycia jest od Pavła. Igła stoi w środku ściegu, igła

jest od Pavla. Róże w wazonie są od niego.

Zielona piłka w rozwidleniu gałęzi zagląda do kuchni, woda na kawę się gotuje. Kawa jest od Pavla, cukier w kostkach, papieros, którego Clara pali, sweter, który ma na sobie, spodnie, rajstopy. Tak samo klipsy, cienie do powiek, szminka. Tak jak perfumy z wczorajszego wieczora.

Zimny dym z papierosa smakuje kwaśno na języku, a zimny oddech smakuje kwaśno w ustach, rozplywa się w powietrzu jak dym. Także zimne fale kurzu za ciężarówkami pachną inaczej na ulicach niż letni kurz. Chmury też inaczej pachną w mieście niż chmury latem. Clara chodzi tam i z powrotem przed budynkiem tajnych służb.

Dwóch mężczyzn schodzi po schodach, jeden mężczyzna, trzech mężczyzn, idzie kobieta wkładając krótki kożuszek.

Za głową portiera przyklejony jest kalendarz, wiosna, lato, jesień, wszystkie miesiące, które już minęły, są zakreślone, prawie cały rok. Portier stoi do pasa w portierni.

Gardło Clary jest zasznurowane, zapala papierosa, czy pani ma wezwanie, pyta portier, ona nie chowa zapalniczki, podsuwa mu paczkę papierosów. On kładzie lewą

rękę na telefon, a prawą powoli wyciąga dwa papierosy, jednego wkłada sobie do ust, drugiego do lewej kieszeni

na piersiach munduru. Jeden dla ust i jeden dla serca,
mówi. Jego zapalniczka rozbłyska, on przygląda się
Clarze, do kogo, pyta, wydmuchuje dym w górę, w swoje
włosy. Ona mówi: PAVEL MURGU. On naciska jakiś
guzik,

jest w budynku, mówi, wybiera numer dłonią z
papierosem, kogo mam zameldować, pyta. Ona mówi:
CLARE.

Papieros sterczy w jego kieszeni jak palec, jak dalej,
pyta,

ona mówi, towarzyszu MURGU już wie.

Na zewnątrz łoskoczą ciężarówka, jest zimno i szaro, ale
nie pada śnieg. Drzewa otrzepują kurz na drogę,
czy pani długo zna towarzysza pułkownika, pyta portier,
ona kiwa głową, nigdy tu jeszcze pani nie widziałem,
mówi on. Nasłuchuje szyją, podbródkiem do słuchawki,
popiół opada z papierosa, tak tak, mówi. Papieros
całkiem schował się w jego kieszeni, niech pani zaczeka
naprzeciwko w kawiarni, mówi portier, towarzyszu
pułkownik przyjdzie za kwadrans.

Kelnerka nosi na środku głowy białą szydełkowaną
koronę. Jej włosy są siwe, nuci piosenkę, chodząc pośród
dymu i pustych stolików. Ciężarówka brzęczą przez
szybę, z góry widać, co wiozą, drewno i worki. Kelnerka
kołysze tacą z pięcioma kieliszkami, przy stole siedzi
pięciu

policjantów. Przy stoliku obok sześciu mężczyzn w
garniturach i kobieta w kożusku.

Na suficie jest brązowy zaciek i lampa z pięcioma
ramionami, czterema pustymi gwintami i jedną żarówką.
Jest zapalona, świeci tylko tam, gdzie unosi się
papierosowy dym. Kobieta w kożusku woła MITZI,

kelnerka odstawia pustą tacę na stół, a jeden z mężczyzn w garniturach mówi, siedem rumów Jamajka. Ciężarówka wprawia szybę w drzenie. Wiezie beczki i rury. Kto wie, skąd pochodzą, myśli Clara, na beczkach i rurach leży śnieg.

W kącie przy drzwiach siedzi dwóch starych mężczyzn o zarośniętych, bezzębnych twarzach. Grają w karty. Jeden z nich nosi grynszpanowy sygnet. Karty są pozaginane i wytarte, aś żółędny, mówi ten z sygnetem, ale na karcie, którą wyciąga z ręki, nie widać żółędzi, tylko szare plamy.

Towarzysz MURGU, mówi ten z grynszpanowym sygnetem.

Pavel potrząsa jego dłonią, jak sobie radzisz z życiem, pyta, ten z sygnetem śmieje się czarnymi pustymi ustami, niech pan postawi jednego, towarzyszu MURGU, mówi. Pavel kiwa głową, roześmiane usta wołają MITZI.

Ten drugi odkłada karty twarzą do stołu, nasza MITZI była kiedyś wielką pieśniarką, mówi. Kelnerka nuci, dwa rummy Jamajka, mówi ten z grynszpanowym sygnetem. Nasza MITZI to robotnicze dziecko, mówi ten drugi, ale jest aniołem. Wtedy to były czasy, nasza MITZI była młoda i znana w całym mieście, to było u SCHARI NENI, tam najpiękniej śpiewali, a na dole w piwnicy pędzili najczystsą gorzałkę.

Pavel spogląda na Clarę, a Clara nasłuchuje i patrzy na ciężarówkę przejeżdżającą za oknem w zimowym kurzu. Ciężarówka wiezie piasek i kamienie.

Wtedy jeszcze uczeni pili z biednymi ludźmi, mówi ten z grynszpanowym sygnetem, i profesor wypaloną zapalką na kawałku papieru narysował mi, jak cienka jest ludzka dusza. A królewski notariusz patrzył tylko na naszą MITZI. Miała usta jak róża, mówi ten z grynszpanowym sygnetem, i głos jak słowik.

Drugi chichocze swoimi zwiędłymi ustami, i piersi z białej porcelany, mówi, a jej sutki, one patrzyły piękniej niż u innych kobiet oczy.

Mężczyźni w garniturach się śmieją, policjant zrywa sobie czapkę z głowy i uderza nią o stół, kobieta w kożusku gładzi kosmyki futra na kołnierzu, Pavel pozdrawia ją skinieniem, klepie mężczyznę obok niej po ramieniu.

Kelnerka niesie tacę, idzie nie nucąc. Jej twarz jest miękka i wzruszona, oczy rozjaśnione, stawia bezzębnym mężczyznom dwa rummy Jamajka na kartach, uśmiecha się i wzdycha i gładzi tego z grynszpanowym sygnetem po głowie.

Pavel siedzi tylko na połowie krzesła. Tak się cieszę, mówi do Clary, teraz napijemy się po jednym, spogląda na zaciek na suficie. Potem na kelnerkę, dwa rummy Jamajka, mówi, czubkiem palca dotyka dłoni Clary.

Tutaj

rzucamy się w oczy, mówi, tutaj wszyscy podsłuchują, i wszyscy patrzą.

Czy podoba ci się tutaj, pyta Clara. Pavel poprawia sobie krawat, tak jak tobie w fabryce, mówi.

W mojej głowie jest ciemno

Po południu Adina wraca ze szkoły. Myje sobie ręce, bo kreda zżera palce. W muszli klozetowej pływają dwie

łupiny słonecznika. Już wie, zanim jest w stanie o tym pomyśleć: lis.

Druga tylna łapa jest odcięta i jak przyrośnięta znowu przyłożona do korpusu. Poza tym wszystko jest jak było, pokój, stół, łóżko, kuchnia, chleb, cukier, mąka. Ślepe powietrze przyciska się od zewnątrz do okna, ślepe ściany spoglądają na siebie. Adina zadaje sobie pytanie, dlaczego pokój, stół i łóżko dopuszczają do tego, co tu się dzieje.

Potem Adina nastawia budzik na wczesny ranek, wskazówka obraca źdźbło trawy w ustach ilije. Adina pojedzie do niego,

Latarka nie wystarcza, żeby widzieć, do zaciskania oczu wystarczy jasne koło przed butami. Puste ubrania chodzą na przystanku tam i z powrotem i już wczesnym rankiem noszą pełne torby.

Szyny zgrzytają, tramwaj pędzi pod domami. Potem przejeżdżają obok jasne okna, wszyscy wiedzą, gdzie otwierają się drzwi, kiedy okna stoją. Łokcie się rozpychają. Sen też jedzie, zimowy pot pachnie cierpko, na zakrę-

cie światło gaśnie dwa razy i się zapala, jest żółte i słabe, a jednak uderza prosto w twarz. Dwie czerwonobrazowe kury wyglądają z koszyka jakiejś kobiety. Wyginają szyje,

dzioby mają półotwarte, jakby musiały, zanim zaczerpną tchu, szukać tchawicy w gardle. Ich oczy są płaskie, czerwonobrazowe jak pióra. Ale kiedy wyginają szyje, w ich

oczach błyszczy główka szpilki.

Krawcowa z przedmieścia kupiła pewnej wiosny na targu dziesięć piskląt. Nie miała kwoki. Siedzę tu i szyję,

a one sobie same rosna, mówiła. Pisklęta, póki jeszcze miały puch, były u niej w pracowni. Biegały wszędzie albo siedziały i grzały się w ścinkach. Kiedy podrosły, od rana do wieczora były na podwórzu. Tylko jedno dalej było w pracowni. Skakało na jednej nodze przez ścinki, jego druga noga była kaleka. Siedziało godzinami i przyglądało się krawcowej przy szyciu. Gdy wstawiała, skakało za jej krokami. Kiedy nie było klientów, krawcowa

rozmawiała z nim. Kurczę miało rdzawoczerwone pióra i rdzawoczerwone oczy. Ponieważ najmniej biegało, najszybciej rosło, najwcześniej stało się tłuste. Jako pierwsze zostało zarżnięte, zanim jeszcze lato zaczęło się na

dobre. A reszta kur grzebała na podwórku.

Krawcowa przez całe lato mówiła o kalekim kurczęciu.

Mówiła, musiałam je zarżnąć, było jak dziecko.

Mężczyzna na peronie nosi wielkie czarne wąsy na twarzy, wielki czarny aksamitny kapelusz na głowie i blaszany piecyk z trzema nogami na brzuchu. A kobieta obok niego nosi kwiecistą chustkę na głowie, kwiecistą spódnicę i pod pachą rurę z kolankiem. A dziecko obok niej nosi czapkę z grubym pomponem i drzwiczki do pieca w ręce.

W przedziale siedzi starzec, naprzeciwko matka i ojciec, a pomiędzy nimi opatulone dziecko.

Noc się rozrywa, Adina widzi wiadukt w górze nad szynami, a w dole schody. Wielkie ciemne ubrania wchodzą po schodach w górę, a małe ciemne ubrania chodzą

już na górze w niebie, jak gdyby ktoś, kto dotrze tam na górę, stawał się już tylko połową siebie. Na początku

dnia, krótko przed pracą, już tylko kurczące się stare dziecko.

Po drugiej stronie schody prowadzą na dół, przed bramę fabryki. Nawet jeśli w uszach jedzie pociąg, słyszeć fabrykę.

Śpij, mówi matka, dziecko opiera się o nią. Bloki tłoczą się w ciemności. Za nimi, na skraju miasta stoi miejskie więzienie, wieże strażnicze przejeżdżają za szybą, a w każdej stoi taki sam zamarznęty żołnierz, jakiś inny Ilije, myśli Adina, taki, któremu ufają noc, mróz, broń i władza, nawet jeśli jest całkiem sam.

Przez cały rok Ilije musiał co miesiąc służbowo jeździć do Bukaresztu, za każdym razem wyjeżdżał z miasta w tym kierunku, obok więzienia. Cele są z tyłu przy dziedzińcu. Kto nikogo tam nie ma, nie widzi ich, powiedział

wtedy Ilije, ale kto kogoś tam ma, czuje w głowie, gdzie musi patrzeć. Przez kilkaset metrów na tym odcinku, mówił, twarze się rozdzielają. Wtedy pomiędzy wszystkimi innymi wyczuwa się te oczy, które wiedzą, gdzie muszą patrzeć. .

Trzeba zawsze spać, wtedy nic się nie czuje, mówi ojciec do dziecka. Dziecko kiwa głową. Kobieta z czerwonobrazowymi kurami przechodzi obok przedziału. Przedtem zawsze spałem w pociągu, mówi starzec, i w tramwaju. Każdego ranka jeździłem ze wsi do miasta i co wieczór do domu. O piątej musiałem iść na dworzec, przez dwadzieścia siedem lat. Znałem tę drogę jak pacierz.

Raz założyłem się o owcę, że znajdę drogę z zamkniętymi

oczami, i wygrałem. Znalazłem drogę z zawiązanymi oczami, w dodatku w zimie, po śniegu i lodzie. A to jest długa droga, ponad trzy tysiące kroków. Wtedy, mówi, znałem każdą dziurę w ziemi, wiedziałem, gdzie jest wybój,

a gdzie wypukłość. I gdzie szczeka pies, wiedziałem trzy ulice wcześniej, i gdzie pieje kogut. A kiedy kogut w poniedziałek nie piał, wiedziałem, że w niedzielę został zarżnięty. Przy pracy zawsze zasypiałem, mówi, byłem krawcem,

nawet z igłą w ustach mogłem spać.

Chcę jabłko, mówi dziecko, matka mówi, śpij wreszcie, a ojciec mówi, no daj mu to jabłko.

A teraz jestem stary, mówi starzec, i już nie mogę spać, nawet we własnym łóżku. To nic, mówi, to nic.

Dziecko gryzie jabłko, żuje powoli i wbija palec w miejsce po ugryzieniu. Dobre jabłko, pyta matka, a dziecko mówi, zimne.

Ojciec Adiny przynosił w zimie, w poniedziałki, kiedy wracał z rzeźni, torbę pełną małych jabłek. Były tak zimne, że w pokoju ich skórka pokrywała się białym nalotem, jak szkła okularów. Jedno jabłko Adina zjadała od

razu. Pierwszy kęs sprawiał ból, był tak zimny, że kawałek jabłka obracał się w skroniach, zanim go połknęła.

A przy drugim kęsie zimno wypełniało całą głowę. Kęs już nie bolał, bo mózg zdążył zamarznąć.

Kiedy Adina zjadła zimne jabłko, wynosiła trzy jabłka na podwórko i zostawiała je tam na noc. Kładła jabłka rozstawione na szerokość dłoni na kamieniach, żeby ciemny mróz mógł obgryźć skórkę dokoła. Rano jabłka

tajały w kuchni. Były wtedy miękkie i brązowe. Adina najbardziej lubiła jeść zamrożnięte jabłka.

Ojciec dziecka wyszedł z przedziału, stoi już długo na korytarzu, już długo trzyma w czole nagie pola. Widział trzy sarny, i za każdym razem wołał matkę, i za każdym razem matka przez sen poruszała głową, dotykała dziecka i nie szła do niego.

Teraz podróżni tłoczą się na korytarzu, Adina też, tak samo krągła kobieta, która na szyi nosi kołnierz z lisa z zawiązanymi łapkami, i chudy starzec, który wygrał zakład o owcę.

Wzdłuż pociągu jedzie Dunaj, widać też drugi brzeg i ulice, cienkie jak nitki, i przejeżdżające samochody i lasy. Na korytarzu nie szura ani jeden but, nikt nie

chodzi, nikt nie mówi. Również oczy starca są wielkie i wyglądzają zmarszczki. Z ust ojca wydobywa się westchnienie, zabroniony oddech. Potem zamyka usta, popatrz, Jugosławia, woła do przedziału. Ale matka siedzi

w przedziale. Jej brat przed sześcioma laty przepłynął na drugą stronę, mówi ojciec, teraz jest w Wiedniu. Przy-mruża oczy, chce w migotaniu zobaczyć pojedyncze fale, ma pani dzieci, pyta. Adina mówi, nie.

W poczekalni nie ma ławek, stoi tylko zimny żeliwny piec. Na spękanej betonowej podłodze leżą jasnozielone plwociny i łupiny słonecznika. Nad piecem jest gazetka ścienna, trzy razy zdjęcie dyktatora, czerń w oku jest tak duża, jak guzik płaszcza Adiny. Lśni. A plwociny na podłodze lśnią.

To, co lśni, widzi.

Przed dworcem stoi ławka, napisał ilije w lecie, obok

jest przystanek autobusowy. Autobus jest tylko dla oficerów, którzy z miasteczka jadą do jednostki. Ale czasem kierowca zabiera też żołnierzy, a najchętniej młode kobiety.

W autobusie siedzi pięciu oficerów. Noszą zielone czapki z futrzanymi nausznikami, które zielonymi sznurkami są związane na głowie. Pod nausznikami sterczą uszy oficerów, od mroźnego żaru mają czerwone brzegi. Ich potylicy są wygolone na łyso.

Kierowca nosi kapelusz i garnitur pod rozpiętym płaszczem. Spod rękawów płaszczka wyglądają białe mankiety w ciemne paski i duże niebieskie spinki. Na lewej dłoni kierowcy lśni sygnet. Wsiada trzech oficerów.

Dokąd, pyta kierowca, Adina stawia torbę na stopniach autobusu, do jednostki, mówi. Kierowca schyla się, na jego rękę opada niebieski szalik. Znosi torbę do przejścia, piękne kobiety to coś dla naszej armii, mówi. Oficerowie śmieją się, ich głosy są jak kłęb.

Adina siada na pierwszym siedzeniu obok oficera z siwymi skroniami. Czuć go mokrymi okryciami zimowymi. Do kogo panienska jedzie, pyta jakiś głos z tyłu,

Adina odwraca głowę i widzi za pustymi siedzeniami złoty ząb. Jej płaszcz jest opakowany w zielone płaszcze, do

żołnierza, mówi. Kierowca podnosi do góry dłoń, fabryka rozsypuje na polu rury i ogrodzenia, mamy ich wielu, mówi, kiedy tam dojedziemy, może sobie panienska jednego wybrać.

Kukurydza odwraca się od szyby, połamana, zapomniana

na mrozie, dlaczego jednego, mówi ten ze złotym zębem, jest ich dosyć w tym kraju. Śmiech uderza w kawałek lasu, czarny i bezlistny.

Jak się nazywa twój żołnierz, pyta oficer przy uchu Adiny, jego skroń jest papierowa, jego oczy patrzą na jej ręce, jego gałki oczne połyskują zielono od płaszcza. Ona mówi, nazywa się Dolga, wrony lecą nad polem, a oficer mówi, mamy dwóch takich, a ten ze złotym zębem śmieje się tak głośno, aż na jego głowie rozwiązuje się sznurek, a lewy futrzany nauszник opada mu na naramiennik.

Zdejmuje czapkę, jego włosy są przygniecione, skronie wygolone na łyso. Związuje klapy, sznurek jest krótki, jego palec gruby, zamyka wargi na złotym zębie, pętelka jest mała jak dwa czubki palców, zakłada czapkę.

A jak dalej się nazywa, pyta oficer koło Adiny, a ona wsuwa palce w rękawy płaszcza i mówi, ilije.

Za oknem biegnie rów, jest porośnięty suchą trzcina, a czym panienka jest z zawodu, pyta oficer koło Adiny i obraca guzik płaszcza, za zakrętem stoi aleja topolowa, którą opisał Ilije, i murowane ogrodzenie koszar, a Adina mówi, nauczycielką.

Wszystko jest płaskie, pisał Ilija, siedzi się albo leży pod gołym niebem w pustkowiu, ale najmniejsze rośliny zasłaniają spojrzenie, można stać i niczego nie widzieć.

Wiatr szarpie rzędami drzew, nie słysząc go, w takim razie zna pani Ostatnią noc miłości, pierwszą noc wojny, mówi

oficer za kierowcą, książka jak życie, panienko, piękna książka.

Wszyscy mają wygolone karki, wygolone skronie, myśli Adina, od lat są goleni, żaden z nich nie jest

młody.

Pewnego razu będą się śmiać, w środku tego śmiechu, w środku tego kłębu zauważą jeden u drugiego, że worki z obciętymi włosami są ubite i ważą tyle, ile oni sami. Ręce Ilije drżą, jego paznokcie są brudne i połamane. Przez godzinę byłam sama w przedziale, mówi Adina, gdzie sięgnąć wzrokiem żadnego słońca, ale wszędzie były cienie, a potem zasnęłam.

Śniło mi się, mówi Adina, że lis idzie przez puste pole, było świeżo zaorane. Lis pochylał się idąc i zaczął jeść ziemię. Żarł i żarł i robił się coraz grubszy.

Obok drzwi wisi tablica ogłoszeń, zdjęcie czołgu na skraju lasu, na czołgu siedzą żołnierze, a jednym z nich jest Ilije. Oficerowie stoją w trawie.

Ty to masz dobrze, mówi ilije, ty się jeszcze boisz, w mojej głowie jest ciemno, już od dawna nic mi się nie śniło. Nad i pod czołgiem jest zdjęcie dyktatora, czerni w oku. Tutaj codziennie trzeba zapomnieć siebie, mówi Ilije, jedno tylko jeszcze o sobie wiem, zawsze myślę o tobie. Obok czerni w oku wiszą dyplomy honorowe jednostki.

Ilije wskazuje czołg, w paździeniku, mówi, byliśmy czołgiem w terenie. Całuje palce Adiny, w jakim terenie, pyta Adina, przecież tutaj wszystko jest płaskie.

Wyjechaliśmy poza jednostkę, mówi on, tutaj wszystko jest

terenem, z tyłu za lasem jest wzgórze. Przy wjeździe pod górę wszyscy musieliśmy zsiąść z czołgu i od tyłu podkładać kamienie pod gąsienice, a ze wzgórza w dół, kamienie od przodu. Kiedy czołg był w dole na skraju lasu,

położyliśmy się w trawie. Nie wstaliśmy przez cały

dzień.

Wieczorem wróciliśmy pieszo do koszar.

Jego ręka jest szorstka, śmieje się i połyka swój głos, czołg do dziś stoi tam w lesie, mówi, chodź na podwórze. Jego ramię się wyciąga, jego usta też, gdyby Rosjanie na nas czekali, mówi, do dzisiaj jeszcze nie bylibyśmy w Pradze.

Przed stertą mokrych worków z piaskiem Ilije zatrzymuje się, nosimy je od ściany do płotu, spod płotu na drogę, z drogi pod ścianę, mówi. Jego buty stukają, kiedy się ich pozbędę, mówi i pokazuje na toporne obuwie, będzie lato, a wtedy mam przed sobą tylko jedną drogę, Dunaj.

Mija ich żołnierz z parującym wiadrem, Adina ciałniej otula się płaszczem, otacza się ramionami, żeby następnego lata, mówi, twoje kości leżały w pszenicy.

Aleja

topolowa jest mała, wpełza w ziemię, bo wkrótce zapadnie ciemność, a twarz Ilije jest wysunięta do przodu, ty

pójdiesz ze mną, mówi, jego szyja jest długa, jego kark, jego skronie ogolone na лыso. Nachyla się do niej, ona potrząsa głową.

Będziesz tam w górze w niebie aniołem z raną postrzałową, mówi Adina i spogląda na ziemię, albo tam na dole, gdzie jest asfalt. Tam będziesz nocami jeździł na miotle, zamiatał ulice w Wiedniu.

A ty zostaniesz tutaj, mówi Ilije, będziesz czekała, aż całkiem potną ci lisa, a potem.

lis na stole

Budzik tyka i tyka, jest godzina trzecia.

Może w nocy lisowi znowu przyrosły łapy, myśli Adina. Wystawia stopę z łóżka, odsuwa tylne łapy od skóry. Palce jej stóp boją się tego, że ogon, choć jest odcięty, da-

lej jest taki miękki i puszysty. Że się kurczy.

Zanosi obie łapy i ogon na stół, układa je przy sobie.

Wtedy jest tam cały lis, tylko do połowy schowany w stole. Wtedy kopie pod blatem stołu głową i przednimi łapami, tylne łapy i ogon ma na stole, żeby się trzymać.

Przy oknie w kuchni stoi księżyc, tak nabrzmiały, że nie może zostać. Jest nadgryziony przez wczesny ranek. Jest godzina szósta, księżyc zmęczony po nieprzespanej nocy, ma jeszcze trzy żółte palce, a jeden jest szary i podpira mu czoło. Wczesne autobusy szumią, a może to w górze granica nocy, o którą księżyc zahacza, bo nie jest okrągły, kiedy opuszcza miasto. Psy wyją, jakby ciemność była wielkim futrem, a pustka ulic w głowie spokojem w mózgu. Jak gdyby psy nocy były się dnia, w którym myszkujący głód napotyka wałęsającego się psa, kiedy ludzie przechodzą obok. Kiedy ziewnięcie napotyka ziewnięcie, a tym samym tchnieniem w ustach mówienie napotyka szczekanie.

Rajstopy pachną zimowym potem. Adina naciąga je jak kołysanie w pociągu na gołe nogi, nakłada płaszcz na koszulę nocną. W płaszczu wiszą jeszcze małe czarne płaszcze wiaduktu i duże zielone płaszcze z autobusu.

W guzikach płaszczka stoi jeszcze mały dworzec i czerń w oku. W kieszeni płaszczka są jeszcze pieniądze z podróży i latarka. Klucz leży na kuchennym stole. Buty oblepione są jeszcze błotem z podwórza koszar. Adina wsuwa

buty na nogi.

Kółko latarki potyka się, krawężnik jest kanciasty.

Z pojemnika na śmiecie wyskakuje kot, jego łapy są białe,

za nim pęka szkło.

Parking jest pusty, stadion trzyma swój nasyp w ciemności, niebo nad nim szarzeje. Za stadionem metaliczny

stukot, tam jest fabryka. Nie widać kominów, tylko żółty dym. Tramwaj zgrzyta na zakręcie. Okna świecą, czuwają, a okna obok są ciemne, we śnie położone na ścianach.

W cichych uliczkach władzy ranek ma późniejsze pory. Okna są ciemne, drążki lamp w zawijasach. Lampy wiszą w ogrodzie nad schodami, świecą aniołom i lwom z kamienia. Koła światła to własność prywatna, nic nie pada na przechodzących, którzy tu nie mieszkają, którzy tu nie należą.

Topole są nożami, chowają ostrze i śpią na stojąco.

Powyżej leży kawiarnia. Białe żelazne krzesła są uprzątnięte, zima nie potrzebuje krzesła, zima nie siedzi, chodzi

nad rzeką, wisi pod mostami. Woda nie błyszczy i nie widzi, zostawia topole same.

Wędkarze wieczorem wcześniej idą do łóżka i stoją wcześniej rano przed sklepami. Spotykają się popołudniami w zadymionych kawiarniach, piją i rozmawiają,

aż woda znowu zaczyna błyszczeć. Na wieży katedry zegar uderza siedem razy we mgle, ale akacje na górze już

nie śpią. Zaraz klucze zostaną przekręcone w zamkach,

rygle odsunięte, drzwi sklepów się otworzą. Akacje tracą korę na czubkach, przechodzą w szarość. Na końcu parku kolce wyglądają z każdej gałązki, pnie na dole tego nie widzą.

W sklepie jeszcze nie ma nikogo. Kasjerka zakłada wiatrówkę na jasnyniebieski fartuch. Futrzana czapka połyka jej brwi. Adina bierze koszyk. Słoiki z marmoladą są ustawione w rzędy. Są takiej samej wielkości, mają takie same brzuchy z takimi samymi blaszanymi zakrętkami i etykietami. Gdyby przeszedł jakiś oficer, myśli Adina, zaczęłyby maszerować. Tylko rdza na zakrętkach je różni i wypływające spod nich krople, które lepią się na brzuchach.

Adina wkłada do koszyka butelkę wódki. Kawa paruje kasjerce w twarz. Dopiero od dziesiątej sprzedajemy napoje, mówi, siorbie, raz krótko, raz dłużej i wyciera sobie kroplę kawy z brody. Wznosi oczy prawie pod czapkę i odstawia filiżankę. Sięga do koszyka, ma na palcach czerwony obłazący lakier, jakby czubki jej palców jeszcze rosły. Odstawia butelkę wódki pod kasę.

Adina kładzie banknot koło filiżanki z kawą. Jeszcze nigdy nie byłam pijana, mówi cicho, jest siódma godzina, a ja jeszcze nigdy nie byłam pijana, dzień stoi przed drzwiami, mówi głośno, jest godzina siódma, codziennie była godzina siódma, i codziennie dzień stał przed drzwiami, a ja nigdy nie byłam pijana, i jej głos się rozpada, jej policzki są rozpalone i wilgotne, jest godzina siódma, to jest moja wódka, tu są moje pieniądze i dzień przed drzwiami, aja jeszcze nigdy nie byłam pijana, i nie chcę już dłużej czekać, chcę się upić teraz, nie dopiero o dziesiątej. Kasjerka wciska jej banknot do ręki, wielu

by chciało, mówi.

Mężczyzna w jasnoniebieskim fartuchu pcha Adinę za ramiona do drzwi, mówi za jej głową ustawa i wódka i policja. Jej buty szorują po podłodze, od podeszew odrywają się małe kawałeczki zaschniętego błota koszar i wielkie kawałki mokrego błota parku. Koszula nocna zwisa jej na rajstopy, wystaje spod płaszcza na szerokość dłoni. Kasjerka przytrzymuje drzwi. Kim wy jesteście, krzyczy Adina, nie dotykajcie mnie, słyszyście, nie dotykajcie mnie.

Adina dzwoni trzy razy. Drzwi mieszkania otwierają się, jaskrawy prostokąt oślepia jej twarz. Przechodzi przez przedpokój, trzyma w dłoni nagą gałązkę, idź do kuchni, mówi Paul, Anna jeszcze śpi w pokoju. Adina kiwa głową raz, dwa razy, trzy razy, on patrzy za nią, koszula nocna wisi jej spod płaszcza. Daje mu nagą gałązkę

i śmieje się, śmieje się dźwięcznie, to będzie bez, mówi.

Siedzi przy kuchennym stole, przed nią stoi okapana filiżanka po kawie, obok leży klucz. Adina patrzy na zegar

na ścianie, kładzie na stole banknot i chwyta się za twarz.

Tu są moje oczy, mówi, to moje czoło, to moje usta.

Rozpina płaszcz, a to moja koszula nocna, mówi. A tu wisi na

ścianie zegar, tu leży na stole klucz, a na dworze przed drzwiami stoi dzień, ja nie zwariowałam, jest teraz godzina ósma, i codziennie jest godzina ósma, a ja jeszcze

nigdy nie byłam pijana, chcę się teraz upić, nie dopiero o dziesiątej. Przesuwa filiżankę na brzeg stołu.

Paul wkłada jej pieniądze do kieszeni płaszcza, stawia

przed jej brodą kieliszek, potem butelkę. Nalewa wódkę do kieliszka, wciska jej kieliszek w dłoń. Ona nie pije, nie płacze, z oczu jej cieknie, a usta milczą. On obejmuje jej głowę. Anna staje w drzwiach. Jest nieumyta, nieuczesana, tylko ubrana do wyjścia. Bierze klucz ze stołu, wkłada buty. Na palcach idzie przez przedpokój. Drzwi zatrząskują się głośno.

Możesz zostać, mówi Paul, zaraz idę do pracy. Drzwi zatrząskują się głośno.

Tam stoją w przedpokoju buty Adiny. Tam leży jej płaszcz w pokoju na krześle, tam leżą jej rajstopy na podłodze. Naga gałązka, która stanie się bzem, stoi w wazonie koło łóżka. Łóżko jest jeszcze ciepłe po Annie.

Pocałunek

Adina wkłada rajstopy, jej nóg nie ma w rajstopach. Wkłada płaszcz, jej ramion nie ma w płaszczu. Tylko koszula nocna wygląda spod płaszczu. Wpycha koszulę do rajstop. Klucz, pieniądze, latarka są w kieszeni płaszczu. W kuchni na stole leży słońce, pod stołem leży błoto z jej butów, na ścianie tyka zegar i słucha sam siebie. Zaraz będzie południe. Adina wsuwa stopy do butów, palców jej stóp nie ma w butach, są w zegarze. Adina na czubkach palców wychodzi z kuchni, zanim obie wskazówki spotkają się na środku głowy dnia, gdzie jest południe. Drzwi się otwierają, drzwi się zatrząskują.

Przed Adiną idzie jej oddech, chce go schwycić dłonią, ale już nie może go złapać. Na skraju drogi stoi pojemnik na śmiecie. Na pojemniku opiera się stara kobieta z laską i szmacianym workiem. Worek jest do połowy wypełniony. Laska skrobie po asfalcie, ma na końcu gwóźdź. Kobieta schyla głowę, wkłada laskę do

pojemnika na śmie-

cie, nadziewa na gwóźdź suchy chleb.

Narożnik jest z szyb okiennych. Za nimi siedzi mężczyzna pod białym ręcznikiem. Mężczyzna jest młody

i szczupły, worek jego włosów nie będzie ciężki, myśli Adina, nie cięższy niż pełny worek na chleb, kiedy on umrze. Nożyczki otwierają się i zamykają, krótkie końcówki włosów opadają na ręcznik. Fryzjer strzyże i coś

mówi. Przedłuża czas poza zimę, jak Adina przedłuża drogę do domu, bo lis kopie pod stołem, bo drzewo na środku asfaltu stoi przed szybą, gdzie obcina się włosy, bo drzewo samo jest łyse.

Drugi autobus wygina swój czarny akordeon. Fałdy składają się i rozkładają. Druty szukają drogi, kierowca je jabłko. Mężczyzna wskakuje do autobusu, zanim schodki się zatrzymają. Nogawki jego spodni trzepoczą, jego buty błyszczą. Nosi wiatrówkę. Akordeon skrzypi, pnie drzew przejeżdżają przez szybę, płaszcze chodzą powoli i jazda przeciska się obok szyby do góry. Tylko trumnę, przywiązaną linami do dachu czerwonego auta, autobus wiezie chwilę ze sobą. Bo droga odsuwa pnie drzew, przesuwa trumnę nad wszystkim, przez akordeon, z jednej szyby do drugiej. Potem przejeżdżają obok bloki, których chodniki są już ścianą. Trumna przejeżdża przez szybę na samym końcu, a mężczyzna w wiatrówce spogląda za nią. Adina podchodzi do tylnych drzwi. Drzwi się otwierają, mężczyzna w wiatrówce szczypie Adinę w tyłek. Ona stoi na stopniach, odpycha go, traci równowagę, drzwi się zamykają, leci

kurz.

Twarz mężczyzny jedzie dalej. Pokazuje jej pięść w szybie, otwiera dłoń i przesyła jej w powietrzu pocałunek.

Lis nie kopie pod stołem. Cała skóra leży na podłodze przed szafą. Adina kładzie klucz na stole. Stoi w pokoju, ale pokój stoi sam ze sobą. Tylne łapy i ogon leżą tak blis-

ko przy skórze, że nie widać cięcia Czubek buta Adiny odsuwa lewą tylną łapę, prawą tylną łapę, ogon. Prawa przednia łapa pociąga za sobą tułów i głowę, jest przyrośnięta. Lewa przednia łapa nie rusza tułowia i głowy

z miejsca. Jest odcięta. Łóżko jest nieposłane.

Kuchnia, jabłka, chleb.

Adina stoi w łazience, i łazienka jest sama ze sobą.

W muszli klozetowej pływa niedopałek papierosa. Od kil-

ku godzin leży w wodzie, jest całkiem rozmoknięty.

Adina kładzie banknot na stole pod latarką. Zdejmuje płaszcz i rajstopy. Kładzie się do łóżka. Palce jej stóp są zimne, koszula nocna, łóżko są zimne. Jej oczy są zimne. Słyszy, jak jej serce bije na poduszce. Obraca stół w oczach, banknot, latarkę, krzesło. Budzik tyka i tyka, aż przy oknie zniknie światło.

Dzwoni, to nie jest budzik. Adina odnajduje swoje palce stóp i podłogę na skraju łóżka. Zapala światło, otwiera drzwi. Jasny prostokąt pada na klatkę schodową, Adina śmieje się i nadstawia policzek. Paul ma zimne usta. Trzyma w dłoni nagą gałązkę, to będzie bez, mówi. Ona z gałązką w dłoni wyciąga palec wskazujący, pokazuje czubkiem gałązki w stronę lisa. Paul podnosi po

kolei odcięte łapy, od dzisiaj są trzy, mówi Adina,
spogląda
na niego i zdejmuje mu z szyi szalik. Jego kark jest
gładko wygolony, byłem u fryzjera, mówi.
Adina kładzie szalik na łóżko. W każdym pokoju,
gdzie dotychczas mieszkałam, lis zawsze leżał przed
szafą, nawet w akademiku, gdzie pokój był ciasny, mówi,
mieszkałyśmy we czwórkę. W akademiku był kot, był
tłusty i prawie ślepy, nie łapał myszy. Łaził po
wszystkich
pokojach od schodów z przodu aż do korytarza z tyłu.
Każdy kawałek słoniny potrafił wyczuć i wyzreć. Do
naszego pokoju nie wchodził nigdy, czuł lisa.
Wkłada nagi koniec gałązki do ust, nie patrz tak,
mówi Paul, bo nie będzie z tego bzu. Ona idzie do
kuchni,
wazon ma po ostatnich chryzantemach brązową obwód-
kę. Widziałem wczoraj Clare w szpitalu, mówi on, ona
wacha gałązkę, Clara czekała przy usuwaniu ciąży, mówi
on, kran piszczy, on stoi w drzwiach kuchni, na wodzie
są bąbelki, ona napełnia wazon aż po brązowy pasek.
Przechodzi z wazonem obok niego, on idzie za nią.
Jeszcze jedna łapa, mówi Paul, to jest lis, przy którym
traci się rozum. Wstawia gałązkę do wody, tu nie
potrzeba lornetki, to jest lis, mówi, tu pomiędzy krzesłem
i łóżkiem jest się w środku lasu, naga gałązka rzuca nagi
cień
na jego policzek. Lornetka, mówi, była dzisiaj rano u
portiera. On nie patrzył do tyłu na las, patrzył do przodu
na
wejście. Kiedy stanąłem przed nim, nie odjął lornetki od
oczu, popatrzył na mnie i powiedział, proszę pana,

pańskie oko jest wielkie jak drzwi. Nagi cień na twarzy
Paula mógłby być zmarszczką. Potem przyszedł
mężczyzna,

mówi dalej Paul, który dał portierowi pieniądze, bo
dzisiaj nie było odwiedzin. Portier dał mu popatrzyć
przez

lornetkę, ja zdjąłem płaszcz i przewiesiłem sobie mój
biały kitel przez ramię. Paul kładzie palce na czubkach
palców Adiny, jak powiedzieć człowiekowi, pyta, który
daje portierowi pieniądze i rano już ze świeżo
upieczonym chlebem w siatce wchodzi po schodach, że
jego

żona poprzedniej nocy zmarła podczas przerwy w
dostawie prądu. Przyciąga Adinę do siebie, idzie się
powoli,

mówi, bo świeży chleb pachnie, ona czuje, jak jego
podbródek porusza się przy jej głowie, w jego
małżowinie

usznej leżą obcięte włoski. Człowiek życzyłby temu
mężczyźnie, mówi Paul, żeby lornetka przez
powiększenie

odebrała mu strach na cały dzień. Ona podciąga pod ko-
szulą nocną nogi i stawia stopy na jego kolanach. Ale to
próżne nadzieje, mówi on, bo w krokach tego mężczyzny
już słyhać, że za kilka minut straci rozum.

Adina trzyma swoją twarz w dłoni. Widzi spomiędzy
palców, jak jasne są gałązki, jak ciemna w wodzie
łodyżka.

Paul zapala i gasi latarkę. Bierze banknot ze stołu,
chciałaś mi go dać dzisiaj rano, mówi, wygląda go
ręką. Na banknocie jest twarz, brudna, pomięta i miękka.
Czubkiem najdłuższego patyka robi dziurę w twarzy, na-

bija banknot na nagą gałązkę. Jeszcze jedna łapa, mówi, a potem.

Zgubiona łopatką

Lewe kolano podnosi się, prawe kolano opuszcza się. Trawa jest zdeptana, ziemia rozmiękła. Błoto ucieka spod stóp, na kostkach uciskają toporne buty. Sznurowadła są z błota, od rana do południa urywały się dwa razy i dwa razy zostały związane. Skarpety są mokre, wiatr wieje i suszy błoto na rękach. Czapka wpadła w błoto. Papieros przerywany rozkazami jest brudniejszy po każdej następnej ręce, od rana do południa ten sam papieros zapalany cztery razy, dym cienkimi smugami od ust do ust, i trzy razy gaszony, ostatni wyrzucił żarzący się niedopalek.

Rów strzelecki jest wystarczająco głęboki, sięga po szyję, a światło stoi tak nisko nad trawą jak czołg koło lasu, jak czoło nad oczami. Dzień zostaje wciągnięty w ziemię między lasem a wzgórzem.

Jest wieczór, kąciki oczu żołnierzy czuwają, oficer ze złotym zębem po ostatnim rozkazie poszedł się odlać, minął czołg, wszedł w las głęboko na trzy drzewa.

Żołnierze nie ruszają butami ani łopatkami, milczą i nasłuchują, jak wodospad oficera dotyka ziemi. Ale gałęzie

trzeszczą i wrony lecą do gniazd i kraczą, czują mgłę, która powoli zasłania drzewa. Może czują śnieg za tym krajobrazem, na płaskich plecach nadchodzących dni. Śnieg, który jest suchy i szorstki i długo leży na ziemi. Śnieg, tak biały, że ich czarne dzioby są zawsze otwarte i stygną, bo nie znajdują nic do jedzenia, tylko

przemarzniętą kukurydzę.

Nie słychać strumienia moczu na leśnym poszyciu.

Oficer zapina spodnie, naciska czapkę głębiej na głowę, ciałniej zawiązuje szalik wokół szyi. Suchą gałązką zdrapuje błoto ze swoich oficerek.

Zbiórka, kolejno odlicz, każdy głos jest inaczej zmęczony, każde zaczerpnięcie oddechu przed każdymi ustami jest innym parującym zwierzęciem. Dwa rzędy, wysocy, niscy.

Łopatka na ramię, krzyczy oficer, patrzy wzdłuż szeregów, DOLGA, gdzie jest twoja łopatka. Ilije podnosi

rękę do czapki, uderza butem o drugi, melduję, towarzyszu oficerze, moja łopatka zginęła. Oficer wznosi palec wskazujący, a jego złoty ząb jest jaśniejszy od twarzy, poszukaj jej, mówi, bez łopatki nie wrócisz do jednostki.

W prawo zwrot, naprzód marsz, lewa prawa. Żołnierze maszerują wzdłuż śladów czołgu na wzgórze. Szczyt wzgórza połyka ich od dołu, niebo od góry.

Ilije już nie słyszy ich równego kroku, chodzi wzdłuż rowu strzeleckiego. Jego oczy przeszukują wykop, jest ciemniejszy niż ziemia. Ręce bolą go od łopatki, bo łopatka już nie uciska, bo ręce już nie kopią, bo odciski stają się skórą i palą. Jego buty znajdują tylko trawę i błoto,

jego oczy wzgórze. Ustawiło się w nocy, a las jest czarnym kątem, nie ma w nim żadnego drzewa.

Za wzgórzem leży płaska równina, myśli Ilije, może nocą jest z wody, taka sama gładka woda, mógłby uciec, byłby czarny jak brzeg i to miejsce, gdzie wskoczy w wodę nie zobaczyłoby go, a woda by go poniosła.

Kiedy

się długo płynie, myśli, oczy przyzwyczajają się do nocy i przekraczają wiele, a kiedy się wszystko przekroczyło, ręce natykają się na drugi brzeg, na drugi kraj. Ale musiałby, myśli, dochodząc na szczyt wzgórza, zdjąć toporne buty. Pozbyłby się ich, już zanim skoczy do wody,

pozbędzie się ich, na brzegu nie będzie marnował czasu na rozsznurowywanie, na pozwiązywane sznurowadła.

A jutro, kiedy dzień zacznie się tak samo wcześniej i ponuro od rozkazu, od złotego zęba, który już dawno nie śpi, kiedy kolumna po śladach czołgu będzie maszerowała na szczyt wzgórza, będą tam te buty, i drzewa będą

znowu w lesie i wrony.

Ale w skrzynce na listy daleko stąd leży list do Adiny.

To jest jego zdjęcie, czarne włosy bez czapki, białe czoło i blady uśmiech bez żdźbła trawy w ustach.

Na szczycie wzgórza Ilije boi się się, że wyjdzie poza podeszwy swoich stóp. Równina jest czarna, ale ziemia nie jest wodą. Idzie wzdłuż śladów czołgu i boi się obejrzeć się za sobą samym. Rów strzelecki wszystko widział

i jutro oficer ze złotym zębem będzie wiedział, to zdrada. Jego usta będą krzyczeć, jego ząb będzie świecił. Szczyt wzgórza będzie stał w milczeniu i nie będzie wiedział, że spędził noc w czole, że to on popchnął przezroczystą czaszkę ze strachu do ucieczki.

Potem każdy krok wyciska dziurę w brzuchu, każdy oddech wciska kamień do gardła. Połamane liście kukurydzy drapią pod kolanami, trawa sięga gołego tyłka, ilije musi się wysrać. Podnosi głowę, prze. Obrywa

liść z łodygi, długi, wąski liść kukurydzy. Kukurydziany liść się

łamie i jego palec śmierdzi. I pole kukurydzy śmierdzi, i las. I noc i księżyc, którego nie ma, śmierdzi.

Ilije płacze i przeklina matkę żołnierzy, oficerów, czołgów i rowów strzeleckich. Bogów i wszystkie narodziny świata.

Jego przekleństwa są zimne, jego przekleństwa nie są do jedzenia, nie do spania. Są po to, żeby bładzić wkoło i marznąć, wznoszą się do góry pomiędzy łodygami kukurydzy i dławią się. Po to, by zawirować i położyć się płasko są jego przekleństwa, by krótko się miotać i długo trwać w bezruchu.

Kiedy przekleństwa się łamią, nigdy ich nie było.

Kiedy jest zimno, nie mogę patrzeć w wodę

Wiem, co wiem, mówi Clara głośno, tramwaj dudni, przejeżdża blisko barierki, ilije jest wrażliwy, mówi, most

drży, drzewa pchają się do parku. Wiedziałam, mówi cicho, że on nie zniesie tego lisa, jej czerwone paznokcie najpierw zanurzają się we włosach i wynurzają się dopiero po białej wygiętej ręce. Wiem też, że on nie ucieknie,

mówi. Jej włosy fruują w powietrzu i stają nad jej czołem na wietrze jak wachlarz. Tego nie wiesz, mówi Adina, skąd możesz coś takiego wiedzieć. Patrzy na policzek

Clary, jej ostre, podkreślone na czarno kąciki oczu.

Bez wędkarzy rzeka jest pasem wody w mieście, tylko jej zgniła dna stoi na środku między powierzchnią wody a dnem, czuć jej zapach.

Buty Clary stukają na kamiennych płytach. Adina zatrzymuje się w miejscu, a Clara idzie jeszcze trzy kroki, nie zwracając na to uwagi, idzie zawsze dokładnie przez środek płyt. Chodź, mówi, kiedy jest zimno, nie mogę patrzeć w wodę. Potem i ona się zatrzymuje, jej włosy stoją w ciemności jak rzeczna trawa w wodzie. Wtedy człowiek staje się nagi od zimna, mówi Adina. Clara ciągnie ją za rękę, kręci mi się w głowie, mówi. Potem odchodzi od wody, kilka kroków na ulicę. Adina wrzuca do wody zeschnięty liść, ale to nie od rzeki chce ci się rzygać, mówi, i patrzy za liściem, który jest już ciężki i tak mokry, że małe fale go nie utrzymują, Paul widział cię w szpitalu, mówi. Wiem, mówi Clara, wiedziałam też, że ci wszystko powie. Jej czerwone paznokcie zanurzają się w kieszeniach płaszcza, obiema rękami robi sobie z płaszcza brzuch, byłam w ciąży, mówi. Wygięte białe przeguby dłoni wynurzają się z powrotem, paznokcie nie. Ale jak mogłaś przerwać ciążę, pyta Adina. Na cienkim obcasie Clary jest przyklejony mokry liść, Pavel zna lekarza, mówi. Trawa w parku wymarzła, leży w pęczkach przy drodze, gęsta i pusta. Ale gałęzie w górze nasłuchują bez liści. Clara bierze źdźbło trawy, nie musi szarpać, ono tylko tam leży, nie jest przyrośnięte. Jest złamane, nie stoi między jej palcami. Adina odwraca się, ale ten trzask to nie są obce kroki, to tylko gałązka pod własnym butem, czy on jest lekarzem, pyta Adina, a Clara mówi, jest ad-

wokatem. Odwraca się, ale ten dźwięk to nie jest obcy krok, to żołędź, który spada na drogę. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, pyta Adina, Clara odrzuca trawę, ale ta nie chce lecieć, jest za lekka, spada na jej but, bo on jest żonaty, mówi. Potem stukają buty i piasek chrzęści na drodze. Kobieta prowadzi rower, dlaczego ukrywasz go przede mną, pyta Adina, na rowerze leży worek, bo jest żonaty, mówi Clara, kobieta ogląda się, rzadko się widzujemy, mówi Clara. Jak długo go znasz, pyta Adina. Przed kinem stoi dziewięciu żołnierzy z oficerem. Oficer rozdaje bilety. Żołnierze porównują rzędy i siedzenia. Na plakacie jest roześmiany żołnierz i zamknięty

przejazd kolejowy od jednego policzka do drugiego. Nad czapką żołnierza stoi niebieskie niebo, a pod jego twarzą jest tytuł filmu NIKT SIĘ NIE PRZEDOSTANIE.

Clara trąca Adinę łokciem, jej podbródek wskazuje żołnierzy, ależ oni stoją, mówi, czy Adiny błędzą w ciemnozielonych cisach, widziałam ich, mówi, ilije tam nie ma.

Jakiś głos odzywa się z pozdrowieniem, karzeł na swoich wysokich obcasach, na swoich przełamanych ceglach.

Clara uśmiecha się, w mieście jest zimno, mówi karzeł, Clara kiwa głową. Jego głowa jest za duża, włosy gęste i tak jasne przed ciemnozielonymi cisami, jak w parku wymarznęta trawa. Teraz już wystygł, mówi karzeł, kiedy go kupiłem, był ciepły. Pod pachą niesie chleb. Kiedyś przedtem, a nie teraz

Stary człowiek ciągnie butlę gazową na ręcznym wózku. Na kurku butli jest pokrywa, na pokrywie wisi torba z chlebem. Uchwyt wózka to kij od miotły, kółka są

od dziecięcego trójkołowego rowerka. Kółka są wąskie, grzesną w szczelinach między płytami chodnikowymi. Mężczyzna ciągnie i przez kilka kroków ma chód zabiedzonego konia. Pokrywa butli gazowej pobrzękuje. Mężczyzna zatrzymuje się, puszcza kij od miotły na kamienne płyty. Siada na butli, odrywa kawałek skórki od chleba.

Jedząc patrzy na pnie topoli, potem po gałęziach w górę. W tyle głowy idą kroki, na karku stukają buty. Adina odwraca głowę, jego ręce wkładają ziarna słonecznika do ust, jego buty błyszczą, nogawki jego spodni trzepoczą, jego wiatrówka skrzypi. Buty stukają na jej policzku.

To mężczyzna z autobusu, który przesunął jadącą trumnę z jednego okna do drugiego. Podobasz mi się, mówi mężczyzna, i wypluwa łupinę słonecznika na kamienie, jesteś

dobra w łóżku. Tam stoi ławka, a na ławce stoi pusta butel-

ka, na pewno dobrze się pieprzysz, mówi on, a na następnej ławce stoją nagie gwoździe w miejscu, gdzie była deska

do siedzenia. Adina mówi, odejdz, i siada na trzeciej pustej

ławce. Przesuwa się na środek, on wypluwa łupinę słonecznika na ławkę, ona się opiera. On siada. Tam jest dość

innych ławek mówi ona i przesuwa się na koniec siedzenia,

on się opiera i patrzy jej w twarz. Ona prostuje się, odejdz

albo zacznę krzyczeć, mówi. On wstaje, to nic, mówi, to

nic. Uśmiecha się do własnego wnętrza, rozpina spodnie, bierze w rękę członek. No to się pożegnam, mówi i szcza do rzeki. Ona wstaje z ławki, z obrzydzenia język staje jej

w oczach, przy pierwszym kroku nie widzi kamiennych płyt. Czuje, jak przez uszy jej głowa wypełnia się zimną wodą. On strząsa krople z członka. Zapłacę ci, woła za nią,

dam ci sto lei, naszczam ci do ust.

Adina stoi na moście, on wolno idzie w przeciwnym kierunku, w kierunku, z którego przyszedł. Nogawki jego spodni trzepoczą, jego nogi są chude. Idąc często podnosi rękę do twarzy, je ziarna słonecznika. Jego plecy są wąskie.

Idzie jak spokojny człowiek.

Jak to było z tym biednym Rumunem, który idzie do piekła, zapytał, ja powiedziałem, nie wiem. Powiedział, że trzy tygodnie temu jeszcze wiedziałem. Potem powiedział, że ja, tak można z tego wszystkiego wnioskować, że

ja jednak myślę, że biedni idą do nieba, a nie do piekła.

To

jest przecież sprzeczność, powiedział. Otworzyłem szufladę, bo jestem przeziębiony, szukałem mojej chusteczki

do nosa, a on powiedział, że mam zamknąć szufladę.

Zapytałem, dlaczego, a on powiedział, że w szufladzie przecież mogłoby być coś, czego on nie powinien zobaczyć.

Powiedziałem, to jest biuro, a on powiedział, po czterech i pół roku każda szuflada staje się prywatnym miejscem.

Zaśmiałem się i powiedziałem, że nie wiedziałem, że jest

taki dyskretny. Potem on powiedział, że jest z zawodu adwokatem i jest dobrze wychowany. A więc, co widzi biedny Rumun w piekle, zapytał. Potem sam opowiedział cały

dowcip: biedny Rumun umiera i idzie do piekła, a tam panuje tłok i wszyscy stoją aż po brodę w gorącej smole. Diabeł pokazuje biednemu Rumunowi ostatnie wolne miejsce w kącie, i biedny Rumun staje na tym miejscu i pogrąża się po brodę. Ale na środku, koło fotela diabła, stoi ktoś tylko po kolana w smole. Biedny Rumun wyciąga szyję i rozpoznaje Ceausescu. I pyta diabła, gdzie tu

jest sprawiedliwość, on ma więcej grzechów niż ja. Tak, ale on stoi na głowie swojej żony, mówi diabeł.

Śmiał się i śmiał. Potem zauważył, że się śmieje i jego spojrzenie stało się ostre, skulił ramiona, a jego znamię na tętnicy szyjnej zadrgało. Nienawidził mnie, bo się roześmiał. Jego ruchy stały się pośpieszne, jego ręce były jak nóż i widelec, wyjął kartkę papieru z aktówki i położył na stół długopis. Pisz, powiedział.

Wziąłem długopis, a on wyglądał przez okno na dziedziniec

fabryczny i dyktował. JA, a ja zapytałem, JA czy PAN, a on powiedział, napisz JA i twoje nazwisko. Moje nazwisko wystarczy, powiedziałem, przecież to jestem JA.

Krzyknął, pisz, co ci mówię, a potem zauważył, że krzyczy, chwycił się za podbródek, ścisnął kąciki ust między kciukiem i palcem wskazującym i powiedział cicho,

napisz JA i twoje nazwisko. Napisałem, NIE POWIEM ŻADNEJ OSOBIE, NIEZALEŻNIE OD TEGO, JAK

BARDZO MI BLISKIEJ, ŻE JESTEM WSPÓLPRACOWNIKIEM.

Odłożyłem długopis i powiedziałem, tego nie mogę napisać. On zapytał, dlaczego, ja powiedziałem, nie mógł-

bym z tym żyć. Ach tak, powiedział on, jego skronie się ruszały, ale jego głos dalej był spokojny. Wstałem i odszedłem od stołu, stanąłem przy oknie i popatrzyłem na

dziedziniec, nie chcę, żeby w przyszłości niepokojono mnie w fabryce, powiedziałem. No dobrze, powiedział, myślałem, że chcesz mieć popołudnia dla siebie. Włożył długopis do marynarki, zmiął papier i kulkę schował do aktówki. Otworzył aktówkę do końca, a ja zobaczyłem w niej zdjęcie. Nie widziałem go dokładnie, tylko ścianę. Wiedziałem, że znam tę ścianę. Myślisz, że będziemy za tobą chodzić, powiedział, jeszcze sam do nas przyjdiesz. Zatrzasnął aktówkę, potem trzasnął drzwiami.

Kiedy poszedł, zobaczyłem na tej ścianie mojego ojca, z zapadniętymi policzkami i dużymi uszami. To ostatnie zdjęcie ojca, jakie moja matka dostała.

Jak on się nazywa, pyta Adina, i Paul mówi, MURGU, a Abi mówi, PAVEL MURGU. W jakim wieku, pyta Adina, a Paul mówi, trzydzieści pięć, czterdzieści pięć.

On

jeszcze nie ma czterdziestu pięciu, mówi Abi.

Kawiarnia jest ciemna, zasłony na ścianach okien ciemnoczerwone, obrusy są ciemnoczerwone i pochłaniają resztki światła. A płaszcze i czapki są czarne. Żarówki palą się dla siebie, jaśniejszy jest dym, unosi się jak przebity mówieniem sen. W szparach między

zasłonami, za oknem nad rzeką, na pustych kamiennych płytach jest wieczorny dzień. Pnie depczą sobie po nogach, na nadbrzeżnej drodze kręci się wiatr, zgania razem suche liście, a potem znowu je rozpędza. Wędkarze są w kawiarni. Upijają się. Piją, aż wieczór w głowie nie da się oddzielić od rauszu. Z powietrza spada od czasu do czasu, gdy ich oczy przypadkiem spoglądają przez szybę, liść. I oni wiedzą, pochodzi z daleka, bo topole w wodzie są bezlistne, ich gałązki są wędkami. Wędkarze nie wierzą nagim topolom. Wiedzą, że wędkwi w górze pozostają tym, czym głowy wędkarzy są na dole. Topole w zimie zabraniają szczęścia, mówią wędkarze, nagie topole pożerają szczęście przy picciu. Komu opowiadałeś ten dowcip, pyta Paul. Gdybym to jeszcze wiedział, mówi Abi. Wędkarz, który boi się arbuzów stawia sobie pół butelki wódki na głowie. Wyciąga ramiona na boki jak skrzydła, z butelką na głowie okrąża stół. MURGU odczytał mi oświadczenie, mówi Paul, że przy twarzy bez twarzy chodzi o Ceaucescu. Powiedział, że to twoje. Nie uwierzyłem mu. Potem pokazał mi kartkę, to było twoje pismo. On dyktował, mówi Abi, a w pokoju obok jakiś mężczyzna krzyczał, słyszałem ciosy, napisałem wszystko. To było z magnetofonu, mówi Paul i patrzy na Adinę. Ona patrzy między ich twarzami w pustkę. A w pustce twarz Abiego ma zapadnięte policzki i duże uszy. To nie było z magnetofonu, mówi Abi, nie wierzę. Kiedy pozwolili mi odejść, było po północy, mówi. Zszedłem po schodach. W budce portiera o telefon było

oparte lusterko wielkości dłoni, koło niego stała popielniczka z wodą i pędzlem do golenia w środku. Portier miał białą pianę na twarzy i brzytwę w ręce. Nie wierzyłem własnym oczom. Szukałem na jego szyi znamienia. Dopiero, kiedy stanąłem przy nim, a portier odjął brzytwę policzka i krzyknął, przeciąg, zamknij drzwi, zrozumiałem, że on się goli. Po ulicach nikt już nie chodził, było ciemno jak w worku, mówi Abi, przed swoimi butami widziałem ciągle białą pianę. Potem przyjechał pusty tramwaj z jednym wagonem i jasnymi oknami. Konduktor jechał sam i miał białą pianę na twarzy, nie mogłem wsiąść. Wędkarz, który boi się arbuźów podnosi butelkę do ust, nie pije, zamyka oczy i całuje otwór butelki. Potem nuci piosenkę, oczy wędkarzy rozplývają się w rauszu, a rausz rozplýwa się w dymie. Za oknem bije zegar na katedrze, kto wie, ile razy, krócej niż wymruczana piosenka, nikt nie liczy, Adina też nie. Komu opowiedziałeś ten dowcip, pyta Paul. A w nocy mi się śniło, mówi Abi, że w obcym mieście szukałem grobu. Zaprowadzono mnie na kamieniste podwórko. Tylny mur to była ściana, o którą opierał się mój ojciec na ostatnim zdjęciu. Musiałem przeciąć białą wstęgę. Wielki gruby facet dał mi nożyczki, a mały gruby w białym kitlu stał obok mnie i wspinał się na palce. Powiedział mi do ucha, podwórko zostaje uroczyście otwarte. Potem mężczyźni przeszli obok jeden za drugim. Wszyscy byli

bardzo chudzi i mieli oczy jak szklane kule, nie było w nich spojrzenia. Mały gruby facet zapytał, widzisz go. Powiedziałem, tam go na pewno nie ma. Mały gruby facet powiedział, tego nie można wiedzieć, oni wszyscy już nie żyją.

Paul i Abi milczą, podpierają rękami głowy, swoje czaszki z nadszarpniętym rozumem. Tiratira tirata, nuci wędkarz, a jego usta są na każdej twarzy. Butelka wódki przechodzi z ręki do ręki dookoła stołu. Każdy wędkarz zamyka oczy i pije.

Jest wieczór w kawiarni, który w samym środku miasta odbiera sobie godzinę, jak od czasu do czasu, jak od niechcenia cień wielkości człowieka odbiera sobie w rzece życie. Jest zima w mieście, powolna, sędziwa, która swoje zimno wkłada w ludzi. Zima stoi w mieście, w której usta stygną, w której dłonie nieobecne to samo trzymają i upuszczają, bo czubki palców dłoni są jak skóra.

Zima stoi w mieście, w której woda nawet nie zamarza w lód, w której starzy ludzie noszą swoje minione życie jak płaszcze. Zima, w której młodzi muszą się nienawidzić jak nieszczęścia, kiedy między skroniami pojawi się

podejrzenie szczęścia. A jednak nagimi gałkami ocznymi szukają swojego życia. Zima chodzi tam nad rzeką, gdzie zamiast wody zamarza tylko śmiech. Gdzie jękanie jest już

mową, a głośny krzyk już na wpół powiedzianym słowem.

Gdzie każde pytanie w gardle cichnie i wciąż na nowo nieme i coraz bardziej nieme uderza językiem o zęby.

Wędkarz, który się boi arbuźów całuje szyjkę butelki i śpiewa:

Kiedyś przedtem, a nie teraz

Spałem ja, kutas mój nie

Ale teraz, ale teraz

Śpi mój kutas, a ja nie.

Tiratira tirata.

Znamię

Ciemność jest zamknięta na klatce schodowej, pachnie gotowaną kapustą. Nie znajduje, choć drzwi bloku są otwarte, przepływu powietrza. Na pierwszych schodach ciężko wisi wokół nóg. Tak ciężko, że nawet kółko latarki zaczepia się o barierkę i bez jednego dźwięku przeskakuje przez barierkę na ścianę. Buty stukają w głowie. Na pierwszym piętrze jest suszarnia, trochę światła

z zewnątrz pada na białe pieluchy. Zsyp obok jest szary, jak rękaw z materiału. Na drugim piętrze stoi bezlistne geranium w plastikowym wiaderku. Pachnie pleśnią i gotowaną kapustą. Adina nie chce go dotknąć, przysuwa się bliżej barierki schodów. Na trzecim piętrze skrzypią buty. Nogawki schodzą w dół po schodach, jaśniej majaczy koszula. Adina podnosi wyżej latarkę. Blade koło przeskakuje na ramię mężczyzny. Pół jego twarzy, oko, ucho, biały koniec kołnierzyka. Między kołnierzykiem a uchem jest oświetlone znamię. Kant jego

nosa, kółko latarki załamuje się na jego podbródku.

Tamte dwa orzechy, myśli Adina, i ten mężczyzna, który zgniótł jeden orzech o drugi w dłoni, a jego głos zapytał, jak się nazywasz, jest już na drugim piętrze, idzie i pozostaje z tyłu za sobą w głowie Adiny. To było

lato, co teraz zrobimy, zapytał. I to on opowiadał dowcip o biednym Rumunie. Jego zamię drgało na tętnicy szyjnej, mówił Abi.

Na czwartym piętrze dzwoni dzwonek, Adina cofa palec wskazujący, dzwonek milknie, wiem, co wiem, powiedziała Clara, a drzwi skrzypią i włosy Clary stoją rozczochrane w drzwiach.

Wtedy Adina przyciska skrzydło drzwi do policzka Clary i jej włosy cofają się o krok, stoją za otwartymi drzwiami. Jak gdyby włosy były częścią drzwi, Adina mija je, idzie prosto przez przedpokój. Drzwi do kuchni są otwarte, pachnie kawą.

Dwie filiżanki na tacy, dwie łyżeczki, ziarenka cukru rozsypane na nocnej szafce. Łóżko jest nieposłane, wzorek na adamaszkowej poduszce, jak szepty tchnące z ust.

On był u ciebie, mówi Adina, ten facet, przed chwilą na klatce schodowej, to był Pavel. Clara podnosi włosy, tak, mówi, jej ucho rozpalone do czerwoności stoi przy policzku pod jej szczupłymi palcami, jej włosy, rozczochrane, zwieszają się wokół oczu, widujecie się tak rzadko, mówi Adina, a rzadko to codziennie. Jej oddech po-

pędza każde słowo, wiem, dlaczego go ukrywasz, mówi, nie okłamuj mnie, twój adwokat jest w tajnej służbie. Pod ramieniem Clary na oparciu krzesła wisi ręcznik, a jej szczupłe palce zapinają bluzkę, białe okrągłe guziki, kłamiesz, nawet wtedy, kiedy milczysz, mówi Adina. W wazonie stoją czerwono napęczniałe goździki, ich łodyżki stykają się, woda wokół liści jest mętna. Nie mogłabym zrobić niczego, co by ci zaszkodziło, mówi Clara, on też nie. Na maszynie do szycia leżą

rajstopy, Adina trzyma się ręką za brodę i idzie do kuchni.

Clara stoi oparta o lodówkę, stawia palec wskazujący na ustach, Pavel to dobry człowiek, mówi z zamkniętymi ustami. Garnek do kawy stoi krzywo na ruszcie, kuchenka jest pokapana, Pavel przyrzekł, mówi Clara, on wie, że

mogę go kochać tylko wtedy, kiedy tobie nic się nie stanie. Ścierka do naczyń leży zwinięta na stole. A lis, mówi

Adina, czy powiedział ci, dlaczego tną lisa. On cię pieprzy na zlecenie, chciał mieć nas obie, mówi, jedną w lecie, drugą w zimie, on ma, kiedy wstaje rano, dwie myśli

w głowie, jak dwoje oczu - dla mężczyzn twardnieje mu pięść, dla kobiet kutas.

Naprzeciwko w oknie bloku wisi aksamitna spódnica, u góry jest czerwona i sucha, u dołu jest czarna od wody, a z obrębu nieprzerwanie kapie. A inni, mówi Adina, czy obiecał, ten twój dobry człowiek, że ich będzie chronił.

Clara zagryza wargi, omija wzrokiem Adinę i patrzy prosto w okno, ty go nie znasz, mówi, przygląda ręką włosy na głowie.

I z takim chodzisz do łóżka, mówi Adina. Cukiernica jest otwarta, przy brązowych plamach kawy cukier jest twardy jak kamień. W drzewie za oknem wieje wiatr, przecież ty go nie znasz, mówi Clara, pognieciona zielona piłka tkwi w rozwidleniu gałęzi. Ciebie nie znam, mówi Adina, pognieciona zielona piłka wytrzymuje już drugą zimę, ta, którą znam, to nie ty, mówi Adina, myślałam, że cię znam. Palce stóp Clary są podwinięte.

Niebieskimi kostkami przy kolanach zimno płytek
wpełza

do góry do brzucha, ty sypiasz z przestępcą, krzyczy
Adina, jesteś taka jak on, nosisz go na twarzy, słyszałaś,
jesteś jak on. Clara ogrzewa zimną stopę o drugą, nie
chcę cię więcej widzieć, krzyczy Adina, nigdy więcej. Jej
ręce wymachują na oślep, jej oczy są szeroko otwarte, jej
spojrzenie jest myśliwym, wyskakuje z oczu i trafia. To,
co wykrzykują wilgotne usta, pali żarem na języku. Jej
gniew jest nienawiścią i jest tak czarny jak jej płaszcz.
Zostań, mówi Clara, Adina strząsa z płaszczu szczupłe
palce, które chcą ją złapać, wrywa rękaw. Nie dotykaj
mnie, krzyczy, nie mogę patrzeć na twoje ręce. Włosy
Clary zostają w kuchennych drzwiach. Przedpokój nie
pozwala stopom na żaden krok. Drzwi mieszkania się
zatrząskują.

Schody biegną do góry wzdłuż ściany, latarka wy-
rzuca światło. Adina trzyma się na trzecim, na drugim
piętrze ręką przesuwającą się po poręczy. Zsyp łomocze,
Adina słyszy, że coś spada w rurze, coś spada w głowie.
Dwoje schodów później na dole roztrzaskuje się szkło.
Kiedy stojąc pod drzewem zadziera się brodę i patrzy
do góry, pognieciona zielona piłka w rozwidleniu gałęzi
jest tak mała i ciemna, jakby tam wysoko nie było nic,
tylko jeszcze raz oko. Płaszcz przechodzą obok, zamiast
ludzi w tych płaszczach jest listopad. W swoim drugim
tygodniu jest już tak posepny i stary, że już rano
przychodzi wieczór.

Moja matka zawsze była moją babką, powiedziała
Clara, ale nie pod względem wieku, tylko tego, jak
traktowała swoje lata. Kiedy zaczęła się starzeć, mówiła
Clara, byłam jeszcze dzieckiem. Przyciskała mnie mocno

do
siebie i mówiła mi do ucha, gdzie jesteś, moja dziecino,
jesteś tak daleko. Kiedy zaczęła się starzeć, jej mąż
zaczął trzymać się młodo, mówiła Clara, był przy niej
coraz
młodszy. Jakby tylko na to czekał, jej kosztem
oszczędzał
swoją skórę. Jakby moja matka wiedziała także za niego. Ja
nie chcę się taka stać, mówiła Clara, tak nie powinno
być.
Potem się pośpieszył. Co przy niej było jego siłą, stało
się potem słabością. Lato przyszło do miasta i było dla
niego jakby pierwszym latem. Nie mógł wytrzymać tego
pierwszego lata bez niej i umarł zaraz za nią.
Brama stadionu jest otwarta. Na parkingu czekają
policjanci i psy. Mężczyźni przepychają się przez bramę,
śpiewają i krzyczą. Na stadionie w świetle rumuńska
piłka wleciała przeciwko Duńczykom. Mecz piłkarski
jest
wygrany. Z nasypu stadionu światło bije w niebo, jak
gdyby księżyc zabłądził. Cóż znaczą ci Duńczycy, ręce
mężczyzn niosą trójkolorową flagę, trzy własne paski.
Głodnoczerwony, niemożółty i niebieskostrzeżony
strzęp w odciętym kraju. Kto słyszał o Duńczykach, usta
mężczyzn mówią o świecie i mistrzostwach świata, ich
pieśni podpełzają w górę do gardła, jak krzewy na
nasypie stadionu. Czego szukają Duńczycy w tym kraju,
długodystansowiec stoi obojętny. Kiedy panuje szal
radości,
jest sam ze sobą. Wtedy jest obcym.
Obudź się, Rumunio, ze swego wiecznego snu, śpiewa
stary człowiek. Pieśń jest zakazana, mężczyzna staje na

krawężniku, widzi mordę psa i buty policjanta, śpiewem ucieka przed strachem, tak wysoko podnosi podbródek. Jego ręka przytrzymuje futrzaną czapkę. Zrywa ją z głowy, wymachuje, rzuca na ziemię i staje na niej butami.

I depcze i depcze i śpiewa, aż w pieśni słyhać jego podeszwy. A ta pieśń jest zakazana, pieśń pachnie wódką. Flagi w górze są oszalałe, głowy mężczyzn pod nimi pijane,

buty pogubione. Flagi wychodzą razem z mężczyznami na ulicę naprzeciwko w noc.

Głos starego mężczyzny się urywa. Mój Boże, mów przy bezlistnej akacji, czym moglibyśmy być na świecie, a nie mamy chleba do jedzenia. Policjant podchodzi do niego i pies, jeszcze jeden policjant. Wtedy on podnosi ramiona i krzyczy do góry w niebo, Boże, wybacz nam, że jesteśmy Rumunami. Jego oczy błyszczą w skąpym świetle, w kąciку śpieszy się błysk. Pies wyje i skacze mu

do gardła. Dwóch, trzech, pięciu policjantów odnosi go na bok.

Parking podnosi się i opada, razem z nim naga akacja. Ulica rzuca swoje kroki na jego twarz. Parking staje na głowie. Niebo na dole jest Dunajem, asfalt jest w górze nocą. W wywróconym na lewo spojrzeniu, tam pod nasypem, w górze na niebie w odciętym kraju białe światło otula miasto.

Głowa mężczyzny wisi bardzo nisko.

Zabawa w osy

W twarzy dziecka z szeroko rozstawionymi oczami

i wąskimi skroniami już rano widać plamę samotności. Dziecko siedzi między dwojgiem innych dzieci w ławce, i siedzi samo. Gałki jego oczu są czerwone, brązowe kręgi

wewnątrz wyblakłe.

Dwa razy w czasie lekcji Adina ma ochotę wezwać to dziecko do tablicy. Widzi w jego oczach, które przechodzą przez okno, że myśli nie zatrzymują się za szybą. To

spojrzenie, które ma dużo do przemyślenia. Potem Adina wzywa do tablicy dziecko, które siedzi przed nieobecny dzieckiem. A potem dziecko, które siedzi obok nie-

obecny dziecka. Oczy przy wąskich skroniach dziecka odeszły tak daleko, że tego nie zauważają.

Po lekcji dziecko siada na parapecie i ziewa. W nocy było z matką za katedrą, dwie ulice za mostem, mówi dziecko. Tam mieszka węgierski ksiądz, wielu ludzi tam było modlić się i śpiewać. Nawet policjanci i żołnierze też tam byli, nie modlili się i nie śpiewali, tylko patrzyli. Było zimno i ciemno, mówi dziecko. Kiedy człowiek się modli i śpiewa, nie marznie, powiedziała moja mama.

Dlatego ci ludzie nie marzli. I dlatego, że ich twarze i ręce były jasne od płonących świec. Moje ręce też, mówi dziecko. Kiedy się trzyma świecę przed brodą, świeci przez szyję i przez rękę. Dziecko przyciska swoją dłoń z rozczapierzonymi palcami do szyby. Policjanci i żołnierze marzli, mówi dziecko. Adina widzi szare łańcuchy kurzajek na palcach. Topole stoją ostre i nagie w niebie. Moja mama mówi, że wszędzie, gdzie nie ma nikogo, może ktoś być, jak w lecie czasem cienie są tam, gdzie nie ma niczego i nikogo, mówi dziecko. Moja

mama powiedziała, że to są szuflady, których nie widać i nie można ich otworzyć. Te szuflady są w pniach drzew, w trawie, w płocie, w ścianach, powiedziała mama. Dziecko obrysowuje kredą trzymaną w prawej dłoni swoją lewą rękę na szybie, w tych szufladach jest zawsze ucho, powiedziała moja mama. W miejscu, skąd dziecko odrywa dłoń od szyby, zostaje na szkłe zielony kontur przezroczystej dłoni. Ucho nasłuchuje, powiedziała mama. Kiedy ktoś nas odwiedza, mama zawsze

wstawia telefon do lodówki, mówi dziecko. Śmieje się, śmiech ulatuje z twarzy. Pochyla głowę i opiera ją na dłoni, w której trzyma kredę. Ja nigdy nie wstawiam telefonu do lodówki, mówi dziecko.

Dziecko maluje zielone paznokcie na przezroczystych palcach. Tam, gdzie zarys palców jest nieostry, kreda maluje zielone kurzajki pod paznokciami.

Niebo jest szare, to nie jest kolor, bo wszystko jest szare. Bloki naprzeciwko są szare, inaczej szare niż dzień, inaczej bezbarwne.

Pani nie ma kurzajek, towarzyszko, mówi dziecko do Adiny. Kiedy jest się dorosłym, kurzajki giną, przechodzą

na dzieci. Moja mama powiedziała, kiedy kurzajki giną, przychodzą zmartwienia.

Ciepła para wydobywa się z ust dziecka. Nie widać jej. Na dworze, pod ostrymi topolami, byłoby ją widać. Po chwili wisiałaby w milczeniu w powietrzu. I sama siebie unosiła w dal. Można by było widzieć w powietrzu, co powiedziały usta. To niczego by nie zmieniło. Nawet to, co można by zobaczyć w powietrzu byłoby tylko dla siebie i nie istniałoby. Jak wszystko na ulicach jest tylko

dla siebie i nie istnieje, miasto tylko dla siebie, ludzie w mieście tylko dla siebie. Tylko to rozplątane zimno jest dla wszystkich, a nie miasto.

Na przezroczystych palcach na szybie wiszą zielone jagody.

Orszak weselny jest mały. Idzie z tyłu za traktorem, za orkiestrą. Przy pierwszej ulicy za nasypem stadionu jest Dom Młodzieży, w nim jest Urząd Stanu Cywilnego. Obok orszaku idzie sześciu policjantów. Sami się zaprosili, wesela są zabronione, powiedzieli, bo zgromadzenia są zabronione.

Brama stadionu jest zamknięta, Duńczycy są z powrotem w domu, ale pieśń, zakazana pieśń rozeszła się po świecie, nie zamilkła w mieście.

W nocy psy szczekały, wszędzie na ulicach i bliżej niż zwykle w bezśnieżną zimę, kiedy noc leży sama przed sobą. Kiedy noc już dawno się rozwinęła, aż tylko zimno trzymało ją w mieście, ludzie jeszcze chodzili po ulicach. Było później niż najpóźniejszy powrót do domu.

Chodzili

z latarkami na przełaj przez ulice. I tam, gdzie się zatrzymywali, latarki gasły, a na palce kładły się płomienie zapalek. Potem płonęły świece.

W drodze do domu Adina idzie za sobą. Na zakręcie, przy grubym zardzewiałym zwoju drutu, smuga rdzy pełnie przez drogę. Marznąc i tając, jeśli nie spadnie śnieg, drut powoli się rozpląwa. Pies OLGA czeka przed drewnianym barakiem, zielone jagody jarzą mu się w oczach. OLGA, mówi głośno Adina. W głowie psa jest szuflada, nie da się jej otworzyć. Dzień jest zamknięty w tej czaszce. Powraca na miejsce w tym

nocnym

szczekaniu. Droga zna siebie samą, nie ma odległości.

Kroki chwieją się i zawsze są równe.

Potem buty się śpieszą, głowa jest pusta, nawet jeśli

w głowie siedzi lis. Lis zawsze siedzi w głowie.

ilekroć Adina z ulicy wchodzi do mieszkania, zimno

w czubkach palców wywraca się i parzy, bo Adina

zagląda do łazienki. Potem jej but odsuwa ogon i dwie

łapy od

skóry. Codziennie.

W muszli klozetowej pływa niedopałek papierosa.

Jeszcze nie napęczniał. Adina stawia but na przedniej ła-

pie. Prawa przednia łapa odsuwa się razem z czubkiem

buta, zostawia kark na miejscu.

Rytm serca tłucze się w ustach, a jej palce przykładają

odcięte miejsca dokładnie do tułowia.

Pavel mógł być świadkiem na ślubie, ale od czasu

Duńczyków ludzie nie odłożyli swoich flag, nocami nie

idą do domów. Pavel dyżuruje dzień i noc, jak

powiedział.

Gdzie mieszkają ci Duńczycy, ich piłka jest zaklęta, ich

cienka skóra nie zna słońca. Oni mieszkają tam wysoko,

gdzie kula ziemską się schodzi. Tak wyglądają,

powiedział Pavel.

Klarnety rozrywają weselną pieśń, skrzypce podtrzymują

cienką nitkę tylko między blokami, gdzie w wą-

skich przejściach stoi echo. Akordeon rozkłada się i

składa w rytm kroków. Clara wyciąga cienkie obcasy

szpilek

ze szczelin w asfalcie. Goździk jest ułamany, w butonier-

ce tkwi tylko łądyżka.

Przed traktorem wisi żółty czerpak koparki. Z przodu

gliniaste zęby. Młoda para stoi w czerpaku. Welon trzepocze, na wybojach drżą białe goździki panny młodej.

Jej białe rękawy są ubrudzone gliną. Karzeł ma na sobie czarny garnitur i białą koszulę i czarną muszkę. Przy jego nowych butach obcasy są tak wysokie, jak dwie przełamane cegły. Grigore nosi wielki kapelusz, portierka chustkę na głowie z czerwonymi jedwabnymi frędzlami. Portier niesie w ręce wieniec z ciasta. Jego oczy są wilgotne, śpiewa:

Młodość swą już pożegnaj

Teraz zawsze piękny maj

Panną młodą jest Mara. Dwa lata czekała na ten dzień, a teraz zgromadzenia są zakazane.

My się żenimy, my nie uprawiamy polityki, powiedział pan młody.

Ugryzienie na nodze Mary od dawna już jest wygojone.

Tygodniami pokazywała je co rano w biurze. Najpierw było czerwone, potem stało się większe i niebieskie.

Kiedy zabarwiło się na zielono, było największe.

Zęby wyrosły i weszły w skórę. Potem stało się żółte, postrzępione, skurczyło się i zniknęło.

Mara miała problemy ze swoim narzeczonym. Chciał zerwać zaręczyny. Musiała co wieczór pokazywać mu tę plamę, i on się do tego przyzwyczaił. Ale jednak nie wierzył, że to było ugryzienie dyrektora. Mówił, gdybym tylko wiedział, że to nie są zęby GRIGORE.

Gęsi śnieżyce żywią się śniegiem, który nie przychodzi.

Nie tutaj. Wykręcają szyje i otwierają dzioby. Krzyczą. Zataczają się na płaskim podłożu. Nocny przymrozek

puścił, gęsi rozkładają skrzydła, rozpędzają się ciężko. Kiedy rozpinają błony pławne, wzbijają się w powietrze. Tuż nad trawą powietrze trzepocze, potem przelatuje nad drzewami, jakby w nagim lesie szumiały liście.

W górze, w locie, gęsi formują się, zrzucają ze skrzydeł równinę, pola i kukurydzę. Nie ma śniegu, ale gdzie raz przeleciały, obszar pozostaje zasznurowany w ich trasy, jest białą kulą. A w dole na ziemi stoi przyrośnięte czarnozielone wzgórze. Pióra długo lecą za nimi.

Wrony zostają w lesie, bo jest czarny. Gałęzie udają martwe.

Żołnierze grają w osy. Stoją w kole. W środku stoi komar z dłonią kciukiem przystawioną do skroni, palce trzyma razem wyprostowane. Głowa jest odwrócona, między palcami nie może być szczeliny. Zasłaniają widok. Wszystkie osy brzęczą wokół komara, jedna żądli. Komar musi zgadnąć, która osa go użądliła. Jeśli komar musi długo zgadywać, zostaje całkiem pogryziony.

Komar się zastanawia, komar się boi. Dłoń jest mocno przy-

ciśnięta do skroni, uderzenie w rękę boli. Przy każdym użądleniu komar pada na ziemię. Tyle razy, że nie może już ustać na nogach. Tak długo i dłużej. Wargi os drżą i brzęczą. Komar musi przyglądać się wszystkim osom, musi zgadywać na stojąco.

Kiedy komar już nie może utrzymać się na nogach, może zostać osą.

Ale za każdym razem komar po ostatnim użądleniu leży w błocie i się nie rusza. Oficer ze złotym zębem dotyka go czubkiem buta. Kiedy tamten wstaje, ma sińce wokół oczu i bolą go wszystkie kości, gdy zostaje osą. ilije ma szczęście, dzisiaj nie musi być komarem.

W lecie mój syn w każde niedzielne popołudnie dostaje ode mnie dziesięć lei, mówi oficer. Jego oczy wiszą na niebie, patrzy za gęsiami śnieżycami, w górach leży śnieg, mówi, zmieniają kierunek.

Przełyka ślinę. Mój syn, mówi, zakłada swoje białe sandały, nie wypuszczając banknotu z dłoni. Ja idę do kawiarnianego ogródka i piję piwo, a mój syn biegnie z moją legitymacją za róg do partyjnego bufetu, on tak lubi tort. Oficer mlaska swoim złotym zębem, torty leżą w gablocie, a gablota jest tak wysoka, że jeszcze zeszłego lata sięgała mojemu synowi ponad oczy. On dużo

urósł, mówi oficer, następnego lata będzie ją już lepiej widział. Najbardziej lubi torty z jasnozieloną polewą, mówi. Pszczoły sprawiają, że ciasto jest słodkie, mówi za każdym razem kucharz do mojego syna, bo mój syn jest strachliwy, zasłania sobie oczy.

Oficer dmucha, jego oddech jest szary w powietrzu, na polowie malinowej siedzi najwięcej pszczół, mówi. Ręka kucharza każdego lata jest opuchnięta od użądleń os. Obrzmienia są nieprzyjemnie niebieskie. Kiedy kucharz obsługuje klientów, musi narzucić na rękę białą ścierkę. Tak jest, mówi oficer, pszczoły każdego lata krążą w ogródku wokół piwa, nie żądają. Jego złoty ząb błyszczy. Do tortów w partyjnym bufecie przylatują tylko osy, mówi.

Ilije spogląda na czarnozielone wzgórze i czuje przez długość spojrzenia, że ta twarz jest bardzo blada, a złoty ząb jest żółtym dziobem. Dziobem gęsi śnieżycy.

Kiedy czołg już od tygodni stoi koło lasu, kiedy rów strzelecki już od kilku dni jest gotowy, kiedy oficer ze złotym zębem ma dość połowy pory roku w koszarach

i brzydzą go worki z piaskiem na podwórzu, kolumna maszeruje do gry w osy przez połamaną kukurydzę na polną drogę, przez wzgórze.

Gęsi śnieżyce zataczają się na ziemi. Przynoszą, kto wie, skąd, ze sobą zimno, krzyczą i składają skrzydła. Latają zawsze bardzo daleko. Tam jedzą śnieg, zawsze wracają, nie jedzą trawy ani kukurydzy. Kiedy nie latają, stoją tylko i patrzą w górę na niebo i unikają lasu. Zabawa w osy to dobra odskocznia, to piękna walka, mówi oficer. On nie gra, nadzoruje grę. Reguły gry błyszczą na jego złotym zębie. Odwrócić się, mówi do koma-
ra. A teraz brzęczeć, mówi do os. Każe im brzęczeć, jak długo chce. Żądlić, żądlić, krzyczy, ale porządnie, nie jak pchła.

Wyciekające miasto

Kobieta o kasztanoworudych falujących włosach myje okna. Koło niej stoi wiaderko z parującą wodą. Wyciąga szarą ociekającą wodą ścierkę z wiadra, zdejmuje szarą mokrą ścierkę z parapetu, potem białą suchą ze swojego ramienia. Potem schyla się i w ręce trzyma pogniecione gazety. Szyba lśni, jej włosy rozdzielają się na dwa skrzydła, stoją otwarte w szybie. Zamyka oba skrzydła okna i zamyka swoje włosy.

Petunie są czarne od mrozu, łodygi i liście to czarna płatanina. Kiedy zrobi się cieplej, odtajałe petunie będą się kleiły do siebie.

Dopiero kiedy słońce przez dwa tygodnie lekko ciepłymi zębami zatrzymuje się nad stadionem, kobieta kupuje na targu nowe białe petunie. Są zawinięte w gazetę, kiedy przy ręce kobiety stoją na parapecie

okiennym. Potem kobieta wrywa czarne zielsko z ziemi. Wielkim nożem wydłubuje głębokie korzenie, wielkim gwoździem spulchnia ziemię. Gdy po kolei wyjmuje nowe petunie z gazety, ich korzenie są krótkie i z włosów. Gwoździem wywierca dziury w ziemi i wkłada włosy do dziur. Zatyka dziury palcami. Potem podlewa nowe białe petunie, aż przez dwa dni ze skrzynek kapie woda.

Pierwsza noc prostuje świeżo posadzonym petuniom łodyżki i liście, tak że w miejscu, gdzie falujące włosy rano stoją w oknie, już ich nie widać. Dzień grzeje, petunie kwitną dla siebie. Plamy zimy pełzną pod białymi petuniami codziennie dalej w dół. Pełzną pod miasto.

Topole i akacje lśnią zielono swoją nagą korą, zanim pojawią się liście. Potem zimno znika, i nic nie jest przykryte. Wtedy dyktator wsiada w helikopter i lata nad krajem. Nad równinami, nad Karpatami. Stare męskie kości stoją w górze tam, skąd wieje wiatr i wysusza z pól zimę.

Gdy jakieś jezioro polodowcowe błyszczy przy jego skroni, powiedziała Adinie córka służącej, wyciąga rękę. Zgina starcze nogi i mówi, to jezioro musi zostać osuszone, bo w wodzie nie rośnie kukurydza.

W każdym mieście ma dom. Miasto przed lądowaniem zbiega się przy jego skroni. Gdzie wyląduje, tam będzie nocował. Tam, gdzie nocuje, ulicami powoli przejeżdża autobus, którego okna są zabite deskami. W środku są klatki z drutu. Autobus zatrzymuje się przed każdym domem, bo z każdego domu zabiera się i wywozi koguty i psy. Tylko światłu wolno zbudzić dyktatora, powiedziała córka służącej, pianie kogutów i szczekanie

psów sprawia, że staje się nieobliczalny. Mogłoby się zdarzyć, że jego starcze nogi w samym środku miasta, w drodze na operowy balkon, skąd ma wygłosić przemówienie, nagle się zatrzymają. Że na chwilę zamknie oczy, bo o świcie kogut zapiał w jego sen, pies zaszczekał. Że, kiedy otworzy czerń w oku, a opera dalej tam stoi, wyciągnie rękę i powie, trzeba zburzyć operę, bo tam, gdzie stoi opera, nie może stać blok mieszkalny.

On nienawidzi opery, mówiła córka służącej. Żona oficera słyszała od żony oficera ze stolicy, że on raz był w operze. Że powiedział, pełna scena ludzi, pełna scena instrumentów, a prawie nic nie słychać. Jeden gra, reszta tylko siedzi, powiedział. Wyciągnął rękę. Następnego dnia orkiestra została rozwiązana.

Dyktator każdego ranka zakłada nową bieliznę, mówiła córka służącej. Nowy garnitur, nową koszulę, nowy krawat, nowe skarpety, nowe buty. Wszystkie rzeczy są zafoliowane w przezroczyste worki, powiedziała żona oficera ze stolicy, żeby nikt nie mógł ich zatruć. W zimie każdego ranka nowe baterie grzewcze, nowy płaszcz, mówiła córka służącej, nowy szalik, nowa czapka futrzana albo nowy kapelusz. Jakby wszystko, co nosił poprzedniego dnia, zrobiło się za ciasne, bo podczas nocnego spoczynku władza rośnie.

Jego kurcząca się twarz staje się coraz większa na portretach, jego siwy lok nad czołem coraz bardziej czarny.

To, co nosił poprzedniego dnia, chodzi, kiedy jego starcze nogi śpią, jak ciemność po kraju. Ile czarnych futrzanych czapek w dzień, tyle nocy z białym księżycem,

mówiła córka służącej.

Bo kiedy w dzień na jego włosach była futrzana czapka, w nocy nie świeci żółty księżyc. Najwyżej biała połówka, z szeroko otwartymi ustami, z jednym kącikiem ust, który nie może się domknąć i wycieka do miasta.

Księżyc, który każe psom wyć, a ich spojrzenie, płonące, wciska głęboko w głowę, kiedy na wieży katedry dzwon zdobędzie się na dwanaście uderzeń. Księżyc z policzkiem na twarzy, który opiera się tuż przy drodze do domu. Nocny rozbójnik, szpara w ciemności za ostatnim tramwajem.

Tam, gdzie w nocy wysiada człowiek i nigdy nie dociera do domu, rano leżą kamienie.

Przed oknem przez chwilę stoi przesmyk wieczoru jak późne światło. Podłoga jest ciemna, lis jest jaśniejszy, wyciąga na boki odcięte łapy. Można by otworzyć okno. Gdyby zawiął wiatr, ściana zatrzepotałaby, można by ją było wgnieść palcem jak zasłonę, jak stojącą wodę. Ilije wie o tym, codziennie myśli o swojej równinie z wody, o swojej miękkiej drodze. Swoje źdźbło trawy zżuł i połknął, zjadł je. Zabrał swoje usta ze zdjęcia, do swoich policzków przystawił martwą plamę, której Adina nie może dotknąć palcem.

Adina zsuwa ręce ze stołu. Stół jest ciepły w miejscu, gdzie leżały jej dłonie. A na dole na podłodze, gdzie lis jest myśliwym, palce przykładają obcięte łapy do skóry. A potem, kiedy ręce na górze zagrzały stół, chwytają się za czoło. Ręce czują, że czoło jest tak samo ciepłe, ale jednak w odróżnieniu od stołu nie wie nic więcej o mieszkaniu.

Dzwonek krótko dzwoni kilka razy, długo. Mieszkanie się przestraszyło. Adina patrzy przez oko drzwi. Na

klatce schodowej, w uchu igielnym stoi Clara. Widzę
twoje
oko, mówi, otwórz. Adina odsuwa twarz, oko drzwi jest
wolne, potem zakryte okiem Clary. Jej pięść wali w
drzwi,
wiem, mówi, że jesteś w domu. Adina opiera się o
ścianę.

Na klatce schodowej sprzączki torebki Clary uderzają
o podłogę. Potem szeleści papier.

Przez szparę pod drzwiami wsuwa się do przedpokoju
kartka.

Adina czyta:

ARESztUJĄ LUDZI MAJĄ LISTY MUSISZ SIĘ
UKRYĆ

U MNIE NIKT NIE BĘDZIE CIĘ SZUKAŁ

Drzwi sąsiada otwierają się i znowu zamykają. Na
schodach stukają obcasy Clary. Adina czubkiem buta od-
suwa kartkę od drzwi. Schyla się, czyta jeszcze raz z
kolanami pod brodą. Zgniatą kartkę w kulkę, wrzucają do
muszli klozetowej. Kartka pływa, woda się kręci i jej nie
połyka. Potem ręka Adiny sięga do wody, wyjmując
kartkę,

wygląda ją, składa na pół, chowa do kieszeni płaszcza.

Drzwi szafy są otwarte. Torba podróżna na podłodze
jest otwarta. Koszula nocna leci, opada koło torby na lisa.
Sweter, spodnie wpadają do torby. Ręcznik, kłęb rajstop
i majtek, szczoteczka do zębów, nożyczki do paznokci,
grzebień.

Szpital zastawia koniec ulicy, wystawia małe oświetlone
okienka, łańcuch księżyców. Okna są bez dachu, nad
nimi bez przejścia jest doszyte niebo, bez jednej
gwiazdy. Samochód zatrzymuje się, w środku siedzą

dwaj mężczyźni. Przy przedniej szybie kołysze się dziecięcy bucik.

Reflektor zgina swoje światło na ziemię. Adina odwraca twarz. Gdy silnik milczy, można by usłyszeć przez płaszcz bicie jej serca. Promienie światła odcinają torbę od jej ręki. Mężczyźni wchodzą do szpitala.

Przed wejściem są schody, na prawo i lewo ziemia jest nisko, tam są krzaki. Adina wsuwa torbę pomiędzy krzaki. Są bezlistne. Jej ręka wzdryga się dwa razy, ale to tylko zapomniany liść, suchy i wilgotny. Torba stoi głęboko,

schody są wysokie, wiatr jest ciemny i cięższy od liści. Adina czeka bez rąk. Nie mówi portierowi swojego nazwiska, on mnie zobaczy, jak zejdzie, mówi. Portier telefonuje. Jej prawa dłoń czuje wilgotną kartkę w kieszeni płaszcza.

Portier przechadza się tam i z powrotem. Jego oczy patrzą przez szklaną ścianę, kawałek schodów, kawałek nocy i przebrzmiały dźwięk kładą się w jego spojrzeniu. Jego oko wytrzymuje to wszystko, bo zna lornetkę. Jego buty skrzypią. Przy kącikach jego warg dwie fałdy biegną do wnętrza ust. Lampa pod sufitem patrzy, zamiast

świecić. W oczach portiera krzaki są jaśniejsze niż na zewnątrz. Bo z oczu portiera patrzą dwa rozżarzone jądra,

w obu źrenicach stoją żarówki.

Paul schodzi w dół po schodach, jego biała czapeczka jest wielką petunią, połyka jego lewe ucho. Adina wkłada mu do ręki wilgotną kartkę. Papier jest zmięty, ma więcej zmarszczek niż jego wyprostowany kciuk.

Paul czyta, portier z przyzwyczajenia wsłuchuje się

w noc, jego spojrzenie jest ukradkowe, na zewnątrz wiatr podzwania metalowym szyldem. Zaczekaj w samochodzie, mówi Paul, jego białe płócienne buty stoją na

granitowej posadzce, wkłada Adinie dwa klucze do wnętrza dłoni, żeby nie dzwoniły, mówi, klucze są związane

białym sznurem z bandaża, policz okna na dole, mówi Paul, samochód stoi po prawej stronie przed dziesiątym. Zdejmij te białe buty, mówi Adina, wszędzie je widać, on spogląda na posadzkę, wiem, że na zewnątrz nie jestem lekarzem, mówi. Jego biały kitel jest z wapna, świeżo wy-

krochmalony i świeżo uprasowany.

Ręce już nie boją się krzaków. Nawet kiedy liście są w środku wilgotne i zeschnięte. Adina niesie torbę obiema rękami na brzuchu, żeby przy płaszczu nie była inna

niż płaszcz. Ale na drodze, której z powodu ciemności nie widać, stoi biała petuniowa czapka Paula, jego białe płócienne buty, jego biały kitel. Adina odlicza okna na dole, gdzie rozciągają się krzaki, widzi pomiędzy jednym oknem a drugim pojedyncze gałązki na wietrze, i widzi, że

Paul jest cukiernikiem, który uczy się na ciele ludzi. Jego oko powiększa wnętrze pod skórą, aż stają się zimne. Drzwi samochodu trzaskają. Torba stoi na tylnym siedzeniu. Adina zadaje sobie pytanie, gdzie schowały się małe nożyczki do paznokci między grubymi ubraniami w wielkiej torbie. Koło torby leży szalik Anny. Jakiś samochód zatrzymuje się przed wejściem. Z jego drzwi wy-

siadają dwaj policjanci i dwa psy. Węszą po asfalcie, czują kroki. Teraz Adina chciałaby siedzieć w samochodzie taka mała jak nożyczki do paznokci w torbie.

Paul wychodzi z jasnych drzwi, schodzi po schodach, jego buty są ciemne. Jak nocny stróż idzie wzdłuż krzaków, liczy okna. Ma na sobie spodnie jak ścieżka.

Puka w szybę, drzwi się otwierają, jego nogi są jego bagażem. Czego szukają ci policjanci, czego szukają psy, pyta Adina, on przekręca kluczyk i auto zaczyna mruczeć. Co noc przywożą rannych z granicy, mówi, prze-

ważnie nie żyją, jedziemy do Abiego, mówi, potem do Liviu na wieś.

Ulica biegnie, miasto jest napaństwem, stromym i czarnym, bloki są tak wąskie jak skronie. Koło kostnicy jest warsztat, mówi Paul, tam trumny zostają zaspawane i z policyjną eskortą odesłane do domu. Wtedy nikt już nie zagląda do środka, mówi Paul.

Okno w górze jest oświetlone. Paul nie dzwoni, tylko raz puka do drzwi, Abi otwiera, śmieje się i unosi do góry brwi, pachnie wódką. Adina kładzie mu kartkę na dłoni, Paul bierze go za ramię, chodź, mówi, pojedziemy na wieś. Oczywiście Abiego są znieruchomiałe, za duże i za małe w jego twarzy, Abi kiwa głową. Potem uwalnia się z uchwytu, nie chcę wiedzieć, dokąd, mówi, nie jadę z wami, życzę wam dużo szczęścia, zresztą, co to znaczy dużo szczęścia, wioski są małe.

Po czarnych końcach ulic chodzą ludzie, noszą latarki, noc zabiera im ubrania. Paul jedzie powoli, Paul jedzie po cichu.

Adina myśli przez chwilę, że miasto nigdy się nie

kończy, bo zakazana piosenka się rozprzestrzeniła, nie
ustała. Że ulice biegną coraz dalej w kraj i wszędzie są
miastem. Że gdzieś w ciemnym polu, gdzie droga
zakręca, biją dzwony, bo las za zmarzniętą kukurydzą
jest parkiem, że za nim stoi wieża katedry i że puste pole
wcale

nie jest puste, bo przez jego środek pełźnie rzeka.
Że dyktator zobaczył wyciekające miasto w górze
z powietrza, że ustawił wokół niego wszystkich żołnie-
rzy. Że oni swoimi łopatkami wykopem oddzielają
wyciekające miasto od kraju. Że nigdzie nie ma mostu.
Że

ilije kopie i kopie i daje jej znak, podnosi i opuszcza
palce

jak fale, czubek łopatki wbija butem w krawędź miasta
i myśli o Dunaju.

Że Paul wsiada w swoich białych butach, że jedzie i
jedzie, a gdzie miasto się kończy i gaśnie ostatnie światło
na skraju, nie mówi już ani słowa. Że patrzy w niebo i
szuka białego księżycy, gdy w dole błądzi skraj pola. I
nagle

myśli o tym, że jest lekarzem i że w milczeniu obok
niego
siedzi człowiek, który ma ciepłe wnętrzności w brzuchu.

Nocnik

Ręka Paula przejeżdża po twarzy Adiny.

Ona nagle budzi się ze snu, jesteście na miejscu,
mówi Paul, Adina ma rynnę z piasku w głowie, zdejmuję
ciężką rękę Paula z policzka, czy spałam, pyta, jej twarz
jest zniekształcona, policzki wpadają do środka, kiedy
otwiera oczy.

Ławka przed domem Liviu jest niższa z jednej strony. W kałuży nogi wrosły w błoto. Okna stoją ciemne za płotem. Przy bramie zasuwa jest zamknięta. Na południu, gdzie Dunaj odcina kraj, domy tworzą wsie-ulice. Nie ma tam miejsca do rozbudowy, płoty są doczepiane jeden do drugiego, za każdym domem jest ogród, za każdym ogrodem krawędź. Psy nie mają miejsca, żeby się wałęsać, nie mają miejsca do szczekania. Nie

z powodu złodziei, powiedział w lecie Liviu, tutaj nikt niczego nie kradnie, ludzie trzymają tyle psów, żeby nie słyszeć strzałów, i gęsi zamiast kur, bo one gęgają całą noc. Ludzie przyzwyczaili się do tego, nie słyszą już szczekania ani gęgania, słyszą strzały.

Adina nasłuchuje, gęsi gęgają krótko niskim głosem na podwórzu, i na sąsiednim podwórzu, i na podwórzu naprzeciwko. Są zamknięte w deskach. Słychać stąpanie ich łap, ich skrzydła są przyciśnięte do drewna. Objijają się, nie znajdują głębokiego snu. Wieś-ulica jest każdej nocy pończochą jak ich szyje.

W lecie Liviu był panem młodym. Ożenił się z nauczycielką ze wsi, bo był obcy i samotny. Jego żona jest tak młoda, że prawie nie dosięga jego wieku. On ma swoje milczenie i nasłuchiwanie dla siebie, bo ona jest przyzwyczajona, że kobiety mówią, a mężczyźni siedzą obok

i są sami ze sobą. Wyrosła ze strzałami, z psami i gęśmi. W lecie, kiedy Adina z Pauliem byli na weselu Liviu, ta młoda kobieta w białym welonie i długiej sukni miała twarz jagnięcia. Jagnię, które jeszcze nie jadło trawy, powiedział wtedy Paul. Wszyscy ją obejmowali i

całowali,
a Liviu tylko ścisnął ręce i odsuwał twarz. Ona jadła dużo, a Liviu przeżuwał apatycznie. Liviu tańczył, jakby miał w kieszeniach kamienie, a ona, jakby wszystko białe na niej było lotnym puchem. Nie mówiła dużo, a gdy coś powiedziała, to się uśmiechała. Wioskowy policjant był pijany, opowiadał przy stole dowcipy i śmiał się sam, bo jego rausz kręcił się wkoło tego samego zdania, którego nikt nie rozumiał. Proboszcz założył swoją czarną
czapeczkę na szyjkę butelki, kluski z zupy uwiesiły się na jego siwej brodzie. Po jedzeniu podniósł sutannę do kolan i tańczył z policjantem. Liviu popatrzył na Adinę i Paula, kiedy wy się pobierzecie, zapytał. Paul powiedział, wkrótce. Adina poczuła, jak kłamstwo przebiega
jej po twarzy. Zapytała jagnięcia, czy jesteście spokrewnieni, i wskazała policjanta. Liviu milczał, młode jagnię
uśmiechnęło się i powiedziało, tak to jest na wsi, policjanta zawsze się zaprasza.
Paul trzyma drobne kamyki w dłoni. RzUCA nimi w okno, drapią po szkle, potem szeleszczą, bo na ziemi leżą suche liście. Śpią głęboko, mówi Paul. Psy szczekają głośniej, gęsi zamilkły. Paul przechodzi przez płot i puka palcami w szyby. W ostatnim oknie zapala się światło. Głowa Liviu jest przygnieciona od snu. Skrzydło okna trzeszczy, to ja, mówi Paul. Podnosi do góry brodę, jego twarz stoi w ciemności, musimy się ukryć, mówi Paul. Liviu poznaje jego głos.
Pchają samochód do szopy. Liviu przykrywa go słomą i stawia worki przed kołami. Białe skrzydła gęsi świecą

między szparami desek, gęgają, ich dzioby stukają w drewno.

Jagnię stoi w koszuli nocnej, boso, w za dużych butach na schodach i świeci kołem latarki w stronę szopy.

Ale koło nie dociera na miejsce, zatrzymuje się w kałuży, bo w wodzie może zobaczyć samo siebie.

W kuchni, w świetle jagnię się uśmiecha, wczoraj o was rozmawialiśmy, mówi Liviu, mówi się o was, a wy stoicie przed drzwiami, mówi jagnię. Adina stawia torbę obok kuchenki, Paul sięga do kurtki i kładzie na stole szczoteczkę do zębów, to jest mój bagaż, mówi.

Jagnię prowadzi Adinę do ciemnego pokoju, zaszuwa zasłony, wielkie bukiety róż. Na obrusie powtarzają się jeszcze raz. Tu masz latarkę, mówi, nie zapalaj światła, widać je z ulicy. Zsuwa razem ubrania w szafie, każdy wie, w którym pokoju śpimy, mówi, tu jest jeszcze miejsce na wasze ubrania.

To jest ten sam pokój, to samo łóżko. Wczesnym rankiem, po weselu, Adina leżąc koło Paula zapytała, dlaczego kłamiesz, Paul westchnął, a komary krążyły wokół

światła, dlaczego Liviu myśli, że jeszcze jesteśmy razem. Paul ziewnął i powiedział, czy to takie ważne. W weselny

ranek padał deszcz. Potem zrobił się nieznośny upał, noc nie przyniosła ochłodzenia, nie można było otworzyć okna. Paul zasnął, zanim zdążył zamknąć usta. Odkrył sobie przez sen nogi, chrapał aż do palców stóp. Adina zgasiła światło, świerszcze cykały przez całą wieś swoje rozchwiane dźwięki. Muzyka ludowa jeszcze kręciła się jej w głowie. Komary wyczuły wódkę i cisnęły się tylko koło jej twarzy, Paul dużo wypił z Liviu i z bezzębnym

księgowym rozmawiał o spadających procentach białka w mleku państwowych krów.

Adina śniła tej komarowej nocy, że tańczyła z bezzębnym księgowym. Na ziemi na podwórzu leżała łyżka, a księgowy deptał po niej przy każdym kroku. Ona odsunęła ją, aż na skraju ogrodu. Ale kiedy tańczył z nią dalej, przy skraju ogrodu, tam znowu leżała łyżka i on deptał po niej przy każdym kroku. I zwiędła kobieta, która była jeszcze starsza, siedziała plecami do stołu i patrzyła na niego. Powiedziała, tańcz przyzwoicie, ta pani jest z miasta.

Latarka szpera w ciemnej torbie, grzebień leży na samej górze, nożyczki do paznokci na dnie, szczoteczka do zębów między rajstopami. Koszula nocna jest chłodna na skórze. Pachy czuć potem, stopy też. Paul trzyma swoją szczoteczkę uchwytem w ustach. Liviu stawia koło łóżka biały nocnik, nie wychodźcie na podwórze, w dzień też nie, mówi.

Paul wypuszcza szczoteczkę z ust na stół, chodzi dokoła stołu, oświetla latarką bukiet róż. Za oknem szczekają psy, Paul wacha róże na zasłonach, czy mogę moje buty postawić koło twoich, pyta, oświetla buty Adiny i stawia swoje obok. Kładzie się w ubraniu na łóżko i zaczyna się śmiać.

Chce mi się sikać, mówi Adina, bierze nocnik, w łóżku nie ma żadnej twarzy, tylko ubranie Paula, chciało mi się już w szopie. Ja po drodze musiałem trzy razy ze strachu, mówi Paul, Adina świeci do nocnika, jest całkiem nowy, najgorszy przy tym jest ten szum, mówi. Jestem przecież muzykiem, mówi Paul, ona wsuwa sobie nocnik między nogi, będę gwizdał, mówi on, jak mój dziadek był skłócony

ze szwagrem, zawsze zatrzymywał konie przed jego domem i gwizdał, aż się wyszczały, potem jechał dalej. Potem rozlega się szum, a Adina czuje ciepłą parę na udach.

Na krześle leży gazeta, Adina przykrywa nią nocnik i nasłuchuje. Za zasłoną wisi wiatr, potrząsa nagimi gałązkami. Inaczej sobie wyobrażałem ten szum, mówi Paul.

My mieliśmy kibel letni, kibel zimowy i cztery nocniki, mówi Adina. Kibel letni był za winoroślą w wyschniętym ogrodzie, kibel zimowy był za korytarzem. Kibel letni był z desek, zimowy z kamieni. Ja miałam czerwony nocnik, moja matka zielony, a ojciec niebieski. Czwartym był ze szkła, był najpiękniejszy, ale nigdy go nie używaliśmy. Ten jest dla gości, mówiła matka. Nigdy nie mieliśmy gości, tylko krótkie odwiedziny. Krawcowa przychodziła dwa, trzy razy do roku i przynosiła mojej matce sukienkę, zjadała dwa rogaliki i jabłko na stojąco i szła z powrotem. A jesienią, kiedy ojciec miał śliwowicę ze wsi z owcami, przychodził czasem fryzjer.

Wypijał

po kolei trzy kieliszki na stojąco i szedł z powrotem.

Ojciec mówił czasem, mógłbyś mi jeszcze szybko

podciąć

włosy. Fryzjer odpowiadał, to mogę zrobić tylko u siebie w zakładzie, potrzebuję lustra, przy strzyżeniu muszę widzieć siebie tak jak siebie.

Kto przychodził do nas, mieszkał na tym brudnym przedmieściu. Nikt nie był gościem, nikt nie zostawał na noc, mówi Adina. Paul nic nie mówi. Zasnął w ubraniu, bez twarzy.

Paznokcie rosną

Pomyślałam o tym, a potem znowu zapomniałam, mówi kobiecy głos za oknem. Bukiety róż na zasłonach są większe niż w dzień. Na zewnątrz krzyczą gęsi, ich głosy są inne niż w nocy, wyższe. Adina widzi gęsi stojące w białym szeregu, ciasno obok siebie, tak daleko jak wieś-ulica, i jeszcze kawałek dalej, w pole, gdzie zamrożona kukurydza nie puszcza ich dalej, pożera je po kolei aż do samej wsi, póki pióra są jeszcze ciepłe.

Ludzie

przez całą długość wsi siedzą w rzędzie przy oknach i przyglądają się, jak kukurydza pożera gęsi, i nie boją się, bo są przyzwyczajeni do strzałów na granicy, myśli Adina. Tylko się dziwią, bo zamrożone lodygi kukurydzy ciasno obok siebie wędrują do wsi, i przez całą długość wsi ustawiają się na środku ulicy.

Twarz Paula leży szara na poduszce, jest starsza niż w mieście. Jego ubranie jest pomięte, jest wczorajszym dniem. Na szafie stoi rząd słoików, są przykryte celofanem i obwiązane zieloną nitką. Całe morele są w słoikach jak kamienie. Jej głowa jest w środku zimna, stuka

się opuszkami palców w czoło. Jej szczoteczka do zębów leży obok jego szczoteczki, koło nich nożyczki do paznokci. Adina wkłada swoją szczoteczkę uchwytom do ust. Przed szafą Adina czuje lisa na palcach stóp, przy brzegu dywanu leżą tylko białe frędzle, zamyka oczy i wsuwa bosc stopy do butów. Wącha swój ręcznik. Z nocnikiem w jednej ręce idzie do kuchni.

Pod kuchnią jest żar. Na kuchennym stole leży słonina i bochenek chleba, obok nich kartka: WRÓCIMY O 12.

I tak dni stoją jak gęsi w głowie Adiny, ciasno obok

siebie bez wsi, ukryte jak kręgosłup i nieskończenie długie. Dni od karku aż po koniuszki palców, z łóżka i zasłon,

z nocnika i kuchni. Krótkie i długie są te dni, aż nasłuchiwanie po każdym dźwięku myli strach z nieobecnością.

Aż uszy są bardziej przytomne niż oczy, które wszystko w tym domu znają.

Radio i telewizor tylko wtedy, kiedy jesteśmy w domu, powiedział Liviu, sąsiedzi mogliby usłyszeć.

Kiedy przy bramie słysząc jakiś głos, a mężczyzna, który szarpie za zasuwę, w szczelinie zasłony nosi mundur, Adina i Paul szukają najbardziej ukrytych drzwi w domu. Stoją ściśnięci w spiżarni, póki odgłosy nie ustaną. Potem na podwórzu leży gazeta, więc to był listonosz. Kiedy Liviu i jagnię wracają ze szkoły, gazeta leży na kuchennym stole. I na pierwszej stronie jest lok nad czołem i czerń w oku. A pod spodem jest napisane, że najukochańszy syn narodu poleciał do Iranu, a kilka dni później, że wrócił z Iranu i znowu jest w kraju.

I Adina myśli, że uszy na głowie powinny od nasłuchiwania wygładzić swoje małżowiny, swoje zawijasy,

powinny być gładkie jak dłoń, powinny im wyrosnąć palce, które drgają tak szybko jak strach. Tylko szum w nocniku jest przy nasłuchiowaniu za każdym razem inny, u Paula za każdym razem dłuższy niż u niej, i Paul bawi się strumieniem i potrafi fałszywym głosem śmiać się z żółtej piany. Tylko kiedy musi srać, klnie i męczy się

z zaparciem i mówi, że czuje się jak wsza, która ukrywa się na brzegu łóżka.

Gazeta na nocniku jest zawsze z poprzedniego dnia, i Paul zawsze kładzie ją lokiem do dołu. A zaraz potem wkłada polana i suche kolby kukurydzy do pieca, o wiele za długo patrzy w żar i z kącików oczu spogląda pod ramieniem. Bo piersi Adiny wiszą nagie nad miednicą i mydło się pieni, a Adina wie, że on rozgrzaną od żaru twarzą i zimnymi rękami dotyka jej piersi. Czeka na to i nie może tego znieść. Potem jego twarz postarzała i jej twarz pusta stoją w herbacie lipowej, oddzielone trzonkami łyżeczek, każda w swojej własnej filiżance. I obie

łyżeczki mieszają, aż cukier się rozpuści. Nie słyszałem jeszcze żadnego strzału, mówi Paul, słyszę jak psy szczekają i gęsi gęgają, i wołanie listonosza przy bramie. Nasłuchuję tego, co jest głośnie, choć wiem od Liviu, że strzały są ciche, jak gdyby odłamała się gałązka, tylko inaczej.

Kiedyś klucz przekręcił się w drzwiach, a Liviu postawił w kuchni długi worek, choinkę, której w wiosce nikt nie mógł widzieć, smukłą srebrną jodłę, ojciec jednego z uczniów, kierowca ciężarówki, ukradł ją na leśnej drodze w Karpatach. To było wczoraj, mówi Paul, a Adina

mówi, nie, to było dzisiaj rano. Liviu postawił worek pod ścianą i musiał zaraz wracać, na zebranie, powiedział. Zamknął dom od zewnątrz, a Paul zdjął worek z choinki, na kuchnię wyrzwały krusze i szare igły. Włóż choinkę z powrotem do worka, powiedziała Adina, nie mogę na nią patrzeć.

Wczoraj to było coś innego, kiedy nożyczki do paznokci stuknęły. Adina zobaczyła łukowaty brzeg paznokcia odpadający od palca na stół. Odkąd lis jest

pocięty, moje paznokcie rosną szybciej, powiedziała. Paul zaśmiał się swoimi fałszywymi tonami, ona włożyła palec do ust i odgryzła paznokieć zębami, pogryzła go na kawałeczki i zjadła. Codziennie widzę w szkole, że u zaniedbanych dzieci paznokcie i włosy rosną szybciej niż u tych zadbanych, powiedziała. Kiedy żyje się w strachu, włosy i paznokcie rosną szybciej, widać to po wygolonych karkach dzieci. Paul krajał słoninę, odkrawał przezroczyście plasterki i obracał w wargach, zanim je połknął. Jako lekarz muszę ci się sprzeciwić, powiedział, wskazał na lok nad czołem w gazecie, gdyby tak było, te włosy w ciągu jednego dnia urosłyby od czoła do pięt. Nacierał sobie paznokcie cienkimi plasterkami słoniny, aż zaczynały błyszczeć, co ty wiesz o ludziach, co widzisz, kiedy ich rozkrawasz, bo są chorzy albo martwi. Nic. Czy dyktatora można wyjaśnić po

lekarsku, czy on jest w mózgu, w żołądku, w wątrobie, a może w płucach. Paul zasłonił sobie uszy swoimi błyszczącymi paznokciami, dyktator drzemie w sercu jak w twoich powieściach, krzyknął.

Lok nad czołem rośnie każdego dnia aż do pięt, myślała Adina, worek z włosami jest już od dawna pełny, ubity aż po brzegi i cięższy od niego. On oszukuje wszystkich, nawet fryzjera.

A przedwczoraj zupa stała w talerzu i Paul chciał zawołać Adinę do jedzenia, i zawołał ABI zamiast Adina. Potem zupa stała w talerzu i powlekała się, gdy oni oboje milczeli, cienką skórką, która wisiała u łyżki. A Paul powiedział, wiesz, komu Abi opowiadał ten dowcip o biednym Rumunie. Komu, pyta ona, a Paul mówi: Ilije. Adina spojrzała w swój talerz, oka na zupie ciągle były

okrągłe, nie dawały się podzielić łyżką. Adina raz pierwszy usłyszała odgłos. To nie był pies ani gęś, to brzmiało, jakby odłamała się gałązka, tylko całkiem inaczej. To było w środku własnej głowy.

I tego samego dnia wieczorem, a może następnego wieczoru, jagnię przyniosło na choinkę torebkę pełną czekolady. Czekoladki były zawinięte w czerwony stanioł i przy każdej wisiała jedwabna nitka. Od pielęgniarki, powiedziała jagnię, jej syn jest moim uczniem. Zjadła jedną, włożyła sobie w całości do ust i bezgłośnie pozwo-

liła jej rozplynać się na języku. Liviu czasem chce wrócić do miasta, powiedziała, teraz to dobrze, że tu mieszkamy, że, jak Liviu czasem mówi, jesteśmy na końcu świata. Tutaj każdy wie, co jego sąsiad przedwczoraj jadł, powiedziała jagnię, co kupuje i sprzedaje, i ile ma pieniędzy.

I ile samogonu każdy ma w piwnicy, powiedział Liviu. Ona zjadła jeszcze jeden kawałek czekolady, potem rozkładała gęś, odcięła udka od tułowia, skrzydła od klatki

piersiowej. Zachowuję się tak, żeby nie zwracać uwagi, powiedział Liviu, w szkole też. Słucham i myślę swoje. Jagnię podniosło tułów gęsi za szyję i rozcięło żołądek. Był pełen małych kamyczków, wiem, jestem oportunistą, powiedział Liviu, inaczej teraz by was tu nie było. Jak długo możecie się ukrywać, zapytało jagnię i położyło listek laurowy na stole.

Gdzie w tym kraju moglibyście jeszcze żyć, zapytał Liviu. Adina obierała ziemniaki, a Paul przyglądał się, jak

łupina wije się między kciukiem i nożem.
Czy mamy iść przez pole do Dunaju, zapytała Adina,
mamy uciec, chcesz słyszeć strzały i wyliczyć sobie, że
to
my. Wystarczy mniej niż pół godziny, a leżelibyśmy tam
w pszenicy, póki w lecie nie przyjedzie kombajn. Paul
po-
ciągnął Adinę za ramię do tyłu, a ona powiedziała w jego
twarz, księgowy wytłumaczy rosnące procenty białka
w mące. Paul zasłonił jej usta dłonią. Ona odepchnęła
jego dłoń i zobaczyła rozplywające się ziemniaki.
Czasami, powiedziała, przy jedzeniu włos wejdzie wam
między
zęby, włos, który nie piekarzowi wpadł do ciasta.

Przezroczysty sen

Po wieczorze z zarzniętą gęsią wszyscy bez słowa poszli
do łóżek i spali bardzo głęboko. Bo wszyscy wzięli
ze sobą do snu włos w chlebie. Sen wszedł w nich tak
głęboko tej nocy, bo wstydził się wieczoru.

Adina położyła tego wieczora swoją koszulę nocną na
stole i powiedziała, nie będę się rozbierać, jestem
zmarznięta. Wzięła płaszcz z szafy i położyła na kołdrę.

Paul

był przygnębiony i odsunięty od siebie. Adina nie
myślała o śnie, była tak przytomna, że jej oczy
wypełniały cały
pokój. Nie ruszała się, czekała. Paul oddychał spokojnie
we śnie.

Potem wsunęła buty na nogi i włożyła płaszcz. Chciała
wyjść, pójść wzdłuż ulicy, nie do granicy, ale w
kukurydzę na polu. Może dałoby się tam położyć i

zamarznąć.

Ilije powiedział kiedyś, że mróz przychodzi od palców stóp, że boli tylko póki nie dotrze do brzucha. Potem idzie szybko. A kiedy jest przy szyi, skóra się rozpala. Umiera się w cieple.

Za oknem czekały psy, nic nie szeleściło w pokoju, nic nie skrzypiało.

Ręka Paula schwyciła ją i pociągnęła do okna. Odsunął zasłonę, podniósł białą koronkową firankę z tyłu nad jej włosy. Nie możesz tego zrobić, powiedział, popatrz, w kałuży stoi woda, nie lód, ślady gęsi w błocie są miękkie, ziemia nie zamarzła. Popatrzył na nią, z tą białą koronką na głowie jesteś jak jagnię, powiedział.

Rozebrał ją z płaszczem. Adina nie broniła się, myślała tylko, kiedy on zdejmował z niej buty i ubranie, że jego sen to przezroczysty, długi korytarz, i tak pusty, że nic się przed nim nie może ukryć, nawet to, co ktoś obok niego myśli w ciemności.

A potem nie potrafiła się oprzeć, kiedy dotknął jej piersi, i minione lata powróciły do jej ciała, lata z Paulem. Jego członek był gorący i uparty, a jej skóra płonęła inaczej niż życzenie, by zamarznąć w kukurydzy.

Ale

wiedziała, że to nie ona płonęła. To była kryjówka. Teraz lis leżał też w tym domu, a Liviu i jagnię nie będą w stanie wytrzymać zagrożenia lisa.

Adina siedziała w ciemności obok Paula, jego papieros żarzył się, ręką gładził ją po czole. Wtedy tej, która przed chwilą jęczała, już nie było w środku. Robisz sobie wyrzuty, zapytał Paul, ona patrzyła na morele stojące w słoikach w powietrzu pod sufitem, szafy nie widziała, tak, powiedziała, ale to nic. Moreli w słoikach też nie

widziała, wiedziała tylko, że tam są.

Bo przy każdym dotyku ręki, przy każdym kroku, we śnie, za wszystkim, co robiła, wiedziała, że Liviu i jagnię mieszkają we wsi-ulicy, że czeka na nich Boże Narodzenie z chudą jodłą, że przystrojone igły choinki przycisną do okna dla przechodzących na zewnątrz, jak wtedy. I że nikt na zewnątrz nie będzie chodził, najwyżej dwoje obcych, którzy cały ranek szli przez pole - kobieta z dzieckiem, które chce lisa.

Dla ciebie rozstanie znaczy, powiedział Paul, że zawsze jestem, kiedy mnie potrzebujesz, ale nigdy z tobą nie śpię. Papieros zarzył się i przegryzł się szybko do jego ust.

Bądź cicho, powiedziała Adina, pęka mi głowa.

Tej nocy śniło się jej, że Clara w sukience w bukiety żółtych róż stała w zamarzniętej kukurydzy. Wiatr szeleścił sucho, a Clara miała ze sobą wielką torbę.

Powiedziała, tu nie ma nikogo, oni cię nie szukają.

Otworzyła

torbę. W torbie były pigwy. Clara powiedziała, jedz, umy-

łam je dla ciebie. Adina wzięła jedną pigwę i powiedziała,

nie umyłaś, ona ma sierść na skórcie.

Czarno-białe niebo

Każdego ranka, kiedy Adina wsypuje do wrzącej wody suszony kwiat lipy, zioła pęcznieją, ogonki i skórzaste przyrośnięte listki robią się jasnozielone. Żeby oddzielić dni, liczy robienie herbaty. Zawsze jest tak samo, zawsze jest rano, a na ulicach są gęsi i psy. Na stole leży zawsze kartka: WRÓCIMY O 12 albo O 1 albo POD

WIECZÓR. Kwiat lipy zawsze smakuje snem. Nocnik śmierdzi koło kuchennych drzwi.

Rzadko wygląda przez szparę w zasłonie w kuchni, bo płoty na podwórzu są z drutu, a krzaki bzu nagie. Widać wszystko przez podwórza i ogrody.

Tylko Paul często wygląda na zewnątrz i mówi sam do siebie, jaki kolor ma niebo czy jest błoto i czy jest zimno.

Dzisiaj rano były głosy we wsi, Paul siedzi, odkąd się obudził, przed szparą w zasłonach. Tutaj ulica jest pusta mówi, ale w centrum wsi słychać wrzask i krzyki.

Adina wygląda przez szparę w kuchennej zasłonie.

Słońce jest jaskrawe, nagi bez rzuca cień na piasek.

Sąsiadka wystawia trzy krzesła na podwórze. Jej twarz jest

mała i pomarszczona. W słońcu ma wąsy i nie ma oczu.

Wynosi dwie poduszki i dwie pierzyny na podwórze, trzepie je i rozwiesza na krzesłach.

Herbata Paula wystygła, bo jego oczy są opętane za bukietaми róż na zasłonach.

Liviu w rozpiętej marynarce bez płaszcza przebiega przed szparą w zasłonach. Liviu śpieszy się do domu, mówi Paul, siada szybko przy stole i pije swoją zimną herbatę. Adina widzi przez szparę, że Liviu nie zamyka bra-

my, przebiega obok nagiego bzu. Trzyma szalik w ręce.

Adina zasuwa zasłonę, dosiada się szybko do Paula i opie-

ra głowę na dłoniach. Klucz obraca się w drzwiach.

Twarz

Liviu jest czerwona i spocona, rzuca szalik na kuchenny stół. Nie słyszycie, co się dzieje na ulicy, dyszy, chodźcie

do pokoju.

Jego ręce drżą, włącza telewizor, Ceausescu nie mógł wygłosić przemówienia, mówi, ludzie go zakrzyczeli, ochroniarz wciągnął go za kurtynę. Adina płacze, na ekranie rozpływają się kamienne kostki i okna, Komitet Centralny, a przed nim płaszcze, stłoczone, tysiące płaszczy rozpływają się jak pole, w górze nad nimi krzyk.

Policzki Adiny płoną, jej broda się rozpuszcza, jej ręce są wilgotne, małe krzyczące twarze są smugą z oczu, patrzą w górę na niebo. On ucieka, krzyczy Liviu, on chce uciec,

on nie żyje, krzyczy Paul, jeśli ucieknie, już nie żyje.

Nad balkonem Komitetu Centralnego wisi w powietrzu helikopter. I robi się coraz mniejszy, pływający szary koniec szpilki, który znika.

Na ekranie stoi puste czarno-białe niebo.

Livi ucałuje ekran, zjem cię, zjem cię, mówi. Jego mokre pocałunki wiszą na czarno-białym niebie. Adina widzi starcze nogi w powietrzu, dwa spiczaste kolana i białe łydki, a lok nad czołem wysoko w górze, tak wysoko, jak jeszcze nigdy. Paul odsuwa zasłony przy wszystkich oknach. W domu jest tak jasno, że ściany się kołyszają, bo każda ściana jest większa niż cały pokój.

Jagnię stoi w drzwiach jeszcze zdyszane od marszu, śmieje się dwoma okrągłymi łzami w oczach i mówi, przed kościołem policjant w gaciach zbiera lanie.

Księgowy ściągnął mu spodnie, a proboszcz powiesił jego czapkę na drzewie.

Stara z naprzeciwka wie wszystko, mówi jagnię, dwa dni temu mówiła, że tej zimy jest za ciepło.

Zimowy piorun, zimowy grzmot

W grudniu są odłamki nieba,
Wtedy królowi umierać trzeba
Tak powiedziała. Jestem stara, kiedyś tak to było.
A dzisiaj rano pytała, czy wczoraj w nocy coś słyszałam.
To nie były strzały, powiedziała, to była burza, nie tutaj,
to było dalej, w głębi kraju.
Liviu i Paul piją wódkę, butelka gulgocze, kieliszki
dzwonią. Paul w szlafroku Liviu maszeruje na bosaka
dokoła stołu z kieliszkiem wódki w dłoni i śpiewa niskim
wibrującym głosem zakazaną pieśń:
Przebudź się Rumunio ze swego wiecznego snu
Liviu wiesz mu zmiętą ścierkę na ramieniu, tańczy
z butelką i śpiewa wysokim beczącym głosem:
Dzisiaj pogoda, jutro pogoda,
Jeszcze cała sprawa młoda
W kuchennej szafce podzwaniają garnki, Paul porzuca
budzących się Rumunów w samym środku tonu, zaczyna
tańczyć wokół Liviu i śpiewa z nim:
Jeszcze trochę bzyku, bzyku,
Jeszcze trochę bzyku, bzyku,
Zawsze naprzód, bez uników
Jagnię opiera się o kuchenkę, za jej ramionami wiszą
poduszki i kołdry starej z sąsiedniego podwórza. Są tak
jasne, jakby spały na krzesłach.
Gdzie wyląduje jego helikopter, pyta jagnię, a Paul
mówi, w niebie, w smole u biednych Rumunów.
Gdy byłam dzieckiem, koło placu targowego stała
karuzela, mówi jagnię. Kiedy spadł pierwszy śnieg,
zamykano ją, bo Mihai nie mógł siedzieć na mrozie.
Mihai miał sparaliżowaną stopę. Kiedy ktoś chciał się
przejechać, musiał kupić bilety w radzie narodowej.
Dzieci dostawały trzy bilety na jedną jazdę, a dorośli po

pięć. Za te pieniądze przez całą wieś mieli położyć asfalt. Mihai sprawdzał bilety, odrywał im rogi i wrzucał do kapelusza. Większym dziewczynom pozwalał w lecie jeździć za darmo, bo przed jazdą za wielką skrzynią wkładał im ręce do majtek. Kilka z nich skarżyło się u sołtysa, ale on powiedział, to nic, przecież to nie boli. Mihai startował silnik i go wyłączał. Wszystkie jazdy trwały tyle samo, bo on zawsze patrzył na kościelny zegar. W południe robił przerwę, jadł coś i wlewał beczkę oleju do silnika. Naprawiał silnik tylko w nocy, żeby w dzień nie tracić jazd.

Znał się na wszystkim, sam zbudował ten silnik z dwóch starych traktorów. Kiedy były tam same dziewczyny, też jeździłam na karuzeli, mówi jagnię. Z chłopcami nie jeździłam, bo oni łapali wirujące krzeselka dziewczyn i skręcali łańcuchy, aż dziewczynom chciało się rzygać. Mihai pokazał chłopakom, jak chwytać siedzenia dziewczyn.

Pewnego zimowego wieczoru dwa czarne samochody przejeżdżały przez wieś. Jechały z inspekcji na granicy. Mówiono, że było tam trzech wysokich funkcjonariuszy partyjnych, jeden oficer wojsk granicznych i trzech ochroniarzy. Byli pijani w sztok. Jeden z nich zapukał do listonosza w okno i zapytał, kto ma klucz. Listonosz pokazał im koniec wsi, gdzie mieszkał Mihai.

Mihai już spał, kiedy zapukali do okna. Nie chciał otwierać, ale pukanie nie ustawało. Tak, powiedział Mihai, mam klucz, ale w silniku nie ma oleju. Ja nie mam oleju, jest w radzie narodowej. Kiedy Mihai przyszedł z ochroniarzem i z kluczem, zajrzał do silnika i powiedział, na jedną jazdę jeszcze wystarczy. A potem, zapytał ochroniarz. Potem silnik zgaśnie, powiedział

Mihai.

Ochroniarz dał znak ręką i wszyscy wysiedli z samochodów i usadowili się na krzeselkach karuzeli. Ochroniarze między funkcjonariuszami, oficer za nimi. Mihai czekał przy silniku aż wszyscy zapną łańcuchy krzeselek.

Startuj, powiedział ochroniarz, kiedy się zacznie kręcić, możesz iść do domu.

Silnik pracował, krzeselka zaczęły fruwać, łańcuchy napięły się w powietrzu. Mihai poszedł do domu, księżyc świecił i zrobiło się bardzo zimno. Ale silnik warczał i krzeselka fruwały przez całą noc.

Rano karuzela stanęła, mówi jagnię, krzeselka zwiślały w dół, a w nich wisiało tamtych siedmiu mężczyzn. Pozamarzali.

Jagnię wyciera sobie dwie łzy z oczu, a jej usta otwierają się i zamykają. Następnego dnia przyjechała do wsi komisja. Karuzela została zakazana, rozebrano ją i wywieziono. Przez wieś nigdy nie położono asfaltu. Mihai i listonosz zostali aresztowani jako wrogowie klasowi.

Mihai powiedział na procesie, że to była noc, a olej jest czarny. Pomylił się, przypuszczalnie silnik był pełny.

A listonosz powiedział, że słyszał silnik przez całą noc, dopiero nad ranem zrobiło się cicho. Raz wyrzwał przez okno i zobaczył, jak towarzysze fruwali w powietrzu. Tak, słyszał ich krzyki, jak mówił, ale niczego się nie domyślał, to wyglądało tak, jakby towarzysze się cieszyli.

I

Zamarznięte maliny

Czarno-białe niebo pozostało puste, zakazana pieśń rozprzestrzeniła się po całym kraju w pociągach, w autobusach, na furmankach. W podartych kieszeniach płaszczy i schodzonych butach. Jest też w samochodzie między Adiną i Paulem. Jadą z powrotem do miasta. Niebo we wsi-ulicy jest niebieskie i puste od krzyku i zakazanej pieśni. A wiejski policjant znowu włożył swoje spodnie, czapkę zostawił na drzewie. Nie opróżnił swoich szuflad, włożył tylko do kieszeni kurtki zdjęcie żony i dwójki dzieci. Na końcu wsi na przełaj przez pola poszedł w dal.

Stara sąsiadka wnosi swoje poduszki i pierzyny do domu, bo jak każdego dnia, tylko głośniej, wieczór stoi za wsią.

Na granicy, na drugim końcu kraju, gdzie równina jak czubek nosa sięga Węgier, a szlaban pozostaje ciemny, jest małe przejście. Przed szlabanem czeka samochód.

Mężczyzna w grubym swetrze podaje przez okienko paszport. Oficer straży granicznej czyta:

KARACZOLNY ALBERT

Matka MAGDA z domu FURAK

Ojciec KARACZOLNY ALBERT

Gdy mężczyzna w samochodzie odkłada paszport do schowka, z kołnierzyka na jego szyję wyskakuje znamię wielkości czubka palca. Szlaban się otwiera.

W oknie na górze zasłony są zaciągnięte. Mieszkanie nie jest zamknięte, klucz tkwi w zamku od środka.

Abiego nie ma w domu, nie ma też żadnej kartki. Szafa jest otwarta, na dywanie leży pudełko zapalek. Na podłodze w kuchni przewrócone krzesło. Na kuchennym stole stoi pół butelki wódki i pełny kieliszek. Na kuchence stoi garnek z pleśniejącą zupą.

Tak się nie wychodzi z domu, mówi Paul, tylko gdy się musi.

W kawiarni za cichymi uliczkami władzy szyby są poroztrzaskiwane strzałami. Czerwone zasłony są zerwane.

Przy stołach siedzą żołnierze. Topole stoją ostre i wysokie i patrzą w wodę. Tam, gdzie w pasiastym lecie stali wędkarze, w dzień i noc stoją żołnierze. Nie potrzebują znać godziny, dzwon na wieży katedry bije i słucha sam siebie.

Czarno-zielone cisy między operą a katedrą są połamane, okna wystawowe w sklepach powybijane i puste. Strzały na ścianach tak gęste jak czarne latające kamyczki.

Schody katedry są zastawione cienkimi żółtymi świecami. Ich płomienie trzepoczą krzywo jak wiatr. Długie czerwone goździki, krótkie białe cyklameny są podeptane przez wiele butów i jeszcze nie zwiędłe. Schody są pilnowane przez czołgi i żołnierzy. Karzeł siedzi na krawężniku przy drewnianym krzyżu. Na ramieniu ma czarną opaskę. Wyciąga nogi, jego odłamane cegły spoglądają na chodnik. Sprzedaje żółte świece. Na krzyżu wisi zdjęcie zabitego, młoda twarz, na brodzie pryszcz.

Usta śmieją się i śmieją. Adina zamyka oczy, ze zdjęcia uśmiecha się anioł z raną postrzałową. Paul przysuwa twarz blisko do zdjęcia. Przy jego butach siedzi opatulona kobieta. Świece leżą przed nią na płachcie. Kobieta je jajko na miękko. Wkłada palec w żółtko i oblizuje go. Jej palec, kącik ust i żółtko są żółte jak świece. Wyciera palec o płaszcz i podaje Adinie i Paulowi dwie świece.

Nie umiem się modlić, mówi Adina, Paul zapala świecę.

Na grubych drewnianych drzwiach opery wiszą zdjęcia. Paul podnosi rękę nad futrzaną czapkę jakiegoś staruszka. Jego palec dotyka zdjęcia. To twarz Pavla, usta się uśmiechają, nad kołnierzykiem koszuli widać znamię. Trochę niżej palec Adiny dotyka jakiejś twarzy, to mężczyzna, który szczał do rzeki i zaraz potem potrafił iść nad brzegiem jak spokojny człowiek. Pod zdjęciami jest napisane: TO ONI STRZELALI.

Wszyscy strzelali w powietrze, mówi stary w futrzanej czapce, powietrze było w płucach.

W oknie zasłony są zaciągnięte. Oni tu byli, mówi Paul. Drzwi mieszkania są zamknięte. Drzwi szafy są otwarte, ubrania leżą na podłodze, książki, prześcieradło, poduszka, kołdra. Płyty leżą w kuchni na podłodze. Są połamane, porozdeptywane butami.

Adina otwiera drzwi mieszkania. Łazienka jest otwarta, umywalka jest pusta, w muszli klozetowej nie pływają łupiny słonecznika. Szafa jest zamknięta.

Pod czubkiem buta Adiny ogon lisa odsuwa się od skóry. Potem pierwsza, potem druga, potem trzecia łapa. Potem czwarta.

Adina czubkami palców przysuwa ogon do skóry. Potem prawą tylną łapę, potem lewą, prawą przednią i lewą. To jest ta kolejność, mówi Paul. Przeszukuje podłogę. Nigdzie nie leży ani jeden włos.

Czy mogę tu zostać, pyta Paul.

Adina stoi przed wanną, z rury płynie gorąca woda, lustro pokrywa się parą. Adina zdejmuje bluzkę, wkłada dłoń pod wodę. Zakręca kurek i znowu wkłada bluzkę.

W pokoju gada telewizor.

Widziałam w łazience moje białe ramiona, wannę, białą parę, nie mogę się rozebrać, mówi Adina, nie mogę się umyć. Szpera w torbie podróżnej. Nożyczki do paznokci leżą na samym dole.

Sen zasypuje głowę, zanim łóżko się nagrzej. Bo Adina i Paul zabierają w sen ten sam podziurawiony obraz, który pożera czaszkę, który jest większy niż głowa.

Kochałam was jak własne dzieci, mówiła żona dyktatora do pokoju. On kiwał głową, patrzył na nożyczki do paznokci koło dłoni Adiny i naciągał sobie czarną futrzaną czapkę na czoło. Nosił ją, tę samą, od kilku dni. Potem kule przeleciały przez ekran, spadły pod ścianą koszar, w najbrudniejszy pusty kąt na dziedzińcu.

Ściana stała podziurawiona i pusta.

Dwoje starych chłopów leżało na ziemi, podeszwy ich butów patrzyły na pokój. Wokół ich głów stały w kole ciężkie żołnierskie buty. Jej jedwabna chusta obsunęła się z głowy na szyję. Jego czarna futrzana czapka nie.

Która to była, taka sama, ostatnia.

Czy mógłbyś otworzyć zwłoki tych dwojga, zapytała Adina, Paul otworzył i zamknął nożyczki do paznokci, to by było gorsze, niż gdybym musiał zaglądać do mojej matki i ojca, powiedział. Ojciec często mnie bił, bałem się

go. Kiedy widziałem jego rękę przy jedzeniu, jak trzyma chleb, mój strach znikał. Wtedy był jak ja, wtedy byliśmy podobni. Ale kiedy mnie bił, nie mogłem myśleć, że on tą samą ręką je też chleb.

Paul odetchnął głęboko ze zmęczenia wielu dni.

Gdzie u innych jest serce, u tamtych jest cmentarz, powiedziała Adina, tylko zabici między ich skroniami, mali i zakrwawieni jak zamarzniete maliny. Paul obtarł

sobie łyż z oczu, czuję do nich obrzydzenie, a jednak muszę po nich płakać. Skąd się bierze ta litość, zapytał. Dwie głowy na poduszce, rozdzielone przez sen, uszy są pod włosami. A nad snem, za miastem, czeka lekki, smutny dzień. Zima i ciepłe powietrze, i zmarli są zimni. Pełnego kieliszka w kuchni Abiego nikt już nie wypije. Clara śpi kilka ulic dalej z tym samym podziurawionym obrazem. Przez jej sen dzwoni telefon. Czerwono napęczniałe goździki stoją w ciemności, woda lśni w wazonie. Jestem w Wiedniu, mówi Pavel, wkrótce ktoś do ciebie przyjdzie i da ci mój adres i paszport, musisz zaraz przyjechać, inaczej mnie tu już nie będzie.

Obca

Oświetlone okna jadą i kołyszają się wte i wewte i pozostają na szynach. Na ciemnych ulicach tu i ówdzie jest światło. Kto czuwa za tymi ścianami, ma w oknie światło. Kto już teraz czuwa, musi do fabryk. Pętle uchwytów kołyszają się na drążkach, przy drzwiach siedzi karzeł.

Szyny zgrzytają. Obok Clary stoi kobieta z dzieckiem na ręku. I na każdym przystanku drzwi stukają, dziecko wzdycha, karzeł zamyka oczy i drzwi się otwierają. I nikt nie wsiada, tylko piasek naganiany przez wiatr. Nie widać go. Jest jak mąka, tylko ciemna. Słysząc go, jak zgrzyta na podłodze.

A na rogu, gdzie ogrodzenie pcha się na same szyny i gałązka zahacza o jasne okno, dziecko w wagonie zaczyna śpiewać nieobecnym głosem:

Ciągle dręczy mnie ta myśl by sprzedać dom mój i pole
Matka spuszcza głowę i patrzy na pustą podłogę, karzeł
spuszcza głowę, Clara spuszcza głowę. Pod butami

szyny też śpiewają. Pętle uchwytów kołyszą się i nasłuchują.

Głośnik przy fabrycznej bramie milczy, pręgowany kot siedzi obok bramy, ma w oczach zielony staniol. Hasła z hal poznikały, stoją na dziedzińcu. Karzeł wchodzi w drut, jego odłamane cegły stukają. Za nim biegnie pręgowany kot.

Grigore jest dyrektorem, dyrektor jest brygadziwą, portier jest kierownikiem magazynu, brygadziwa jest portierem.

Crizu jest martwy.

I przez ten sam poranek, godzinę później, kiedy na dworze jest jaśniej i bloki w szarym niebie są jednym stadem, Adina idzie do szkoły. W rozwalonej budce telefonicznej leży skórka od chleba. Na końcu ulicy leży wielki zwój drutu. Przed drewnianym barakiem na podwórzu leży pusty łańcuch. Psa Olgi tam już nie ma. W najbrudniejszym pustym zakątku dziedzińca szkolnego, pod ścianą, leży góra. Jedna jej połowa jest z płótna, plecionych sznurów, żółtych frędzli, naramienników.

Druga połowa jest z papieru, hasła, godła państwowe, broszury i gazety z przemówieniami i zdjęciami.

Dziecko o szeroko rozstawionych oczach i wąskich skroniach niesie przed twarzą portret. Na portrecie jest lok nad czołem i czerń w oku. Lok sięga dziecku do butów. Ram nie będziemy palić, mówi córka służącej. Wrywa lok z ram, moja matka została sama w domu oficera, mówi, oficer został aresztowany, a jego żona się ukrywa. Bliźniacy przynoszą jej kosz z krawatami pionierskimi i czerwonymi pionierskimi sztandarami z żółtymi jedwabnymi frędzlami.

Córka służącej przystawia zapalną do stosu, do polowy z papieru. Ogień szybko przegryza się do samej góry, sztywny papier zwija się jak szare uszy, długo na to czekałam, mówi córka służącej. Miękki papier rozpada się, nie dawałaś poznać po sobie, mówi Adina. Bliźniacy nadzieją płonące jedwabne frędzle na kije i biegają z nimi po dziedzińcu. Co miałam zrobić, mówi córka służącej, musiałam milczeć, mam dziecko. Wiatr dmucha dymem na ścianę. Dziecko z szeroko rozstawionymi oczami stoi obok Adiny i słucha.

Wiem, mówi Adina, mężczyźni mieli żony, kobiety miały dzieci, dzieci były głodne. Córka służącej przeciąga sobie pasmo włosów przez usta, przygląda się na wpół zwęglonej górze, to już się skończyło, mówi, a my żyjemy. W przyszłym tygodniu przyjdę cię odwiedzić. Córka służącej jest dyrektorką, dyrektor jest wuefistą, wuefista jest przewodniczącym związków zawodowych, fizyk jest pełnomocnikiem do spraw przemian i demokracji.

Sprzątaczką chodzi z miotłą po korytarzu i odkurza puste ściany, gdzie wisały portrety.

W mieście wisi zdjęcie, twój dobry człowiek strzelał, a ty miałaś urodziny. Nawet gdybym tu była, nie mogłabym ci niczego dać w prezencie, ani butów, ani sukienki, ani bluzki. Ani nawet jabłka. Adina stoi oparta o bramę, ze szkolnego dziedzińca kłębi się dym. Kiedy nie można sobie niczego dać w prezencie, mówi, jest się obcym.

On nie strzelał, mówi Clara, jest za granicą. Jej powieki opalizują niebiesko, mam paszport, mówi, co mam zrobić. Jej rzęsy są długie, gęste i spokojne.

Jesteś obca, mówi Adina, czego tu chcesz.

A w górze z piątego piętra widać, jak ciepłe zimowe popołudnie nadciąga za nasyp stadionu. A Adina i córka służącej śledzą je wzrokiem. Na stole stoi butelka wódki i dwa kieliszki. Adina i córka służącej stukają się kieliszkami i piją do dna. Kropla spływa na dno w każdym kieliszku.

Córka służącej przyprowadziła swoją córkę, dziecko ma dwa i pół roku. Siedzi na dywanie i gładzi się po policzku lisim ogonem. Mówi do siebie. Adina jeszcze raz napełnia kieliszki. Sąsiadka o kasztanoworudych falujących włosach stoi w otwartym oknie.

Kot ma wąsy, mówi dziecko. Pod jego palcami głowa lisa odsuwa się od szyi. Dziecko kładzie lisią głowę na stole.

Adina czuje drugi raz w głowie dźwięk, jak gdyby odłamała się gałązka. Tylko inaczej.

Córka służącej wznosi kieliszek.

To nic, to nic

Na brzegu rzeki, za ostatnim mostem nie ma kamiennych płyt, nie ma ławek, nie ma topoli ani żołnierzy.

Na dnie pudełka leżą łapy lisa, nad nimi brzuch, ogon.

Na górze leży głowa. Pudełko jest od Clary, mówi Adina.

Przyjechałyśmy z miasta, kupiła sobie buty i zaraz je założyła. Paul przebija palec przez środek pokrywy, tu będzie świeczka, mówi.

Zamyka pudło.

Chciałam go zachować, mówi Adina, siedziałam przy stole, stałam koło szafy, leżałam w łóżku, już się go nie bałam. Paul wstawia świeczkę do otworu, a teraz głowa, mówi Adina, lis pozostał myśliwym. Świeczka się pali. Paul kładzie pudełko na wodę.

Puszcza je.

Potem podnosi głowę ku niebu, Abi leży tam w górze na brzuchu, mówi, i patrzy na nas. To nic, mówi Paul, to nic. Płacze. Świeca jest jasna jak palec. Może Ilije ma rację, mówi.

Noc się rozciąga, pudełko po butach płynie.

A daleko w głębi kraju, gdzie równina zaraz się skończy, gdzie każdy zna każdą drogę, gdzie ta sama noc ledwie dosięga czubkiem stopy, Ilije idzie na skróty przez pola. Ma na sobie swój żołnierski mundur, swoje toporne buty, niesie niewielką walizkę. Dworzec stoi samotnie, palą się światła miasteczka, gdzie niebo się przełamuje, ułożone obok siebie jak szlaban. Do granicy już nie jest daleko.

W poczekalni nie ma gazetek ściennych, za szkłem w pustych gablotach leży jeszcze letni kurz. Dróżnik je ziarna słonecznika.

Timișoara, mówi Ilije.

Kolejarz wypluwa łupiny słonecznika przez otwór okienka, tam i z powrotem, pyta.

Tylko tam, mówi Ilije. Jego serce łomocze.

Nasyp ziemny stadionu ciaśniej otula się nagimi zaroślami. Ostatnia latająca piłka jest już zapomniana, zakazana piosenka rozeszła się śpiewem po kraju, teraz ściska za gardło, kiedy się rozlega, milknie. Bo czołgi jeszcze stoją wszędzie w mieście, a przed sklepem kolejka za chlebem jest długa. Długodystansowiec zwiesza swoje gołe nogi nad miastem, płaszcze wchodzą jeden w drugi.